

ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XL.

ROK X.

TOM IV. — ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1885.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Listopada 1885 r.

Z POEZYJ LUDWIKI ACKERMANN.

PROMETEUSZ.

Raź, Zeusie, tłocz mię teraz, kalécz, mnóż męczarnie,
Kiedyś świadom niemocy upadłego wroga;
Zgnieść—nie jest to zwyciężyć, i w krwi mojéj marnie
Zgaśnie twych gromów pożoga.
I nim myśl bohaterską okiełznasz, przez którą
Stary tytan w boskiego zmienion buntownika,
Ona wyzywa ciebie, twa ....
Wściekłość — marę jedynie skowała z tą górą.
To, w co biły twe gromy. to gliny garść mała;
Swobodnego, choć w więzach znikomego ciała,
Ducha Prometeusza nie tkną twoje szały.
I gdy mię szpony sępie targają złowieszcze,
Niezwyciężona miłość wciąż mi wstrząsa jeszcze
Serce podarte w kawały!

Jeśli dzikie, przez burze oblegane skały,
Na płaszczu swoich śniegów łzy me widywały,
Gdy powieka nie mogła wstrzymać ich natłoku,
Wy wiecie, o granity, niewzruszony zrębie,
Coś jednak nieraz zadrżał przy mych mąk widoku,
Że źródło łez, to własnéj piersi mojéj głębie;
Że to współczucie każe je lać memu oku.
Znać nie dosyć mi cierpieć moją własną męką;
To łono, tę pierś, boską rozdzierane ręką,
Nieszczęście innych istot porusza i boli.
Widzę, jak między ludźmi bój wieczny się toczy;
Straszne widzenie; ciągle przed mojemi oczy

Stoi okropny obraz ich przyszłéj niedoli.
Ach! ten widok mię ściga i w rozpacz wprowadza,
Ból to do niezniesienia, co się wciąż odradza!
Moim jedynym sępem jest myśl gorzka, czarna,
Że bóg w swéj nienawiści w ich krew rzucił ziarna
Złego—których już żadna nie wypleni władza.

Lecz człowiek ten, o Zeusie, jest twym tworem przecie.
Tyś go począł w twym duchu, tyś mu kształt nadawał.
On tak słaby, bezbronny, tak go nędza gniecie,
Zewsząd nań niebezpieczeństw, mąk, trwóg spada nawał:
W ciasném dni kole zamknion, duszno mu na świecie,
Więc szamoce się, rani i płacze łzą krwawą.
O! kiedyś go na ziemię ciskał niełaskawą,
Wiedziałeś jakich nieszczęść otoczą go sieci,
Że o chleb, o przytułek bój się w okół wznieci,
Że lada podmuch zmiecie, a ślepa przyroda
Obojętna — los jego w zapomnienie poda.
Widziałem go, jak krył się pod wilgotną skałą,
Lub pełzał w borach upiór trwożliwy i blady:
Gdy na ziemi ryk słyszał, a na niebie grzmiało,
On tylko patrzał głodny na tworów biesiady
I drżał, iż z głębin wodnych lub z polnych bezdroży
Każda chwila nowego wroga mu przysporzy.

Przebóg! niebaczny byłem, że nad tym przedmiotem
Twéj wiecznéj nienawiści serce me zadrżało;
Zażegłem płomień myśli, skrę rzuciłem potém
W tę glinę ciemną, z któréj tyś mu stworzył ciało.
Tyś zaczął, jam dokończył twojego zadania.
Pełen nadziei, z wielką myślą jam się ważył:
Byłbym niebiosa twoje złupił bez wahania,
I plonem téj kradzieży ludzkość wyposażył.
Skradłem ci ogień; wkrótce, zdobycz za zdobyczą,
Wyrwałbym czczone berło z twéj dłoni zwalczonéj.
O! w poręś cisnął grom twój na głowę zbrodniczą;
Jeszcze zamach—a człowiek byłby wyzwolony!

Oto mój czyn występny i wzniosły zarazem.
Współczucie, poświęcenie – o zbrodni szalona!
Jam uciśnionym otwarł me zbawcze ramiona!
Jam cię wyzwał! A tyżbyś miał to puścić płazem?

Gdy litość ściąga karę, jam ją czuł — szaleniec!
A jednak to Prometej, tak, ten potępieniec
Dopomógł ci dokonać Tytanów zagłady.
W największym ogniu walki przy twym boku stałem;
Moje to twemi hufy kierowały rady,
Ja memi ciosy Olimp gwiaździsty wstrząsałem.
Szło mi o losy świata, o dni dlań łaskawsze:
Chciałem bóstwa przewrotne strącić raz nazawsze.

Z tobą miał zstąpić pokój, świty nowéj ery,
Których czekały serca pragnienia tak żywe.
Odtąd wspaniałe słońce płynąc przez etery,
Miało tylko oświecać istoty szczęśliwe.
Strach pierzchał, z nim pomroki, których gęste cienie
Niewymownie łaskawy uśmiech twój nam kryły,
I ciemnych konieczności spiżowe pierścienie
U stóp boga miłości same się kruszyły.
Wszędzie było wesele, miłość, lot, rozkwity;
Bóstwo samo—to było tylko promienienie,
Błysk wszechdobroci we wszechpotędze odbity.
. . . .

CZARA KRÓLEWSKA. (1)

Niegdyś wierna kochanka staremu królowi
Konając, złotą czarę dała ze swéj dłoni;
Jedyną tę pamiątkę, co mu o niéj mówi,
Skarb drogi ostatni po niéj.
Z téj czary, co mu była lubéj ręki darem,
Odtąd przy każdéj uczcie pił wino król stary;
Każdy płyn dlań się stawał niebiańskim nektarem,
Gdy płynął z téj drogiéj czary.
I gdy król jéj dotykał ustami drżącemi,
Łza wydobyta z serca wzrok mu zaciemniała,
I szlachetnego starca, kroplami drobnemi,
Zwiędłą powiekę zraszała.

(1) Jest to poetyczno-filozoficzny komentarz do znanéj ballady Goethego o królu z Thule.

On rozdał wszystkie dobra, poczuwszy skon bliski,
Oprócz ciebie, zadatku miłości minionéj;
Lecz nie czekał, nim śmierci nieludzkiéj uściski
Wyrwą cię z dłoni zdrętwionéj.
Jak gdyby chcąc ostatnie unieść upojenie,
Wychylił cię tchem jednym, tłumiąc w piersi łkanie,
I przemógłszy z wysiłkiem słabéj ręki drżenie.
W wodne cię rzucił otchłanie.
I okiem już zmąconém patrzał, jak skrywały
Fale twój złoty odblask, by więcéj nie błysnął:
To całą przeszłość swoją z tobą w te kryształy,
W te wodne głębie on cisnął.
I tak mu sercem żale ostatnie owładły,
Że nie czuł przyjścia śmierci. ani się nią strwożył.
Powiek, które mu w bólu na oczy opadły,
Nie podniósł już, nie otworzył.
O czaro wspomnień, którą przed usty chciwemi
Po same brzegi napój wypełniał płonący,
I którą przy ostatniéj uczcie, schodząc z ziemi,
W dłoni podnosimy drżącéj,
Ty, co smak nieśmiertelny kryłaś w twym krysztale
Naszych snów, cierpień, uczuć w przeszłości dalekiéj,
Skoro znikniesz zprzed oczu pod wieczności fale,
Można je zamknąć na wieki.

K. R.

SPRAWY EKONOMICZNE.

I.

Sprawa podniesienia drobnego przemysłu, rzemiosł i rękodzieł.—Źródło proletaryatu fabrycznego. — Rękodzieła we Francyi. — Ecoles nationales d'arts et métiers.—Postęp w Niemczech. - Sztuka dekoracyjna i Kunstgewerbevereiny.—Styl „altdeutsch."—Schinkel, Beuth i Semper.—Stanowisko Anglii.—Muzeum South-Kensington.—Szkoły techniczne w Rosyi.—Instytut technologiczny.—Szkoła politechniczna w Rydze i Centralna rysunkowa Stieglitza.—Usiłowania Towarzystwa przemysłu i handlu.—Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. - Projekt ustawy *Towarzystwa opieki rzemieślniczo-przemysłowéj w Warszawie.*—Wielka jego doniosłość.—Muzeum rzemiosł i rękodzieł.—Rozprawy w paryskiéj Société d'Économie politique.—Interwencya państwa i gmin w sprawy mieszkań.—Zdania Molinarego, Dreyfusa i Guyota.—Demokraci i socyaliści.—Statystyka lokali w Paryżu.—Wzrost bogactwa w przeciwstawieniu do zastoju.—Rada municypalna paryska i „taxe de loyer."—Mieszkania dla robotników.—La Société des maisons ouvrières de Passy-Auteuil.—La Société Mulhousienne des Cités ouvrières.—Stosunki robotnicze w Szwecyi.—L. O. Smith i ringi w Stockholmie.—Domy robotnicze w Anglii.—Komisya parlamentarna.—Building Societies.—Peabody, H. Waterlow i Octawia Hill.—Komisya zdrowotności w Warszawie.—Towarzystwo budowy tanich mieszkań i konkurs. Podatek dochodowy od kapitałów.—Słuszność opodatkowania kuponów i dywidend i niesłuszność obciążenia dochodu od wkładów na małe odsetki.—Przewidywania skarbu.

Podniesienie rzemiosł, udoskonalenie rękodzieł i rozkrzewienie przemysłu drobnego, oto ogólne hasło rozlegające się od Atlantyku do Uralu i od ziemi Eskimosów do historycznéj Cytery. Olbrzymi rozkwit wielkiego przemysłu w bieżącém stuleciu prócz dodatnich miał także i ujemne strony, wytworzył bowiem proletaryat fabryczny. Wynalazek maszyn pozbawiał zajęcia często dziesiątki, a nawet i setki tysięcy ludzi niezdolnych do innéj pracy, np. wynalazek maszyny do robienia firanek itp. odrazu odjął zarobek 150,000 ludzi zajętych wyszywaniem na tiulu. Jeszcze większą liczbę ofiar spowodowało zastosowanie parowéj maszyny w tkactwie. Dziś jedna maszyna drukarska, obsługiwana przez kilku ludzi, więcéj i dokładniéj pokryje rysunkiem różnorodnych tkanin, aniżeli setka dawnych ręcznych drukarzy. Dawniéj wielkie fabryki miały po 500—1000 drukarzy,

gdy dziś tę samą ilość towaru produkuje 5—8 parowych maszyn drukarskich. To samo zjawisko widzimy i w innych gałęziach przemysłu. Innym ujemnym skutkiem jest ciążenie ludności wiejskiéj, zwłaszcza bezrolnéj, ku wielkim ogniskom fabrycznym, co wywołuje brak i podrożenie robotników rolnych, łącznie z obniżeniem zarobków na fabrykach, dla ludności stale przemysłem zajętéj.

Rola niejednakowego ciągle wymaga natężenia sił roboczych,— zimą zarobek na wsi trudniejszy, więc też ludność zwłaszcza bezrolna, gromadnie śpieszy na pobliskie, a nawet odleglejsze fabryki, szukając środków utrzymania. Niema w tém nic zdrożnego, lecz złe w tém leży, że nie wszyscy powracają latem na rolę; pewna, dosyć znaczna liczba pozostaje w miastach. Ludzie ci, oderwani od domowego ogniska i zasmakowawszy w lżejszéj pracy, łatwo przywykają do życia miejskiego i oto jest jedna z przyczyn tworzenia się proletaryatu. Otóż jest dziś staraniem ogólném wstrzymać przypływ ludności wiejskiéj do miast, dawszy jéj możność zarobkowania zimą na wsi u siebie, a to przez rozkrzewienie *drobnego przemysłu.* Najwięcéj zdziałała w tym kierunku środkowa Europa, a szczególniéj południowe Niemcy, Szwajcarya i zachodnia część Austryi. Drobny przemysł domowy tak świetnie się tam rozwinął, że nie tylko daje zajęcie w zimie ludności rolnéj, ale i dzielnie wpłynął na zmniejszenie się proletaryatu wiejskiego. Drobny przemysł wiejski stał się źródłem nie tylko utrzymania życia, lecz też i wzrostu zamożności. Historya kas oszczędności, zwłaszcza niemieckich i czeskich, mogłaby dostarczyć wielu danych, stwierdzających ogólne polepszenie stanu ekonomicznego wśród ludności wiejskiéj, mało lub bezrolnéj, skutkiem zaszczepienia drobnego przemysłu.

Ruch w tym kierunku objawia się i u nas, lubo nader słabo. Dopatrujemy go w usiłowaniach pojedynczych ludzi, oraz w pracach Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, które z taką troskliwością zabrało się do rozpatrzenia kwestyi podniesienia drobnego przemysłu i rzemiosł, bez względu, że na samym wstępie napotkało na tak wielką apatyę inteligencyi wiejskiéj, w dostarczeniu odpowiedzi na rozesłany kwestyonaryusz. A przecież nam to więcéj niż innym ludom należałoby się pośpieszyć, bo my pozostaliśmy w tyle po za wszystkiemi. My dziś staramy się *zaszczepić* drobny przemysł i *rozwinąć* rzemiosła, gdy nasi sąsiedzi zachodni, a nawet i wschodni, te gałęzie pracy narodowéj dawno już rozwinęli i starają się je tylko *udoskonalić*, w obec sąsiedzkiego mniéj lub więcéj groźnego współzawodnictwa.

Dawniéj *Francya* trzymała palmę pierwszeństwa pod względem rzemiosł i drobnego przemysłu, zalewając całą Europę swojemi wy-

robami,—dziś znajduje już groźnych współzawodników w tym kierunku mianowicie w Niemczech i Szwajcaryi, tak. że pomimo wrodzonéj wyższości robotnika francuskiego pod względem gustu i twórczości, obecnie Francya wiele musi dokładać starań, aby choć w części uratować zagrożoną pozycyę. Poprzednio większa część Europy, nie mając u siebie rozwiniętego drobnego przemysłu i udoskonalonych pracowników odznaczających się pomysłowością i gustem estetycznym, musiała poprzestawać na tém, co jéj dawała Francya. Były to wyroby i przedmioty piękne i okazałe, ale wykonane w guście wyłącznie francuskim, gdy tymczasem obecnie konsument stał się wybredniejszym, nie chce już poprzestawać na tych wzorach, które mu samowładnie narzucają Francuzi, i domaga się, aby wytwórca stosował się do jego gustu, do jego potrzeb i nawyknień. Dopiéro téż od niedawna Francuzi zrozumieli przyczynę zmniejszania się popytu na ich wyroby i konieczność studyowania potrzeb i nawyknień innych ludów. Przemysłowcy i fabrykanci rozesłali całe legiony agentów, potworzyli niemal wszędzie swoje izby handlowe i konsulaty, mające między innemi obowiązek dostarczania wzorów i objaśnień. Powstała wielka ilość szkół rysunkowych w zastosowaniu do przemysłu. W samym Paryżu istnieje ich przeszło 300, nie licząc zbiorów, muzeow, częstych wystaw specyalnych stałych, czasowych i ruchomych. Prócz tego zorganizowano obecnie trzy szkoły narodowe sztuk i rzemiosł (écoles nationales d'arts et métiers) istniejące w Aix, Angers i Châlon sur-Marne. Zostają one pod głównym kierunkiem *Conseil supérieur de l'enseignement technique*, będąc rzeczywistemi akademiami rzemiosł. Celem ich jest wykształcenie zdolnych robotników, mogących samodzielnie kierować zakładami i warsztatami. Kurs trzyletni, wyłącznie dla dzieci od 15—17 lat obywateli francuskich.

Podług nowéj ustawy, każda z tych trzech szkół nie może liczyć uczniów więcéj nad 300, bądź pensyonarzy, bądź przychodnich. Nauka ma kierunek teoretyczny i praktyczny. Uczniowie, którzy z odznaczeniem ukończyli szkołę, mogą po roku praktyki otrzymać nagrodę pieniężną w ilości 500 franków. Zwrócono także szczególną uwagę na języki obce, jako na dzielny środek ułatwiający wędrówkę w celu kształcenia się na obczyznie. Słowem zdaniem Artura Mangin, szkoły rzemieślnicze udoskonalono w tym celu aby dać „industries respectives des cadres où se puisse recruter leur état-major, et qui les maintiennent et les dirigent dans la voie du progrès...“ gdyż podług p. Waldeck-Rousseau „dans l'atelier comme au régiment, il faut qu'il y ait un colonel....“

Od czasu wojny francuskiéj w 1870 r. *Niemcy* w przemyśle i rękodziełach olbrzymi wykazali postęp, tém donioślejszy, że nietylko ilościowy ale i jakościowy. Porównajmy wyroby niemieckie dzisiejsze z wyprodukowanemi przed laty dwudziestu: jakaż to wielka nastąpiła zmiana na lepsze. Niemieckie wyroby zawsze odznaczały się taniością ale téż i lichotą, brakiem gustu, a często i trywialnością pomysłu, gdy tymczasem obecnie niektóre wyroby, zwłaszcza okolic nadreńskich i południowych, zalecają się trwałością, wykwintem, a nawet i smakiem estetycznym. Z każdym téż rokiem rozszerzają zakres swego zbytu na obcych targach, wypierając przemysł francuski i angielski. Przewrót ten sprowadziły liczne „Kunstgewerbevereiny," lubo i one wpadły w jednostronność, popierając głównie wskrzeszenie form staroniemieckich „altdeutsch." Wszędzie w muzeach, sklepach i magazynach naczelne miejsce zajmują wyroby w staroniemieckim stylu, począwszy od kominka, ekranu, balkonu, do najmisterniejszych wyrobów z porcelany, bronzu i złota. Wprawdzie sztuka dekoracyjna w Niemczech schlebia obecnym prądom arystokratyczno-militarnym, które sprawiają, że każdy *bürger*, kupiec i przemysłowiec chce się wywodzić, jeżeli już nie od krzyżowców, to od krzyżaków, każdy chce wykazać starożytność i szlachetność swego rodu, nie mniéj jednak ta jednostronność sztuki dekoracyjnéj niemieckiéj nie może być objawem długotrwałym. Wszak Niemcy w bieżącym wieku różnym już stylom hołdowali, począwszy od entuzyazmu dla form greckich i rzymskich, aż do renesansu i baroku. W wykształceniu się smaku estetycznego u Niemców wielkie zasługi położyli, Schinkel, Beuth, Semper i inni, obecnie zaś, jak rzekliśmy, „Kunstgewerbevereiny," rozrzucone po wielkich miastach, w Berlinie, Monachium, Dreźnie, Düsseldorfie, Frankfurcie, Hamburgu, Stuttgardzie, Norymberdze itd. Stowarzyszenia te wydają na swe zbiory znaczne fundusze, utrzymują szkoły rysunkowe, galwanoplastyki, lepienia, cyzelowania itp. Z przyjemnością wyczytaliśmy wiadomość, o zamierzonéj u nas wystawie sztuki dekoracyjnéj, lubo podjąć ją mają usiłowania pojedynczych ludzi, zatem bez wielkich środków—improwizacyjnie; mamy jednak nadzieję, że pobudzi ona nasz świat rzemieślniczy i przemysłowy do zjednoczenia usiłowań w celu wytworzenia szkoły rysunkowéj w zastosowaniu do przemysłu, a może téż i do założenia ruchliwszego polskiego „Kunstgewerbevereinu."

Wystawa londyńska 1851 r. pokazała *Anglikom* całą przepaść, rozdzielającą ich sztukę dekoracyjną, od francuskiéj, wzięli się więc gorliwie do podniesienia sztuk i rzemiosł, nie szczędząc nakładów. Zaczęto od sprowadzenia wzorowych robotników francuskich, jako nauczycieli, oraz utworzono wielką ilość szkół profesyjnych, rysun-

kowych i muzeów, z których jedno tylko, wprawdzie najważniejsze, South-Kensington wydaje rocznie 60,000 funtów szt. Dziś po trzydziestu latach Anglia zajmuje pierwszorzędne miejsce, tak pod względem doskonałego wykończenia, jako też i smaku estetycznego.

W *cesarstwie rosyjskiem* pierwszą szkołą techniczną był „S. Pietierburgskij prakticzeskij tiechnołogiczeskij institut“ założony staraniem Kankrina w r. 1828. W 1862 r. przekształcono go na wyższy zakład naukowy z czteroletnim kursem i dwoma wydziałami: mechanicznym i chemicznym. Drugim zakładem więcéj znanym jest „Rižskoje politiechniczeskoje ucziliszcze“, założone w 1861 r. z siedmiu wydziałami: 1) gospodarstwa wiejskiego, 2) chemiczno-technicznym, 3) mierniczym, 4) inżynierskim, 5) mechanicznym, 6) architektonicznym i 7) handlowym. Daléj istnieją trzy szkoły techniczne: w Irkucku, Moskwie i Kungurze, oraz wiele profesyjnych, rzemieślniczych, rysunkowych itp. Pomiędzy temi ostatniemi naczelne miejsce zajmują: szkoła techniczna braci Milutynów w Czerepowcu, i Centralna szkoła rysunku technicznego Stieglitza w Petersburgu, założona w 1878 r. kosztem miliona rubli i zabezpieczona olbrzymim zapisem. Cel téj szkoły polega na wykształceniu nauczycieli rysunków, oraz rysowników dla rękodzieł i rzemiosł. Kurs w szkole Stieglitza trzyletni, dla chłopców i dziewcząt nie młodszych od 14 lat i przygotowanych w zakresie czterech klas gimnazyalnych lub realnych. Wpis roczny 12 rubli, od którego jednak łatwo można być uwolnionym. Przy szkole centralnéj istnieje szkoła początkowa rysunków dla dzieci najmniéj 12 letnich, z opłatą 3 ruble rocznie. W ogóle szkoły techniczne w Rosyi utworzono przeważnie środkami pojedynczych osób, lub też gmin; niektóre z nich stoją na istotnie wysokim stopniu rozwoju, lecz są tak nieliczne, że bez silnego przypływu cudzoziemców specyalnie wykształconych przemysł i rękodzieła w Cesarstwie obejść się nie mogą.

U nas, jak wyżéj nadmieniliśmy, sprawę podniesienia rzemiosł i drobnego przemysłu podjęło Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, lecz organ ten przy różnorodnéj swéj działalności, a małych środkach materyalnych nie może mieć téj doniosłości, co instytucya specyalnie utworzona dla jednorodnych celów i dla jednéj miejscowości. Warszawskie Muzeum przemysłowo-rolnicze, którego ustawa w d. 1 lipca 1875 została zatwierdzoną, posiada zakres bardzo rozległy, obejmujący całość rolnictwa i przemysłu, dla którego potrzeb otworzyło specyalne kursa rysunkowe. Poważna ta instytucya rozciąga swą działalność na kraj cały, a mając obszerny program, rzecz naturalna, nie może przejawiać téj ruchliwości, co instytucye specyalne dla pewnych gałęzi utworzone. Daléj, jeżeli stolica

kraju potrzebuje Muzeum przemysłu, to jeszcze może w większym stopniu podobnych instytucyi potrzebują i inne nasze miasta. Powoływać do życia w miastach prowincyonalnych muzea, na wzór warszawskiego muzeum przemysłu i rolnictwa, jest dla wielu względów wprost nie możebném. Przy tém, najpilniejszą potrzebą jest podniesienie rzemiosł i drobnego przemysłu, oraz zakładanie szkół profesyjnych nie tylko w samej Warszawie ale i na całej przestrzeni królestwa Polskiego. W tej myśli, ponieważ Warszawa jest centralném ogniskiem ruchu rzemieślniczego i przemysłowego (drobnego), postanowiliśmy dać inicyatywę powołania do życia takiego towarzystwa, któreby ograniczając swoją działalność do Warszawy, łączyło w sobie dwa cele: ekonomiczny i filantropijny, mając nadzieję, że znajdą się ludzie, którzy myśl naszą w czyn zamienią.

Pożądaném jest, aby na wzór projektowanej przez nas instytucyi dla Warszawy, powstały podobne i w innych miastach i osadach, Królestwa. Dodajemy, że będąca w mowie instytucya bynajmniej nie będzie współzawodniczyć z Muzeum przemysłowo-rolniczém, owszem jako ograniczająca się do celów specyalnych, wyłącznie danej miejscowości i z charakterem filantropijnym, będzie pożądaném niejako dopełnieniem Muzeum.

Podajemy tu czytelnikom projekt ustawy „*Towarzystwa opieki rzemieślniczo-przemysłowej*,“ napisanej na zasadzie istniejącej już instytucyi w Rybińsku (Rybinskoje remieslenno promyszlennoje popieczytielstwo w pamiat' Impieratora Aleksandra II). Nadmieniamy przytém, że zatwierdzenie towarzystw nowego, nieistniejącego typu napotyka na liczne trudności, a głównie potrzebuje bardzo długiego czasu, gdyż wedle przyjętego porządku, ustawa towarzystwa nowego typu rozpatrywaną jest najprzód we właściwém ministeryum, następnie w komitecie ministrów, a często jeszcze w radzie państwa, potrzebując przytém sankcyi władzy najwyższej. A jeżeli dodamy, że zwykle ministeryum zwraca projekt założycielom dla poprawek i dopełnień, to nic dziwnego, że na zatwierdzenie upragnionego stowarzyszenia czekać nieraz trzeba długie lata (jak to np. miało miejsce z kasami przemysłowców). Otóż mniemamy, że najkrótszą drogą jest zastosowanie ustawy typu już istniejącego, gdyż w tym razie sankcya właściwego ministra jest wystarczająca. Dlatego też wybraliśmy typ ustawy towarzystwa już istniejącego i porobiliśmy tylko nieznaczne zmiany konieczne. Mniemamy, że znajdą się ludzie dobrej woli, którzy z uwagi na podane tu objaśnienie postarają się o zatwierdzenie ustawy poniższej, do czego potrzebne jest tylko podpisanie tejże w języku rosyjskim przez założycieli i zaopatrzenie podaniem na imię ministeryum skarbu. Ustawa poniższa w zupełności odpowiada

naszym potrzebom, mając tak obszerny zakres, że przy energicznym kierunku (zarządzie) może wielkie oddać usługi rzemiosłom i drobnemu przemysłowi. Niewątpimy, że i inne miasta pójdą za przykładem Warszawy i postarają się o zatwierdzenie statutów podobnych towarzystw.

Projekt Ustawy
Towarzystwa opieki rzemieślniczo - przemysłowéj w Warszawie.

I. Przepis Ogólny.

§ 1. Towarzystwo opieki rzemieślniczo-przemysłowéj w Warszawie jest stowarzyszeniem prywatném filantropijném, zostającém pod zwierzchnim nadzorem departamentu handlu i rękodzieł ministerium skarbu.

II. O Członkach Towarzystwa.

§ 2. Osoby przyjmujące udział w działalności Towarzystwa dzielą się na członków: założycieli, honorowych i rzeczywistych.

§ 3. Założycielami Towarzystwa są osoby przyjmujące udział w utworzeniu towarzystwa.

§ 4. Członkami honorowemi nazywają się osoby, które złożyły jednorazowo przynajmniéj 150 rubli, lub téż które położyły szczególniejsze zasługi dla Towarzystwa.

§ 5. Każdy wnoszący rocznie rubli trzy, lub jednorazowe r. 50, jest członkiem rzeczywistym Towarzystwa.

§ 6. Instytucya lub stowarzyszenie, płacące rocznie 100 rubli, ma prawo uczęstniczenia przez swego delegata w zarządzie Towarzystwa z głosem doradczym.

§ 7. Osoby, które nie uiszczą składki za rok bieżący przed 1 kwietnia, uważane będą, jako zrzekające się charakteru członków Towarzystwa.

§ 8. Członkowie, ktorzy zasłużyli się Towarzystwu, mogą być przez postanowienie walnego zebrania uwolnieni od płacenia składki.

§ 9. Członkiem Towarzystwa może być każda osoba pełnoletnia bez różnicy płci i wyznania.

§ 10. Kandydatów przedstawia trzech członków dla balotowania na zebraniu walném.

§ 11. Osoby przyjęte w poczet członków otrzymują dyplom, opatrzony podpisem prezesa zarządu i pieczęcią Towarzystwa.

II. O celu Towarzystwa.

§ 12. Towarzystwo ogranicza swoją działalność na miasto Warszawę, mając za cel rozpowszechnianie wiadomości, dotyczących się rzemiosł i przemysłów, pomiędzy osobami wszelkich stanów i wyznań, bez różnicy płci. W tym celu Towarzystwo opieki rzemieślniczo-przemysłowéj:

a) zakłada szkoły i oddzielne klasy dla nauki rzemiosł i rękodzieł, stosując się do istniejących przepisów;

b) pośredniczy w umieszczaniu dzieci w szkołach profesyjnych, warsztatach i rękodzielniach;

c) urządza publiczne lekcye i wystawy wyrobów rzemieślniczych i drobnego przemysłu, nowo wynalezionych lub udoskonalonych machin i narzędzi użytecznych w przemyśle i dla rzemiosł, a to w celu rozpowszechnienia wiadomości o ich pożytku;

d) urządza muzea i czytelnie;

e) pomaga w dalszém kształceniu się osób, zostających pod opieką Towarzystwa, bądź w granicach państwa lub téż zagranicą, pośredniczy w umieszczaniu kończących nauki i w miarę środków wspiera kredytem tych z pośród swoich wychowańców, którzy otworzą zakłady lub warsztaty w Warszawie;

f) otwiera kasy zaliczkowo-wkładowe, których ustawy wypracowane przez Towarzystwo, drogą właściwą przedstawia rządowi pod zatwierdzenie;

g) opiekuje się chorymi zostającymi pod opieką Towarzystwa, bądź przez umieszczenie ich w szpitalach, lub téż innemi sposobami.

§ 13. Towarzystwo przyjmuje pod swoją opiekę dzieci niemłodsze od 12 lat, zdrowe, silnie zbudowane i umiejące czytać, pisać i rachować. O stanie zdrowia kandydata świadectwo wydaje lekarz Towarzystwa.

§ 14. Oprócz wymienionych w powyższym paragrafie osób Towarzystwo może przyjmować pod swoją opiekę sieroty po rzemieślnikach i rękodzielnikach nie młodsze jednak od 7 lat. W tym celu dla bezpośredniéj opieki i wykształcenia elementarnego może ich umieszczać w istniejących szkółkach i przytułkach.

§ 15. Pośrednicząc w umieszczeniu dzieci w warsztatach, lub zakładach dla nauczenia rzemiosła lub sztuki, Towarzystwo za zgodą rodziców lub opiekunów może zawierać umowy z właścicielami tych zakładów, przyjmując na siebie nadzór nad wykształceniem i utrzymaniem tych dzieci.

§ 16. Właścicielom zakładów lub warsztatów, którzy nauczą z odznaczeniem rzemiosła przynajmniéj troje dzieci, Towarzystwo wydaje świadectwo uznania.

§ 17. Towarzystwo może odznaczającym się swoim wychowańcom po dojściu do pełnoletności udzielać pożyczki na otwarcie warsztatów lub pracowni. Sposób umorzenia tych pożyczek określa zarząd w każdym poszczególnym razie.

IV. O przywilejach Towarzystwa.

§ 18. Towarzystwo może nabywać i przedawać nieruchomości i ruchomości w obrębie miasta Warszawy.

§ 19 Towarzystwo ma prawo używać pieczęci z herbem miasta Warszawy i z napisem dokoła „Towarzystwo opieki rzemieślniczo-przemysłowéj w Warszawie.“

V. Administracya Towarzystwa.

§ 20. Administracyę Towarzystwa stanowią: *a*) walne zebranie członków i *b*) zarząd.

A. *Walne zebranie.*

§ 21. W obradach walnego zebrania biorą udział z prawem głosu: członkowie założyciele, honorowi i rzeczywiści, oraz delegowani od instytucyi i stowarzyszeń, które na mocy § 6 przystąpiły do Towarzystwa.

§ 22 Walne zebrania są: zwyczajne, raz w roku, najpóźniéj w d. 1 kwietnia, oraz nadzwyczajne, zwoływane w miarę potrzeby.

§ 23. Nadzwyczajne walne zebrania zwoływane będą na żądanie czwartéj części członków, zarządu lub komisyi rewizyjnéj. O dniu, miejscu zebrania i przedmiotach obrad zarząd zawiadamia członków za pośrednictwem miejscowego dziennika urzędowego i gazety rzemieślniczéj, oraz przez wywieszenie ogłoszenia przynajmniéj na dni 14 przed zebraniem, w lokalu Towarzystwa.

§ 24. Na walnych zebraniach przewodniczy prezes wybrany większością głosów obecnych członków.

§ 25. O dniu i miejscu walnych zebrań zarząd zawiadamia zarząd policyi.

§ 26. Członkowie zarządu, lub komisyi rewizyjnéj nie mogą być wybrani na prezesa, lub sekretarza walnego zebrania.

§ 27. Do atrybucyi walnego zebrania zwyczajnego należy:

a) balotowanie członków Towarzystwa, oraz członków zarządu, ich zastępców, oraz komisyi rewizyjnéj;

b) rozpatrzenie sprawozdania działalności Towarzystwa, oraz wniosków komisyi rewizyjnéj;

c) zatwierdzenie budżetu;

d) decydowanie w kwestyach otwarcia instytucyi Towarzystwa;

e) zatwierdzenie instrukcyi dla zarządu i komisyi rewizyjnéj;

f) zwolnienie członków od składki na mocy § 8;

g) rozpatrzenie wniosków o zmianie ustawy;

h) decyzya o likwidacyi Towarzystwa.

§ 28. Walne zebranie zatwierdza regulamin sposobu obradowania na zebraniach.

§ 29. Postanowienia walnego zebrania zapadają prostą większością głosów obecnych na zebraniu członków.

§ 30. Dla prawomocności uchwał potrzeba, aby na walném zebraniu była obecna przynajmniéj czwarta część członków. W razie niezebrania się dostatecznéj liczby członków, zarząd zwołuje powtórne walne zebranie, po upływie dwóch tygodni, które decyduje już bez względu na liczbę obecnych członków. Na powtórném zebraniu przedmiotem obrad mogą być tylko te sprawy, które wchodziły w program pierwszego zebrania.

§ 31. Protokół obrad prowadzi sekretarz, wybrany przez walne zebranie i takowy wraz z prezesem walnego zebrania podpisuje.

B. *Zarząd Towarzystwa.*

§ 32. Zarząd Towarzystwa składa się: *a*) z czterech członków oraz czterech zastępców wybranych z ogólnéj listy członków na lat dwa, w ten sposób, że każdorocznie dwóch członków i dwóch zastępców występuje; *b*) z delegata magistratu miasta Warszawy jako przedstawiciela cechów. Prócz tego w zarządzie biorą udział delegaci stowarzyszeń w myśl § 6 z głosem doradczym.

§ 33. Członkowie zarządu wybierają z pomiędzy siebie prezesa i vice-prezesa.

§ 34. Prezes zarządu jest przedstawicielem Towarzystwa, do niego należy wykonywanie postanowień zarządu, oraz korespondowanie z władzami, instytucyami i t. p., on téż wraz z sekretarzem podpisuje wszelką korespondencyę w imieniu Towarzystwa.

§ 35. Do atrybucyi zarządu należy:

a) przedsiębranie środków mających na celu rozwój Towarzystwa w granicach ustawy i instrukcyi;

b) zarząd funduszami Towarzystwa;

c) przedstawianie walnemu zebraniu listy kandydatów na członków Towarzystwa;

d) ułożenie budżetu, rocznych sprawozdań, oraz wniosków na walne zebranie;

e) wygotowanie instrukcyi dla zarządu i komisyi rewizyjnéj. Postanowienia zarządu zapadają prostą większością głosów, a dla ich prawomocności potrzebna jest obecność przynajmniéj czterech członków lub ich zastępców. Protokuł obrad prowadzi sekretarz i takowy wraz z prezydującym podpisuje.

§ 36. Posiedzenia zarządu odbywają się przynajmniéj raz na tydzień.

§ 37. Członkowie zarządu wybierają z pośród siebie kasyera, który spełnia obowiązki na mocy osobnéj instrukcyi przez walne zebranie zatwierdzonéj, lecz za całość funduszów wszyscy członkowie zarządu, wybrani przez walne zebranie, solidarnie są odpowiedzialni całym swoim majątkiem.

§ 38. Komisya rewizyjna sprawdza księgi, dokumenty i kasę Towarzystwa przynajmniéj dwa razy miesięcznie, o czém sporządza protokuł. Za niedbałe spełnianie obowiązków, komisya rewizyjna w razie nadużyć solidarnie jest odpowiedzialną wraz z zarządem za całość funduszów Towarzystwa.

§ 39. Dla spełniania obowiązków kancelaryjnych zarząd może posiłkować się pomocą zewnętrzną za wynagrodzeniem oznaczoném w budżecie.

VI. **Fundusze Towarzystwa.**

§ 40. Fundusze Towarzystwa składają się:

a) ze składek jednorazowych lub rocznych członków Towarzystwa;

b) z dochodów z urządzanych wystaw, odczytów, oraz instytucyi Towarzystwa;

c) z dobrowolnych ofiar i zapisów.

§ 41. Składki jednorazowe członków stanowią kapitał żelazny, który może być naruszony jedynie za decyzyą walnego zebrania.

§ 42. Wszelkie fundusze Towarzystwa tak w gotowiźnie jako też w listach zastawnych i gwarantowanych papierach publicznych mają być bezwłocznie lokowane w Kasie pożyczkowéj przemysłowców warszawskich i podnoszone nie inaczéj jak za pośrednictwem czeku podpisanego przez dwóch członków zarządu i opatrzonego pieczęcią Towarzystwa.

§ 43. W razie likwidacyi Towarzystwa pozostałe fundusze walne zebranie przekazuje istniejącéj szkole rzemieślniczéj lub innemu stowarzyszeniu rozwój rzemiosł mającemu głównie na celu, o czém zawiadamia ministeryum skarbu i magistrat miasta Warszawy.

VII. Rachunkowość.

§ 44. Roczne sprawozdanie, sprawdzone przez komisyę rewizyjną i zatwierdzone przez walne zebranie, zarząd ogłasza w miejscowym dzienniku urzędowym i gazecie rzemieślniczéj, oraz komunikuje ministeryom skarbu i spraw wewnętrznych.

Do ustawy powyższéj dodajemy kilka objaśnień. I tak: zwracamy uwagę na § 7, wedle którego członkami Towarzystwa mogą być instytucye i stowarzyszenia, — mamy tu na myśli cechy, stowarzyszenia przemysłowe akcyjne lub udziałowe, oraz większe fabryki lub zakłady. Niewątpimy, że one chętnie przystąpią do Towarzystwa, gdyż to leży nawet po części w ich interesie, w pieczołowitości o rozwój rzemiosł i rękodzieł, który przecież zależnym jest od rozpowszechnienia wykształcenia profesyjnego. Liczne przystąpienie stowarzyszeń da silny fundament finansowy nowemu Towarzystwu, umożliwiając oprócz innych celów, tworzenie klas rysunkowych i specyalnych, oraz poznajomianie rzemieślników za pośrednictwem wystaw i muzeum z najnowszemi zastosowaniami techniki i wynalazków.

Również ważnym jest § 13 orzekający, że Towarzystwo opiekuje się głównie dziećmi, mającemi już elementarne wykształcenie. Urządzenie istniejących u nas szkół rzemieślniczych w tém jest wadliwe, że obejmuje zakres wychowania elementarnego oprócz specyalnego, co powoduje bardzo znaczne koszta utrzymania, których szkoły nie mają czém pokryć. Prawda, że ten system jest gruntowniejszym i donioślejszym, ale cóż z tego kiedy niepraktycznym, bo wymagającym znacznych funduszów, których właśnie nie mamy. A skoro nie mamy dostatecznych kapitałów, to trzeba nam się ograniczyć do celów specyalnych. Nowe Towarzystwo nie będzie potrzebowało tworzyć formalnych szkół przynajmniéj na początek, ale wprost wynająwszy jedną lub dwie izby i powoławszy majstra nauczyciela, otwierać będzie tak zwane klasy, np. dla szewców, krawców, stolarzy i t. p., a nawet w razie trudności otwarcia jakiéj klasy specyalnéj, będzie swoich wychowańców wprost oddawać do wzorowych zakładów lub majstrów na naukę za odpowiedniém wynagrodzeniem. W miarę funduszów będzie tworzyć i specyalne klasy rysunkowe, a nawet formalne szkoły z rozleglejszym programem, lecz początkowo będzie miało głównie na celu, aby jak najmniejszą sumą pieniędzy osiągnąć jak największą korzyść. Zatém wykształcić *specyalnie* fachowo jak największą liczbę dzieci, pozostawiając ogólne wykształcenie na drugim planie. Głównym także celem będzie utworzenie *muzeum rzemiosł i rękodzieł*, oraz wystaw machin

i narzędzi udoskonalonych, z praktyczném objaśnieniem ich znaczenia.

Otwarcie biblioteki i czytelni nie mniéj przyczyni się do rozkwitu rzemiosł i rękodzieł, gdyż nie wątpimy, że Towarzystwo zwróci głównie uwagę na dobór dzieł i podręczników odpowiednich tym klasom, dla których będą przeznaczone. Czytelnia specyalna i odczyty wpłyną bardzo na podniesienie poziomu umysłowego i moralnego, gdyż dadzą młodemu pokoleniu możność szlachetnéj rozrywki. Dziś rzemieślnik, a zwłaszcza kandydat na rzemieślnika nie ma odpowiedniéj czytelni, gdzieby mógł zasiągnąć wiadomości potrzebnych dla jego fachu, jeżeli więc zajmuje się lekturą, to najczęściéj bardzo wątpliwéj wartości, jeżeli już nie wprost szkodliwą. Spodziewamy się téż, że przyszłe Towarzystwo wejdzie w stosunki z wzorowemi zakładami zagranicą, aby ułatwić swoim wychowańcom możność dalszego kształcenia się fachowego, oraz postara się o rozkrzewienie tych rzemiosł i rękodzieł, które w kraju mało lub wcale są nieznane.

Na tém kończymy nasze uwagi, spodziewając się, że nasze myśli nie pójdą na marne, ale pobudzą ludzi dobréj woli, jak na początek, do wyjednania zatwierdzenia powyższéj ustawy.

Na jedném z posiedzeń Towarzystwa ekonomicznego w Paryżu, Fr. Passy i G. Molinari podnieśli kwestyę interwencyi państwa i municypalności w sprawie drożyzny i niedostatku mieszkań. Okazało się, że w ostatnich latach ludność stolicy świata szybko się zwiększała, średnio o 50,000 rocznie, zwiększała się téż i liczba mieszkań, lecz mieszkań większych, a głównie droższych, gdy tymczasem naglącą potrzebą było pomnożenie liczby mieszkań małych, dla klas pracujących przeznaczonych. Jak zwykle w takich razach, najprzód zwrócono się do rządu opiekuńczego i municypalności, bo niestety nawet we Francyi istnieje znaczna część ludności, która sądzi, że na wszelką niedolę rząd jest jedyném lekarstwem, niewyczerpaną skarbnicą, obdzielającą ludzi „faworami“ — jak powiada p. Waldeck-Rousseau. Innego jednak zdania byli poważni członkowie „Société d'Economie politique.“ Molinari przyznawał, że stan robotników pod względem zarobków, odzieży i żywienia znacznie się poprawił, a tylko kwestya mieszkań dotąd w całéj rozciągłości nie została rozwiązaną, lecz nie sądził, aby socyalistyczne projekta przedłożone municypium mogły miéć jakąkolwiek wartość. Socyaliści żądali, aby miasto wywłaszczyło te dzielnice i domy, które zamieszkane są przez klasy pracujące, lub téż aby weszło w układy z *Crédit foncier* celem pozyskania pożyczki w stosunku 6% na domy budowane dla robo-

tników. Oba te projekty upadły, jak również i myśl Dreyfusa udzielenia 50 mil. fr. pożyczki na domy systemu mieszanego, t. j. budowane w ten sposób, aby piętra niższe zajmowały klasy zamożniejsze, a wyższe z *oddzielnemi* schodami dla robotników. Myśl tę przyjęto z oburzeniem, jako niezgodną z duchem francuskim równości stanów. Yves Guyot dowodził, że miasto może się zabudowywać wszerz lub téż w wyż; co do terytoryum, to w Paryżu pustych placów niewiele, co do budowania wysokich domów, to na to istnieją specyalne przepisy ograniczające dowolność, pozostaje zatém rozszerzyć miasto, znieść stare fortyfikacye i na ich gruzach wznieść domy dla robotników i złączyć je z miastem specyalną koleją. Na ten projekt tak racyonalny jeden z ponurych demokratów zawołał: „Vous voulez déporter la population ouvrière?“ — „Ça“, odpowiedział tylko Guyot, dodając zarazem, że i najbogatsi kupcy i przemysłowcy nie mieszkają w środku Paryża, przy swoich sklepach, składach i kantorach, ani téż londyńska City wieczorem, po ukończeniu czynności, bynajmniéj nie przypomina, że to jest najbogatsza w świecie dzielnica.

Czy rzeczywiście budują w Paryżu mało i czy małą jest liczba mieszkań? Odpowiedź na to znajdujemy w „Bulletin de statistique du ministère des finances“ (maj 1884), a jest ona stanowczo przeczącą. Podług urzędowéj statystyki w Paryżu:

	wzniesiono	zburzono
w 1880 r. lokali . .	16,240	8,443
w 1881 „ „ . .	23,129	7,761
w 1882 „ „ . .	27,642	7,440
w 1883 „ „ . .	36.967	8,458
razem	103,978	32,102

czyli w ciągu czterech lat przybyło lokali 71,876. Wogóle z końcem 1883 r. liczono w Paryżu mieszkań dla ludności 755,981
i dla potrzeb przemysłu i handlu 346,051
razem 1,102,032

Ilość mieszkań dla ludności względnie do ceny z końcem 1883 r. w Paryżu rozdzielała się w sposób następujący:

w cenie niżéj . . . 500 fr.	czyli niżéj . . 125 rubli zł.,	585,902	mieszkań,	t. j.	77,52%
„ od 500— 750	„ 125 — 187½	—	72,012	„		9,52
„ 750— 1,000	„ 187½— 250	—	24,977	„		3,30
„ 1,000— 1,500	„ 250 — 375	—	27,475	„		3,63
„ 1,500— 3,000	„ 375 — 750	—	26,012	„		3,44
„ 3,000— 6,000	„ 750 —1,500	—	12,931	„		1,71
„ 6,000—10,000	„ 1,500 —2,500	—	4,247	„		0,56
„ 10,000—20,000	„ 2,500 —5,000	—	1,945	„		0,26
„ wyżéj 20,000	„ wyżéj 5,000	—	480	„		0,06
		razem	755,981	mieszkań,		100.

Wartość lokali dla mieszkańców statystyka ocenia na 395 mil. fr.
oraz pomieszczeń dla handlu i przemysłu . . . . 261 „ „
razem na 656 mil. fr.

czyli wartość lokali wynosi na każdego paryżanina 43½ rubla zł., a łącznie ze sklepem i składami i t. p. 72 ruble zł. rocznéj dzierżawy.

Statystyka nie podaje ilości pustych lokali w cenie niższéj od 500 frank. — od téj zaś sumy d. 15 stycznia 1884 r. było pustych lokali w Paryżu 10,099 czyli 6%, oraz pomieszczeń dla handlu i przemysłu 6,420, razem 16,519 lokali.

Wiadomo, że od kilku lat istnieje w Paryżu zastój w interesach, skutkiem czego mnóstwo ludzi pozostaje bez zajęcia, szczególniéj robotników, że więc ogólnie dochody mieszkańców się zmniejszyły, tém więcéj, że do tego rezultatu przyczyniła się także konwersya renty o ½%, oraz zmniejszenie dywidend od akcyi. Zdawałoby się więc, że mieszkań większych zbytkowniejszych coraz więcéj winno być niezajętych, a témbardziéj nie powinnaby się zwiększać ich liczba. Tymczasem rzecz się ma inaczéj, bo w ostatnich latach budowano przeważnie lokale droższe, i tak w ciągu ostatnich trzech lat przybyło w Paryżu lokali:

w cenie	1,500 —2,500	rubli	— 1,019	czyli	31,56%	poprzedniéj ilości
„	2,500 —5,000	„	— 406	„	26,31	„ „
„	750 —1,500	„	— 2,577	„	24,80	„ „
„	375 — 750	„	— 4,058	„	18,48	„ „
„	125 — 187½	„	— 9,786	„	15,67	„ „
„	187½— 250	„	— 3,333	„	15,40	„ „
„	250 — 374	„	— 3,582	„	13,01	„ „
„	wyżéj 5,000	„	— 46	„	10,59	„ „
„	niżéj 125	„	—39,594	„	7,24	„ „
		razem	64,401	czyli	9,37	poprzedniéj ilości.

Z powyższego widzimy, że istotnie liczba małych mieszkań słabo wzrastała, kosztem wielkich lokali. Liczby te doprowadzają nas także do innych wniosków, mianowicie, widzimy olbrzymi wzrost bogactw téj stolicy świata. Przecięciowo Francuzi wydają ósmą część dochodu na lokal; mając to na uwadze, przekonywamy się, że w ciągu trzech lat przybyło w Paryżu 2,577 osób, mających dochodu od 6—12,000 rubli, — 1,019 osób od 12—20,000 rubli, — 406 od 20 do 40,000 rubli i 46 osób mających dochodu wyżéj 40,000 rubli rocznie. Jest-to wzrost zadziwiający, jakiego chyba żadna stolica wykazać nie może.

Przypatrzmy się teraz, co w kwestyi mieszkań zrobiła rada municypalna paryska. Objaśniamy, że w Paryżu *lokatorowie* płacą na

rzecz miasta podatek znaczny „taxe de loyer“, otóż przy roztrząsaniu budżetu na rok bieżący municypium postanowiło:

Art. 1. Każdy lokal wartości matrykularnéj (tj. obniżonéj o $1/5$) rocznéj 400 franków, t. j. 100 rubli zł., wolny jest od wszelkich podatków.

Art. 2. Każdy lokal wartości matrykularnéj wyższéj nad 400 fr. płaci szacunkowe w stosunku 16,10% od zwyżki nad 400 fr.

Zatém od podatku uwolniono przeszło $3/4$ lokali, pozostałe zaś płacą „taxe des loyers“, i to wysoką, gdyż np.

z mieszkania w cenie	250	rubli płaci lokator	16	rub.	10	kop. czyli	6,4%
„	„ 625	„ „ „	64	„	40	„ „	10.3
„	„ 1,250	„ „ „	144	„	90	„ „	11,5
„	„ 3,125	„ „ „	386	„	40	„ „	12,3

widzimy więc, że podatek z lokali jest postępowy, to jest im kto zajmuje droższy lokal, czyli im jest zamożniejszy, tém téż i stopa podatkowa jest większą.

Sprawa *mieszkań dla robotników* i wogóle dla ludności uboższéj, stoi obecnie na porządku dziennym we wszystkich niemal państwach Europy. Najpotężniejsze umysły ekonomistów i techników silą się rowiązać, tę istotnie nader doniosłą kwestyę. Naszém zdaniem ekonomiści francuscy najwłaściwiéj pojęli tę sprawę i odrazu téż postawili ją na odpowiednim gruncie. Nie domagają się oni zupełnie interwencyi państwa, ani téż municypalności i gmin, owszem uważają to mieszanie się za wprost szkodliwe, a pozostawiają rozwiązanie téj kwestyi wyłącznie inicyatywie i przedsiębierczości prywatnéj. Łącznie z technikami wskazują tylko główne zasady na jakich sprawa mieszkań dla klas pracujących winna być opartą. Naturalnie, że z tym poglądem tak słusznym, nie sympatyzuje odcień socyalistyczny, uważający państwo i gminę wszędzie i zawsze za głównego kierownika i regulatora spraw współobywateli. W różnych państwach Europy powstały liczne stowarzyszenia, które odrzuciwszy filantropię w ścisłém znaczeniu, przedsiębiorstwo budowy tanich mieszkań oparło wyłącznie na rachunku, naturalnie szeroko uwzględniając potrzeby tych, dla kogo powstały. Praktyka wykazała, że przedsiębiorstwa podobne przynoszą założycielom znaczne nawet zyski, np. w Paryżu domy budowane dla robotników przynoszą czystego zysku 6—8% t. j. odsetki bardzo wysokie, jakie wykazać mogą tylko niektóre domy w Paryżu.

Jedném z podobnych przedsiębiorstw jest *La Société des maisons ouvrières de Passy-Auteuil*, założone ze skromnym kapitałem 200,000 fr. podzielonych na drobne akcye. Stowarzyszenie to cieszy się szczególną opieką ekonomistów, którzy bądź jako akcyo-

naryusze, bądź agitujący do niego należą. Na czele jego stoją Dietz-Monnin, senator i prezes izby handlowéj, oraz E. Cheysson, naczelny inżynier dróg i mostów. Towarzystwo zbudowało już dwie grupy domów liczące razem 46, podług wszelkich wymagań sanitarnych i wygody. Każdy domek w Passy-Auteuil składa się z 5 izb (*pièces*) wraz z niezbędnemi dodatkami i zbudowany w ten sposób, że w miarę wzrastania rodziny, łatwo go można powiększyć. Domki te, mające oddzielne ogródki i podwórka, przeznaczone są dla jednéj rodziny za opłatą 300 franków, t. j. 75 rubli rocznie w ciągu lat 20, po upływie których lokator staje się zupełnym właścicielem domu. Domy większe z dwoma lokalami płacą 500 fr., to jest 125 rubli również w ciągu 20 lat. Towarzystwo wypuściło w roku zeszłym 4% obligacye dla dalszego rozwinięcia tak pożytecznéj działalności.

Naczelne miejsce pomiędzy przedsiębiorstwami tego rodzaju zajmuje w Alzacyi *La Société Mulhousienne des Cités ouvrières.* Korzystamy z łaskawie udzielonego objaśnienia p. Jana Dollfusa, prezesa komitetu administracyjnego, aby się podzielić z czytelnikami szczegółami o tém towarzystwie. Po dzień 1 lipca 1884 r. Towarzystwo zbudowało i przedało 1,028 domków, z których 756 zostało już całkowicie przez nabywców spłacone. Cena każdego domku wynosi 3300 fr. t. j. 825 rubli zł. umarzalnych komornem w ciągu 15 lat. Istnieją także w téj *Cité* oddzielne mieszkania umeblowane, za opłatą dzienną po 10 groszy za pokój. Zarząd utrzymuje restauracyę, piekarnię i sklepy, w których nabyć można wszelkich niezbędnych artykułów prawie po cenie kosztu. Biblioteka założona w 1865 r. liczy przeszło 400 członków. Kąpiele po 15 centymów, a tak zw. *lavages* po 5 centymów. Słowem całe urządzenie téj *Cité* zasługuje na szczególną uwagę, tém więcéj, że stowarzyszenie ma już za sobą długoletnie doświadczenie i rozwinęło się na wielką skalę.

Klimat północny sprawił, że stosunki robotnicze w *Szwecyi* inaczéj się ułożyły niż w pozostałéj Europie. Tam z powodu ostréj zimy, większa część roku, prawie dziewięć miesięcy, dla licznych gałęzi przemysłu jest martwą. Robotnicy zarabiają tyle, że im pozostaje na opędzenie potrzeb w ciągu pozostałych miesięcy, a że to epoka krótka, a odległości od miejsca zajęć dalekie, więc z konieczności stosunki tak się musiały ułożyć, aby robotnicy nie tracili czasu na poszukiwanie miejsca. Te to warunki klimatyczne i geograficzne natchnęły L. O. Smitha do utworzenia stowarzyszeń, jakich w żadnym kraju nie spotykamy. Za jego inicyatywą powstały w Stockholmie i innych miastach tak zwane *ringi*, oddające klasom pracującym nadzwyczajne usługi. Każdy „ring“ jest stowarzyszeniem wolném, wyłącznie w celach ekonomicznych utworzoném i liczącém

1,000 członków podzielonych na 10 grup. Każda grupa, czyli drużyna wybiera prezesa; prezesi grupy w liczbie dziesięciu wybierają prezesa „ringu“. W Stockholmie istnieje 24 ringi, których główni prezesi łączą się w komitet, mający na czele generalnego prezesa ringów stockholmskich, liczących obecnie 24,000 członków. Pod względem celu ringi dzielą się na wydział informacyjny, pośredniczący w umieszczaniu członków, wydział tanich kuchni i wydział kwaterunkowy. Pomijamy na teraz dwa pierwsze cele, objaśniając, że w Stockholmie jako wydział ringów istnieje bank ludowy, założony również przez p. Smitha, wyłącznie środkami stowarzyszonych i przez nich téż obsługiwany. Ten bank ludowy udziela pożyczki na budowę domów dla robotników, w których pojedyncze lokale wynajmowane są członkom w ten sposób, że po pewnéj liczbie lat stają się oni zupełnemi właścicielami lokali, co naturalnie niezmiernie pobudza klasy pracujące do oszczędzania, aby w jak najkrótszym czasie spłacić dług za nabyty lokal.

W Anglii również państwo nie miesza się w sprawy mieszkań dla robotników, parlament tylko ma prawo baczenia nad zdrowotnością lokali, a interwencya ogranicza się wyłącznie na udzielaniu 3¼% pożyczek towarzystwu Peabody i innym budującym domy dla robotników. Właściwie, towarzystwa te mało budują, a głównie kupują stare domy i te przerabiają dla robotników. Każdy z takich domów zamieszkują zwykle pracownicy jednéj lub kilku sąsiednich fabryk, do których dowożą ich najczęściej omnibusy stale umówione. Karność w domach robotniczych bardzo wielka, a moralność ściśle przestrzegana. Zamieszkuje je wybór robotników, którzy zresztą, jak wiadomo, są w zupełnym dobrobycie, będąc wyżéj niż w jakimkolwiekbądź kraju płatni. Lecz wogóle w Anglii mieszkania dla robotników są w nader opłakanym stanie, tak, że parlament zmuszony był wyznaczyć ankietę dla rozpatrzenia kwestyi zdrowotności lokali. Komisyi parlamentarnéj przewodniczył Karol Dilke, a w skład jéj wchodzili: ks. Walii, kardynał Manning, margrabia Salisbury, Cross, Goschen, Broadhurst, Morley i inni. Memoryał złożony parlamentowi obejmuje 84 stronic, przepełniony wielu interesującemi danemi, z któremi przy sposobności nie omieszkamy czytelnika poznajomić. Teraz zaś nadmieniamy, że w Wielkiéj Brytanii istnieje 1773 *Building Societies* (towarzystw budowlanych) liczących 506,371 członków. Ogłosiło bilans 1667 towarzystw, posiadających:

kapitału akcyjnego	30,690,631	funt. ster.
depozytów . . .	17,052,178	„ „
razem	47,742,809	funt. ster.

Stowarzyszenia te rozciągają także swoję działalność i na Kanadę.

Mieszkania dla robotników, jako odzielne domki, bardzo są rozpowszechnione w *Filadelfii*,—wznoszą je towarzystwa budowlane pobierając komorne wraz z amortyzacyą. Drugim typem są: Peabody Trust, Improved Dwellings Association w New-Yorku, Alfred T. White w Brooklynie, Sir Sidney Waterlow w Londynie. Inicyatywa trzeciego typu należy do miss *Oktawii Hill*. Metoda jéj polega na tém, że kupuje stare domy zamieszkałe przez robotników, zaprowadza porządek i stopniowo je restauruje. Oktawia Hill pierwotnie była nauczycielką, mając środki nader ograniczone, obecnie zaś posiada 400.000 dol. Najprzód zwróciła swoją uwagę w 1869 r. na sąsiedztwo Regent Street, gdzie była grupa zrujnowanych domów, istnych jaskiń i zbiorników wszelakiéj zarazy niechlujstwa i nierządu. Administracyę domów ustanowiła nader surową, żądając punktualnego uiszczania komornego. Następnie nabyte domy zwolna odnawiała przeważnie miejscowemi siłami robotników, nie mających zajęcia, a w końcu urządziła klub i kasę oszczędności. Z wzrostem środków rozwijała się i działalność, powstały względnie wspaniałe budowle, jak *St. Christopher's Building* z obszernemi balkonami i pomieszczeniem dla dzieci.

Peabody Trust wzięły nazwę od znanego filantropa rodem z Ameryki. Peabody przez 32 lata zajmował się bankierstwem, a dorobiwszy się olbrzymiéj fortuny ufundował *Peabody Donation Fund* zarządzany przez sześciu kuratorów, w liczbie których, znajdować się winien poseł Stanów zjednoczonych. Fundacya dotąd urządziła 3,533 mieszkań o 7.829 izbach, odnajmując izbę po 48 cent. tygodniowo. W 1862 r. H. Waterlow zawiązał *Improwed Industrial Dwellings Company limited*, która w ciągu dwudziestu lat zbudowała 4.107 mieszkań z 14,250 izbami, przynajmniéj dla 20,000 mieszkańców. Kompania ma swoją cegielnię, ślusarnię, stolarnię, kamieniarnię, ciesielnię itp. Oprócz cegły używa mieszaniny cementu z odpadkami koksu w stosunku 1 na 3. Liczne schody znajdują się zwykle na zewnątrz domów lub w oddzielnych przystawkach rozmieszczone w ten sposób, aby każde mieszkanie było oddzielne i miało wyjście wprost na schody, czem różnią się od systemu Peabody. W londyńskich jaskiniach śmiertelność przerażająca, wynosiła zwykle 40 na 1,000 mieszkańców, gdy tymczasem w domach Peabody 17,22, tj. o 3.78% niżéj średniéj, a w domach H. Waterlow tylko 16,7%.

Co się tyczy Warszawy, to pod względem mieszkań dla robotników nie wiele zrobiono. Pierwsze usiłowania spółki budowlanéj chybiły celu, późniéj zaś nic w téj materyi nie zdziałano. A jednak może u nas jest więcéj naglącą sprawa mieszkań dla ludności uboższéj i pilniejszą jaka „Komisya zdrowotności,“ którаby wprawdzie

nie parlamentowi, ale magistratowi i prasie złożyła szczegółowy memoryał o stanie lokali małych i mniejszych, zwłaszcza w dzielnicy staromiejskiéj i wzdłuż całego Powiśla. Niewątpliwie badania komisyi wyprowadziłyby na jaw wiele rzeczy nie mniéj jaskrawych i ohydnych jak i w Londynie. Parlamentu nie mamy, a prasa nasza jeszcze jest zbyt ubogą, aby mogła samodzielnie dokonywać podobnych studyów, pozostaje się szanowne nasze municipyum, które przy współudziale komisyi sanitarnéj i prasy winnoby podjąć tę pracę. Gdy będzie zebrany odpowiedni materyał, poparty danemi liczbowemi, który w rzeczywistym świetle ukaże stan mieszkań robotniczych i ogrom niedoli, to może znajdą się i środki zmniejszenia złego. Wszak jeżeli ofiarność publiczna zdobywa się na krocie tysięcy rubli na cele przemijające, to może się u nas znajdą ludzie dobréj woli, którzy powołają do życia Towarzystwo budowy tanich mieszkań oparte wyłącznie na zasadach ekonomicznych, a więc nie potrzebujących *ofiary*, ale tylko *współdziałania* głową i kieszenią. Myśl podobnych spółek mamy już obrobioną i podzielimy się nią z czytelnikami w następnym artykule. Obecnie zaś zwracamy uwagę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, czyby nie uważało za właściwe ogłoszenie konkursu na budowę oddzielnych domków dla klas pracujących na zasadach w Moulhousie tak świetnie rozwiniętych. Osady podobne najwłaściwiéj byłoby założyć po za miastem, na krańcowych punktach kolei konnych, mając przytém na uwadze, aby oddzielny domek kosztował wraz z ziemią najwyżéj 1,000 rubli.

W rzędzie reform zarządu skarbowego, tak doniosłych i obfitych w roku bieżącym, niepoślednie miejsce zajmuje jedna z gałęzi, podatku dochodowego, mianowicie *podatek dochodowy od kapitałów*, ustanowiony w drodze prawodawczéj w d. 1 czerwca r. b. i obowiązujący od d. 13 lipca r. b.

Główne zasady podatku dochodowego od kapitałów są następujące: Skarb pobiera 5% od dochodu otrzymywanego:

a) od papierów procentowych państwowych, publicznych i prywatnych wszelkich nazw,—oraz

b) od wkładów złożonych do banków państwowych, publicznych, akcyjnych, udziałowych i towarzystw wzajemnego kredytu.

Podatkowi powyższemu nie podlega:

a) dochód od papierów procentowych, statutami tychże od wszelkich podatków uwolnionych;

b) dochód od wkładów wniesionych do kas oszczędności towarzystw zaliczkowo-wkładowych, banków miejskich, oraz od dawnych wkładów przelanych do Banku państwa, po zlikwidowaniu państwowego banku handlowego;

c) dochody od akcyi i udziałów tych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, które na mocy prawa z d. 27 stycznia r. b. płacą już odsetne przemysłowo-handlowe.

Prócz tego ministrowi skarbu pozostawiono możność wygotowania projektu opodatkowania: *a*) akcyi dróg żelaznych i listów zastawnych Centralnego banku ziemskiego; *b*) dochodu od kapitałów wypożyczonych na zastaw nieruchomości i *c*) dochodu od kapitałów składanych w kantorach bankierskich prywatnych, oraz przepisów do jakich się mają stosować domy bankierskie przy przyjmowaniu wkładów.

Myśl zaprowadzenia podatku dochodowego od kapitałów, czyli jak go nazywają podatku od kuponów i dywidend,—nie nowa, dawno już miano ją urzeczywistnić, lecz niewłaściwy pogląd jakoby podatek ten bardzo szkodliwie wpływał na kredyt państwowy, stawał zawsze na przeszkodzie. Dopiero obecny p. minister skarbu, wytrwale trzymający się raz nakreślonego programu finansowego, wprowadził go w wykonanie, pomimo okrzyków zgrozy bardzo dziś wpływowéj prasy reakcyjnéj, wrogo dla ministra usposobionéj. Reakcyoniści dowodzili, że p. Bunge podkopuje kredyt państwa zagranicą, bo państwo, które nie spełnia tego do czego się zobowiązało, nie płaci tego w całości co przyobiecało, jest częściowym bankrutem, niezasługującym na zaufanie zwłaszcza u obcych. Sofistyczne to dowodzenie pozornie rzeczywiście jest słuszném, po bliższém jednak rozpatrzeniu traci wszelką wartość. Opodatkowanie dochodu od pożyczek państwowych nie jest dowolne, nie jest cichą konwersyą, gdyż ustanowione względnie do innych analogicznych dochodów, a co ważniejsza, podatek dochodowy od kapitałów nie obciąża samych tylko pożyczek państwowych, ale wszelkie papiery procentowe publiczne, hipoteczne, bankowe, oraz odsetki otrzymywane od kapitałów lokowanych w instytucyach kredytowych.

To zapatrywanie nie jest nowém, miejscowém, gdyż podatek dochodowy od kapitałów istnieje już we wszystkich państwach Europy i to w ogóle w znacznie większym rozmiarze. Jeżeli opodatkowano przedsiębiorstwa, które często pomimo wielkich obrotów, wielkiego kapitału zakładowego, przynoszą nieraz bardzo małe zyski, a nawet i straty, to nie ma żadnéj racyi uprzywilejowania kapitalistów, spokojnie posiadających papiery procentowe, zwłaszcza gwarantowane państwowe. Dowodzą również, że opodatkowanie kuponów i dywidend sprowadzi emigracyę kapitałów zagranicę; lecz zdaniem naszém obawa ta nie ma żadnéj podstawy, boć wogóle biorąc, papiery procentowe polskie i rosyjskie przynoszą wyższy niż inne, dochód, a podatek jest nieznaczny zaledwie dwudziestą część do-

chodu wynoszący. Przytém lokujący swe kapitały zagranicą musiałby doświadczać zmienności kursu waluty, tak, że niewątpliwie znalazłby się często w położeniu tego, co to wpadł z deszczu pod rynnę.

Podatek więc od dochodu otrzymanego od papierów procentowych uważamy za zupełnie usprawiedliwiony i słuszny. Inaczéj rzecz się ma po części z kapitałami złożonemi w gotowiźnie do kas instytucyi kredytowych na rachunek bieżący, lub téż dla zwykłego oprocentowania. Tu nasuwają się nam myśli co do celu i charakteru wkładów. Gotowizna składa się do banku w dwojakim celu: albo dla przechowania i ewentualnie dla oprocentowania, albo téż głównie w celu otrzymania dochodu. W pierwszym razie mamy na celu głównie pewność—zabezpieczenie kapitału,—w drugim zaś razie wysokość odsetek przeważną gra rolę. Prawodawca nie rozróżnił tego podwójnego charakteru wkładów i w tém, zdaniem naszém, zbłądził, gdyż w naszych stosunkach, przy niedostatku kapitałów w gotowiźnie, nie należało osłabiać popędu do lokowania pieniędzy w bankach na rachunki bieżące, zwykle na niski procent. Wszak lokujący pieniądze w instytucyi kredytowéj na małe odsetki, może jeszcze większy przynosi pożytek *ogólnemu* dobru niż sobie. Deponent otrzymuje tylko 2—3%, rzadko wyżéj; gdy tymczasem zwiększając środki obrotowe instytucyi, przyczynia się niepomiernie do ożywienia obrotów, do zasilenia przemysłu i handlu. On otrzymał może tylko 2%, instytucya zarobiła na nim 4—6%, a co zyskał przemysł i handel to się obliczyć nie da. Jakżeż wkłady są pożądane, zwłaszcza w chwilach przesileń;—jedna setka tysięcy rubli może nieraz dziesiątek firm od upadku uchroniła. Z tych więc względów nie należało prawodawcy osłabiać popędu do lokowania gotowizny w bankach, i tak zresztą u nas niezmiernie słabo rozwiniętego. Naszém zdaniem należało wkłady podzielić na dwie kategorye: na przynoszące odsetki niżéj 4% i na wkłady dające dochodu 4% lub wyżéj i opodatkować wkłady tylko te ostatnie.

Podatek dochodowy od kapitałów należy do najłatwiéj dających się pobrać i najściśléj obliczyć w zamierzeniach budżetowych, oraz do najmniéj pociągających wydatków na administracyę poborową: ściąga się on przez potrącenie 5% przy realizacyi kuponów i premii oraz przez wniesienie ryczałtowéj sumy w terminach płatności kuponów i dywidend przez instytucye emitujące,—zatém odnośnie do kuponów, premii i dywidend niedobór nie może mieć miejsca. Co się tyczy podatku od odsetek od wkładów, to ten w terminach zamknięcia rachunków odlicza się od salda klientów i w ogólnéj sumie przelewa do skarbu.

Ministeryum skarbu obliczyło podatek dochodowy:

od papierów proc. państw. w walucie metalicz. na	rs.	204,651	k. 60
" " " " kredytowéj	"	4,965,101	" 50
" biletów banku państ. i oblig. banku włościańs.	"	428,480	" 75
" listów zastaw. i oblig. towarzystw kred. miejs.	"	1,023,948	—
" " " " " ziemskich	"	1,007,325	—
" " " " banków ziemskich	"	1,023,373	—
" obligacyi dróg żelaznych	"	199,500	—
" wkładów w instytucyach kredytowych . .	"	1,629,461	—
Razem	rs.	10,481,840	k. 85

nie licząc dochodu od obligacyi emittowanych przez miasta i stowarzyszenia akcyjne lub udziałowe, o których wysokości ministeryum skarbu nie ma dotąd pewnych wiadomości. Ponieważ jednak z powyższéj sumy przyjdzie zwrócić około miliona rubli rozmaitym instytucyom uczonym, naukowym, duchownym, dobroczynnym itp. to nowy podatek przyniesie skarbowi zapewne $9\frac{1}{2}$—10 milionów rubli.

Leon Iwanicki.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

VII.

W miasteczku, o sześć wiorst od Suchéj Doliny odległém, przez cały ranek świąteczny, nad wielkim gwarem targowego rynku, biły rozgłośne dzwony kościelne. Na rynku ludzi było jak mrowia i wszelkich zwierząt mnóstwo. Sprzedawano tam i kupowano konie, krowy, woły, cielęta, zboże, płótna, jaja i mnóstwo innych produktów małéj własności. Sanie stały tam przy saniach, dotykając się szczelnie, albo nawet płozami na płozy wjeżdżając, zwierzęta i ludzie stłaczali się w ruchome kłęby, krzyk rozmów, kłótni, przekleństw, targów, rżenia koni, ryczenia bydła, był ogromny i wielka pstrocizna ubiorów i twarzy męskich i kobiecych, chłopskich, żydowskich i mało-szlacheckich. Czteréj Dziurdziowie przybyli téż na targ, każdy ze swojém. Piotr i Klemens przywiedli na sprzedaż konia i krowę. Stepan dwuletniego wolika, a Szymon przywiózł parę ośmin żyta i grochu. Wszystko jedno: opiszą i sprzedadzą, lepiéj mu więc było chwytać i na swoją korzyść sprzedawać, co się dało. Mnóstwo ludzi, po zmówieniu kilku pacierzy, odprawiało baby do kościoła i zostawało przy swoich saniach i towarach. Piotr dobro swoje powierzył pieczy syna, a sam skierował się ku niewielkiemu białemu kościołowi, z którego szczytów leciała muzyka dzwonów, a z wnętrza dochodziły chóralne śpiewy, towarzyszące procesyi. W nieobszernéj kruchcie ścisk był taki, że powolny i uroczyście nastrojony chłop, zaledwie zdołał przebić się do kościelnego progu i parę kroków jeszcze daléj postąpić. Tu, szerokie plecy w kożuchach stanęły już nieprzepartym murem, lecz po przez kudłate czupryny męskie i nad kobiecemi, odświętnie ustrojonemi głowami mignęło mu złoto, niesionéj pod baldachimem monstrancyi, zapąsowiały

pelerynki kościelnéj służby, błysnęły płomyki świéc, górą frunęły chorągwie. Organy grały i kilkaset głosów chórem śpiewało. Piotr chciał uklęknąć, ale z powodu ścisku uczynić tego nie mogąc, głowę pochylił i pięścią ściśniętą potężnie bił się w piersi.

— Ojcze niebieski, krolu ziemski, odpuść nam ciężkie grzechy nasze....

Modlitewkę tę wymyślił sobie sam w porze owéj, gdy go skrucha wielka za krzywdę matce zrządzoną ogarniała i odtąd powtarzał ją zawsze, ilekroć był już bardzo nabożnie usposobionym. Rozpoczęła się suma. Piotr ze schylonym nieco grzbietem wzniósł oczy w górę i wpatrzył się w widzialne po nad głowami tłumu rzeźby wielkiego ołtarza. Były to jakieś gipsowe wieńce i arabeski, nad któremi stało kilka drewnianych posągów z krzyżami, z wielkiemi księgami, z rękami powyciąganemi groźnie, błogosławiąco lub modlitewnie. Oczy chłopa napełniły się miękkiem zamyśleniem, usta jego poruszać się przestały. Przypominał może wszystko, co kiedykolwiek, na ten sam ołtarz patrząc, przecierpiał i uprosił, — skruchy i trwogi swego sumienia, choroby synów, zgryzoty wszelkie i pociechy, a uspokojenia. Może téż nad ołtarzem i wieńczącemi go posągami świętych, pod samém sklepieniem świątyni, szukał wzrokiem blasków tych i świetności, w jakich mętnie przedstawiało się wyobraźni jego królestwo niebieskie. Długo tak wzrokiem po wysokościach błądził i wzdychał raz poraz.

— Ojcze niebieski, krolu ziemski, opiekunie ludzi....

W bladawéj twarzy jego, wzniesionych oczach i głośnym, wzdychającym szepcie, wiele było tęsknoty, wdzięczności, pokory. Wtém organy grać przestały i w uciszonym kościele zabrzmiało donośne: W imię Ojca i Syna... Rozpoczynało się kazanie. Piotr z miejsca swego widział dokładnie na wysokiéj mównicy stojącego księdza, śnieżną jego komżę i czerwoną u piersi wstęgę. Języka, którym kazanie mówioném być miało, w codzienném życiu nie używał, lecz rozumiał go wybornie, a w potrzebie i mówić nim dobrze umiał. Więc głowę pochylił, ucha nastawił i z całéj siły wsłuchał się w głos czysty i donośny, pod sklepieniami budzący dźwięczne echa. Otaczający ludzie słuchali także, ale po większéj części z roztargnieniem lub sennie. Postawy ich były pełne uszanowania, wzdychali nawet często albo téż i rzucali oczami dokoła, albo je przymykali, drzemiąc. Piotr chciwie słuchał słów rozchodzących się po kościele, ale nie wszystkie czyniły na nim wrażenie jednostajne. Były takie, które w nim nie budziły żadnych uczuć ni pojęć i takie, które wzruszały go do głębi. W długim wstępie kapłan opowiadał ludowi o dobroci Boga i złości szatana. Przy wspomnieniu o pierwszéj, twarz chłopa

tak wyglądała, jakby spływał na nią promień ideału. Miękła, wypogadzała się, pokrywał ją wyraz błogości i rozczulenia. Lecz gdy w powietrzu zabrzmiała nazwa szatana, gęste brwi jego zbiegały się nad oczami, usta drgały trwożnie czy gniewnie i poruszał się cały tak zupełnie, jakby go ogarniała żądza splunięcia. Powściągał się przecież przez wzgląd na świętość miejsca.

Ogromny rumor kolan ludzkich padających na cegły posadzki. Organy grają znowu. Przy ołtarzu wznosi się śpiew melodyjny i błagalny, szepty i westchnienia falami szmeru płyną. Piotr gwałtownemi ruchami łokci miejsce swe rozszerzył, na klęczki upadł, do posadzki kościelnéj ustami przylgnął i głośno zaszeptał:

— Niechaj siła boska przezwycięży siłę szatana....

Wtém ktoś go mocno w łokieć trącił. Obejrzał się i zobaczył schylonego nad sobą Klemensa. Parobek szeptał mu w same ucho.

— Tatku! starszyna konia chce kupić... nie wiem sam co zrobić...

Odtrącił syna ramieniem i znowu pochylał się nad ziemią, ale Klemens za kożuch go pociągnął.

— *Chadzi*, tatku, a to targ stracim...

— *Skaży* starszynie, żeby sam do kościoła szedł i ludziom Panu Bogu modlić się nie przeszkadzał....

Powiedział to takim tonem, że Klemens nie nalegał dłużéj, przyklęknął, przeżegnał się, dwa razy ziemię pocałował i z kościoła wyszedł. Ale Piotr nie odzyskał już uprzedniego nastroju ducha. Coś go korcić i niepokoić zaczęło. Ramionami wzruszał, oglądał się, nakoniec z klęczek powstał i kilka razy jeszcze uderzywszy się w piersi, kościół opuszczał. W kruchcie spotkał się ze Stepanem, który palce w wodzie święconéj zatapiał.

— A co tam z moim koniem słychać?— z widocznym niepokojem zapytał.

— Starszyna go u Klemensa zatargował. *Idzi chutko*, a to targ stracisz....

Stepan także niedługo zabawił w kościele, bo jeszcze wolika swego nie sprzedał; Szymon pomodlił się tylko przed kościelnemi drzwiami i coprędzéj z pieniędzmi za żyto i groch otrzymanemi, do karczmy pociągnął. Żaden z nich nie dotarł do środka kościoła, ani témbardziéj do wielkiego ołtarza, gdzie wielkie mnóstwo ludzi spowiadało się przy konfesyonałach, a potém przed balustradą w oczekiwaniu komunii klękało.

Na godzinę przed zapadnięciem zmroku rynek targowy opróżniać się zaczął. natomiast coraz więcéj sań i koni zgromadzało się u wrót obszernéj, murowanéj karczmy. Dla ludzi, którzy przez dzień cały modlili się i ziębli w kościele, ziębli także sprzedając i kupo-

jąc na rynku, koniecznością prawie było, przed puszczeniem się w drogę do domów, wejść na chwilę w ciepłe jakie ściany, ogrzać się i głód zaspokoić. Przed karczmą tedy, któréj brama owalnie wykrojona i cały budynek wszerz przerzynająca, miała pozór czarnéj otchłani, na placyku twardym od mrozu, śniegiem usłanym, słomą zasypanym i zamarzłemi kałużami lśniącym, stało mnóstwo sań i koni, których głowy i szyje niknęły całkiem w przywiązanych do nich worach z obrokiem.

Izba karczemna znacznie tu była większą niż w Suchéj Dolinie. W miasteczku na znaczniejszą ilość gości rachować musiano niż w wiosce. W dnie takie szczególniéj, jak dzisiejszy, zgromadzało się ich mnóstwo. Na rozłożystym kominie palił się wielki ogień, ludzie tu wchodzący stawali przed nim, rozgrzewali zmarznięte ręce, dla rozgrzania nóg uderzali stopami o podłogę, a potém ku stołom ściany otaczającym idąc, zdejmowali z pleców płócienne, na sznurkach zawieszone worki. Wszyscy prawie worki takie posiadali. Znajdowała się w nich żywność na dzień cały z domu przywieziona. Gatunek jéj i ilość zależały od względnéj zamożności każdego z popasujących. Jedni z woreczków swych wyjmowali tylko kawały czarnego chleba, szczypty soli i odłamy twardego sera; inni, oprócz chleba i soli, mieli jeszcze słoninę, kiełbasy, jaja ugotowane na twardo. Byli tacy, którzy do jedzenia szeroko rozsiadali się na ławach, i tacy, którzy jedli chodząc lub stojąc. Tłum wzrastał, gwar stawał się ogłuszającym, zewsząd słychać było wołania o wódkę, miód i piwo, żydzi różnego wieku, rodzinę karczmarza składający, nieustannie przewijali się śród tłumu z blaszanemi półgarncówkami, kwartami, czarkami, ze szklankami z zielonego szkła, z glinianemi miskami, pełnemi kwaszonych ogórków i śledzi, któremi chłopi przekąsywali wódkę. Znajdowali się tu mieszkańcy wielu oddzielnych wsi, ale prawie wszyscy do jednéj gminy należący. Prawie wszyscy téż znali się pomiędzy sobą zbliska, albo zdaleka i zaczepiali się wzajem rozmowami o dzisiejszym targu, o poniesionych stratach lub zyskach, o różnych okolicznościach gospodarstw swych i rodzin. W głębi izby starszyna, najwyższy urzędnik gminy, chłop niemłody, z długą rudą brodą i w czarnéj baraniéj czapce, po same oczy na czoło wsuniętéj, dość liczną kompanię miodem częstował. W poczęstunku tym oprócz ludzi innych, udział brało kilku mieszkańców Suchéj Doliny, a pomiędzy nimi najważniejszą rolę odegrywał Piotr Dziurdzia, albowiem okazyi do poczęstunku dostarczył koń przez niego starszynie sprzedany. Rozmowa téż toczyła się o różnych zaletach tego konia, zaprowadziła do żywych rozpraw o koniach w ogólności i wzmagała się czasem w sprzeczki, które jednak star-

szyna przerywał zawsze, miodu do szklanek z blaszanego garnca dolewając i z uprzejmą powagą do biesiadników przemawiając.

— Pijcie, panowie gromada, pijcie! — na zdrowie wam! na szczęście!

Wyraz: panowie gromada, powtarzał się w jego ustach niezmiernie często. Czuł się on głową i naczelnikiem gminy, czyli gromady i lękał się stracić najmniejszą sposobność przypomnienia o tém wszystkim. Chłopi głowami mu na podziękowanie skłaniali i zielonawe szklanki do ust nieśli. Klemens tylko nie pił i w rozmowie udziału dotąd nie brał. Młodym był, nieżonatym jeszcze, gospodarstwa swego nie miał, z ojcem tu przybył i przez niego tylko coś znaczył. Obecność starszyny i zgromadzenie starych, poważnych gospodarzy, onieśmielały go i wstrzymywały od samodzielnego przystąpienia do poczęstunku. Stanął tedy za ojcem i z nad ramienia jego wychylając twarz swą rumianą i błękitnooką, trochę chciwie, a trochę nieśmiało na półgarncówkę i szklanki poglądał. Filuterne, żywe, a teraz miodem rozweselone czy starszyny, spotkały się z jego wstydliwém spojrzeniem.

— Aaaa!—zadziwił się ze śmiechem i palcem na parobka wskazał — aaa! panowie gromada! czy *heto* parobek jest czy dziewczyna!

Głowę na obie strony, niby dla lepszego widzenia, przechylał.

— Patrzę, patrzę i rozpoznać nie mogę! zdaje się że parobek, ale za plecy *baćka* schował się jak dziewczyna i wstydzi się bardzo... Nu, *pokażyś*.... do stołu podejdzij, a to doprawdy pomyślę, że z *mużczyny* przemienił się w dziewczynę!...

Dowcipkowaniu temu towarzyszył chór grubych śmiechów; Piotr zaśmiał się także i syna ku stołowi popchnął.

— Nu, *idzi*, kiedy pan starszyna woła....

Nie tak już bardzo wstydliwym był Klemens, za jakiego poczytał go starszyna. Usta wprawdzie dłonią zakrył, ale wesołemi oczami wprost na dostojnika gminy patrzał. Ten nalał pełną szklankę miodu i młodemu parobkowi ją podał.

— Pij! — zawołał — *kaby* prędzéj wąsy pod nosem wyrosły. I wszystkim znowu do szklanek dolewając, powtarzał: — Pijcie, panowie gromada, pijcie!

Pili i śmieli się z Klemensa, który na wspomnienie o wąsach palcami powiódł po złotym puszku, który mu górną wargę osypywał, a potém głową skinął i raźnie zawołał:

— Na zdrowie, panie starszyno!

— Na zdrowie tobie! — odpowiedział starszyna, a do Piotra rzekł: — W soldaty nie poszedł? ha?

Piotr z jaśniejącą twarzą odpowiedział:

— A nie poszedł; kiedy dla niego pora na losowanie przyszła, Jasiuk jeszcze małoletni był, a mnie już, chwała Bogu Najwyższemu, 57-my roczek życia mego szedł. Brat mały... ojciec stary... znaczy jemu *lgotę* dali i został się w chacie; niech za to Pan Bóg będzie pochwalony....

— Ot i wykręcił się — zauważył ktoś z boku.

— Nu szczęśliwy! — dorzucił ktoś inny.

— A szczęśliwy — powtórzył Piotr — *kab* tylko Pan Bóg we wszystkiém tak błogosławił...

Starszyna znowu szklankę miodu szczęśliwemu parobkowi podawał.

— Pij!—wołał—pij i pamiętaj, kto to taki ten, co ciebie *trachtuje!*

Chłopak zawahał się, na ojca spojrzał, ale Piotr, którego zaszczyty wszelkie zawsze przyjemnie głaskały, rad zresztą ze skromnego dotąd zachowania się syna, szturchnął go w łokieć i zachęcił.

— Pij, kiedy pan starszyna każe....

Zupełnie już ośmielony i bardzo rozweselony Klemens nie poniósł tym razem szklanki wprost do ust, ale podniósł ją w górę z takim gestem, że aż część miodu wylała się z niéj na stół, przyténi sam podskoczył.

— *Kaby* tak koń brykał! — zawołał i dopiero szklanicę do dna wychylił. Koncept ten podobał się otaczającym, którzy także szklanki swe nad głowy podnosząc, jedni po drugich powtarzali.

— *Kaby* tak koń brykał, panie starszyno, *kaby* tak koń brykał!

Stosowało się to do konia tego, którego dziś od Piotra kupił starszyna. Wesoły z natury, a może i interes w tém swój mający, Anton Budrak, starosta Suchéj Doliny, krzyknął na arendarza jeszcze o garniec miodu. Teraz on starszynę i całą kompanię wzajemnie poczęstuje. Kilka głosów ozwało się.

— *Nie chcemo bolsz* miodu; kiedy *trachtujesz*, to wódki dawaj!

Budrak krzyknął o wódkę, a starszynie, który miód wolał, trunek ten do szklanki lejąc, zaczął.

— *Jenteres* jest taki, panie starszyno. *Chcemo* proces o te grunta i łąki zacząć... *Kaby* dawność nie zaszła... co wiecie o tém, to gadajcie... może cokolwiek nam poradzicie... *Jenteres* jest taki....

I choć już wiele miodu, a trochę wódki wypił, dość przytomnie jeszcze ważną dla całéj wsi sprawę opowiadać zaczął. Ale Piotr przebił mu mowę i głos przed starszyną zabrał. Maksym Budrak i trzéj Łobudowie jednemu i drugiemu przerywali, z czego zrobił się wielki chaos głosów i słów. Ale starszyna do publicznych rozpraw był już nieco zaprawionym.

— Po kolei, panowie gromada — zawołał — po kolei *hawarycie*. Wprzód jeden, potém drugi, a ja będę słuchać. Ja między wami wszystkiemi *najwyższejszy* i wszyscy wy do mnie jak do ojca...

— Jak do ojca! — chórem wszyscy potwierdzili, a w tym momencie pijany Szymon przytoczył się ku starszynie i w łokcie go całując, zaczął.

— Ja do was, panie starszyno, jak do ojca.. gospodarstwa nie sprzedawajcie... *horkaja* bieda mnie i dziatkom moim...

Parę pięści wyciągnęło się i odepchnęło pijaka, który téż krokiem chwiejnym polazł ku arendarzowi, mrucząc.

— Chackielku, wódki daj... kiedy Boga boisz się jeszcze ze dwa kruczki daj... jeszcze z parę złotych mam... zapłacę... *Horkaja* biéda....

Klemens ujrzawszy, że pomiędzy starszyną i gospodarzami zanosi się na poważną rozmowę o interesie, wysunął się z tego grona i poszedł do innego, które przed kominem składało kilkanaście kobiet. Jadły one także to, co z domów przywiozły, o targu dzisiejszym rozprawiały, sprzeczały się, lub różne swe troski wzajemnie sobie opowiadały. Przy zbliżeniu się Klemensa, w gromadce téj wnet rozległy się piskliwe krzyki i chichoty. Dwoma szklankami miodu rozweselony i uzuchwalony parobek, znajomą jakąś mołodycę z Suchéj Doliny w ramię uszczypnął, a drugiéj coś takiego do ucha powiedział, że zaczerwieniła się jak piwonia i twarz ręką od niego zasłoniła. Inne, starsze, niby gniewając się, niby żartując, pięściami go odpychały i krzyczały, aby sobie do mężczyzn szedł. Wkrótce jednak ucichły wszystkie i wspinając się na palce nóg, jedne przez drugie patrzéć zaczęły na przedmiot, który parobek z za siermięgi wyjął i im pokazywał. Przedmiotem tym był spory obrazek przedstawiający jakąś świętą i oprawiony w ramki, pokryte złoconym papierem. Święta miała czerwoną szatę, złotą koronę nad głową, a w ręku trzymała błękitną palmę. Grubo nakładane jaskrawe farby obrazka i lśniąca przed ogniem pozłota ramek, wprawiły grono kobiet w pełen zdumienia zachwyt. Szeroko otwierały oczy i usta, patrzały, lubowały się i dopytywać się zaczęły, czy Klemens dla siebie śliczną i świętą rzecz tę kupił, czy dla kogo innego? On wiedział dobrze, dla kogo obrazek ten kupił, ale nikomu o tém nie powiedział i zanośliwie śmiejąc się z ciekawości i chciwości, które malowały się na twarzach bab, znowu go za siermięgę schował. Wtém z gromady gwarzącéj i pijącéj u okna, zawołał go mały, ruchliwy, z zadartym nosem człowieczek, wpół z chłopska a wpół już ze szlachecka ubrany, leśnik z pobliskiego dworu, który dziś u ojca jego krowę kupił.

— Klemens! wołał, hej, Klemens! wypij-no z nami. Żeby krowie zdrowo było!

Wychylił podaną mu czarkę i w szał wasołości wpadając, ku stojącéj w kącie beczce poskoczył, przechylił ją i znajdującą się w niéj wodę na podłogę wylał.

— Kaby krowa tyle mleka dawała! krzyknął.

Grzmot śmiechu zatrząsł izbą, kobiety piszczały, spódnice podnosiły i do przeciwległych kątów uciekały. Szeroki strumień wody od ściany do ściany płynął, niosąc po spadzistościach nierównéj podłogi, rzucone wprzódy na ziemię skorupki jaj, łupiny ogórków, głowy i ogony śledziów. Klemens zniknął w wirze kilkunastu chłopów, którzy go z czarkami w rękach otoczyli, a pomiędzy którymi był także Szymon, pociągający go wciąż za rękaw i z czarką w ręku mruczący...

— Pożycz *hroszy*, Klemens, *zmiłujsia* pożycz... choć złotówkę... wszystkie swoje już przepił... *Horkaja* dola mnie i dziatkom moim...

Zmrok zapadł zupełny. Posługacze karczemni, postawili na stołach, w różnych miejscach izby, trzy cienkie łojówki w mosiężnych i otłuszczonych lichtarzach.

Stepan Dziurdzia głośno do téj pory przywodził w niewielkiéj jakiejś gromadce, widocznie uszczęśliwiony tém, że choć raz, gdziekolwiek i komukolwiek mógł przywodzić. Kiedy błysnęły światełka łojówek, spostrzegł on starszynę otoczonego mieszkańcami Suchéj Doliny i poważnie coś do nich prawiącego. Na bronzową, pomarszczoną twarz Stepana, wybijały się rumieńce, pochodzące od żywych rozpraw, w których réj wiódł i od wódki, którą wypił. Zaciekawiło go jednak, co téż sąsiedzi ze starszyną rozprawiają i przysunąwszy się ku grupie, którą składali, słuchać zaczął.

— Tak już trzeba, panowie gromada, prawił starszyna, inaczéj nie można, bez tego już nic. *Planipotentów* sobie wybierzecie, żeby od was wszystkich do miasta poszli i *hadwokata* najęli, *pierwsza* rzecz *planipotentów* wybrać... a druga *hadwokata* nająć. Całą gromadą nie będziecie do *hadwokata* i do sądu chodzić... *Planipotenty* wasze będą chodzić... którego tam dnia do starosty zejdźcie się wszyscy i naradę zróbcie: kogo wybrać? kto u was najmądrzejszy i na największe *uwa-żanie* zasługuje!

Dziurdziowie, Budrakowie, Łobudowie i kilku innych, przed siedzącym starszyną stali, uważnie słów jego słuchając. Gdy skończył, parę głosów ozwało się.

— Na co nam na późniéj odkładać. My i teraz wybór zrobić możem... niechaj pan starszyna świadkiem będzie.

— Ale, potwierdzili inni, możem, czemu nie możem...

— Nie wszyscy my tu, ktoś zaprotestował.

— Nic nie szkodzi. Co my *tut* postanowim, na to zgodzą się wszyscy, twierdził starosta Suchéj Doliny, Anton Budrak.

— A ile tych *planipotentów* trzeba? zapytał Piotr.

— Trzech, odpowiedział starszyna; więcéj nie trzeba, ale trzech, to już koniecznie trzeba.

Stepan w téj chwili pociągnął Piotra za rękaw i szepnął.

— *Skaży*, Pietruk, żeby mnie na *planipotenta* wybrali...

Ale kilkanaście głosów szept jego zagłuszyło.

— Najpierwéj to już starostę prosim...

Okrągła, pulchna, z konopiastym wąsem i zadartym nosem twarz Antona zajaśniała naksztalt księżyca w pełni.

— Dobrze, odpowiedział, będę, czemu nie będę? A więcéj kogo?...

Stepan już pięścią całą w bok Piotra uderzył.

— Nu, odezwij się... *skaży*, żeby mnie wybrali...

Oczy mu aż gorzały żądzą odznaczenia, a może i przywiązanéj doń ruchliwéj czynności. Ale chłopi plenipotentem drugim obwoływali starego Łobudę, który drapiąc się w łysinę, prosił, aby go od *chłopotów* tych uwolnili, a obciążyli niemi lepiéj którego z jego synów. Najstarszy, Pilip, oświadczył sam, że nie odmówi, choć mu ciężko będzie gospodarstwo opuszczać i do miasta jeździć, ale nie odmówi.

— Niechaj *budzie* Pilip, zgodzili się chłopi.

— Nu, a trzeci? zapytał starszyna.

— Trzecim niechaj już będzie Pietruk Dziurdzia...

Piotr wyprostował się tak jak kiedyś, gdy go za starostę wybierano i z rozjaśnioną twarzą za *uważanie* podziękował. Stepan, znowu go pięścią w bok uderzał.

— *Skaży* Pietruk, żeby za czwartego mnie obrali..

Piotr rękę do włosów z zakłopotania niosąc, odezwał się jednak.

— Możeby na czwartego Stepanka wybrać...

— Nie trzeba czwartego, zakrzyczano go ze stron wszystkich, pan starszyna powiedział, że trzech trzeba, więcéj nie trzeba...

— To może na moje miejsce Stepana obierzecie, zaproponował Pilip Łobuda; i *owszem*, dodał, mnie ciężko będzie i nie chce się...

— Nie *chcemo* Stepana! krzyknęli wszyscy, na co nam on? z drugimi *planipotentami* tylko kłócić się będzie..... o pierwszeństwo i o wszystko...

— Jeszcze *hadwokata* wybije, ozwał się ktoś ze śmiechem.

Stepanowi krwiste rumieńce buchnęły do twarzy, w sam środek gromady wparł się i hałasować począł. Dowodził, że wybory nie były prawne, bo wszyscy gospodarze Suchéj Doliny nie byli tu obecni, że jego na *planipotenta* wybrać muszą, a jeżeli nie, to on do sądu pójdzie... Wszczęła się kłótnia i przyszłoby pewnie do pięści, ale starszyna podniósł się z ławy i na Stepana krzyczeć zaczął, grubych wyrazów i przezwisk nie żałując. Czuł się on osobiście obrażonym.

— Co to nie prawne? krzyczał, kiedy ja tu jestem, to wszystko prawne? ja tu *najwyższejszy* i wszystko stanowić mogę... Mnie sam cesarz nad wami utwierdził... jeżeli zechcę ułaskawię, a jeżeli zechcę do *katorgi* ześlę...

Stepan zmięszał się na chwilę, ale wnet potém z zawadyacką miną na arendarza o garniec wódki krzyknął i wraz z kilku przyjaźniejszymi sobie ludźmi, opodal nieco od starszyzny, zawzięcie pić zaczął.

Piotr tymczasem trunkiem rozmarzony, spadłym nań zaszczytem rozweselony, z kolei częstował starszynę i sąsiadów.

— *Dziakuju*! panie starszyno! *dziakuju*, panowie gromada! nieustannie powtarzał a potém, stanąwszy przed Antonem Budrakiem, z czarką w ręku i przymrużonemi oczami, mówił.

— Ty *planipotent* i ja *planipotent*, ty starosta i ja starosta... tak i *pocałujmy sia*...

Całowali się tak głośno, jakby korki z butelek wyskakiwały...

Ogólna zresztą pijatyka dosięgła w téj chwili stopnia wysokiego, ale odznaczała ją szczególność pewna. Ludzi, którzyby tak jak Szymon Dziurdzia upijali się na swoją rękę i bez przyczyny żadnéj, było bardzo niewielu. Ogromna większość piła na zabój, ale z powodu traktamentów i okazyi, a okazyą było tu wszystko: koń sprzedany, krowa kupiona, spotkanie się znajomych, pogodzenie się skłóconych, wspomnienie o ojcu, który rok temu umarł, projekt ożenienia syna, lub wydania za mąż córki. Wesołe czy smutne zdarzenie, zysk czy strata, przyjaźń czy kłótnia, nadzieja czy żałość, wszystko wywoływało traktament, po wiele razy z kolei odwzajemniany. W izbie panował niesłychany chaos głosów, na przeróżne tony nastrojonych i poruszeń, przeróżne stopnie i natury pijaństwa objawiających. W jedném miejscu izby toczyła się bójka, zakończona wypchnięciem za drzwi zwyciężonych, w inném, przyciskano do ściany żyda-arendarza, który krzyczał ze strachu, to znów łajał chłopów przeraźliwie go łających; gdzieindziéj, dwaj parobcy, ująwszy się pod boki, do dwóch rozsierdzonych kogutów podobni, kołysali się przed sobą, monotonnym głosem wymawiając wciąż jedne i te same

słowa. Kilku mieszkańców Suchéj Doliny, z czarkami w rękach, lazło całować starszynę, który także mocno podpiły rozparł się na ławie i tak już wielką swą czapkę głęboko na twarz nasunął, że samą prawie rudę brodę z pod niéj widać było. Chłopi jednak dostawali się mu do policzków i cmokając w nie, powtarzali.

— Ty z nas *najwyższejszy*, ty nad nami wszystkimi jak ojciec...

Szymon przeciwnie, podszedł teraz do niego z miną zawadyacką.

— Ty mnie gospodarstwa opisywać nie śmiéj! Krzyczał, bo jak opiszesz, zabiję... dalibóg zabiję... choć ty starszyna, a taki zabiję.. i *budzie* tobie *szabasz*!

Piotr Dziurdzia stał naprzeciw Maksyma Budraka.

— U ciebie córka, prawił, a u mnie syn... niech będzie pochwalony Pan Bóg *najwyższejszy*. A Budrak jednocześnie mówił.

— U ciebie syn, a u mnie córka... Czemu nie ma być woli boskiéj... będzie... tylko swatów przysyłaj...

— Przysyłaj! twierdząco powtórzył Piotr i podnosząc w górę wskazujący palec, z namaszczeniem zaczął znowu.

— U ciebie córka, u mnie syn... niechaj *jak toj kazau*, boska siła przezwycięży czartowską siłę...

W tém Klemens ojca za rękaw kożucha pociągnął.

— *Jedziom* do chaty, tatku, cienkim, proszącym tonem zapiszczał.

Był także pijanym ale jeszcze dość przytomnym. Zachciało mu się wracać do domu, aby co prędzéj Nastce obrazek oddać. Piotr spojrzał na syna, zdziwionemi jakby oczami i z gniewem krzyknął.

— A ty chory był! tylko co nie umarł! *Czartowskaja* siła chorobę tę tobie robiła...

Klemens splunął.

— *Kab* ona świata nie widziała, ta co mnie téj biedy narobiła! *Jedziom* do chaty, tatku!

I za rękaw od kożucha ciągnął ku drzwiom ojca, który, dając się powodować synowi, na Maksyma oglądał się i krzyczał.

— Pamiętaj, Maksym! u ciebie córka, u mnie syn... Niechaj przed królestwem niebieskiém przepadnie czartowskie królestwo...

Przy samym progu ojciec i syn natknęli się na Szymona.

— A ty czego tu jeszcze łajdaczysz! krzyknął na krewnego Piotr; do chaty tobie... a to ostatnię kopiejkę przepijesz...

— Już i przepił... wnet prawić zaczął Szymon,—już to co za żyto i groch wziął do ostatniéj kopiejki przepił... już i *szabasz* mnie i dziatkom moim...

Wychodząc Piotr i Klemens wypchnęli sobą Szymona naprzód do sieni, a potém na placyk, okryty jeszcze chłopskiemi saniami i końmi, choć część pewna biesiadujących, rozjechała się już przed tém. Tu zobaczyli Stepana, który z szyi konia swego worek zdejmował i zabierał się do odjazdu.

— Hej, *dziadźku* krzyknął Klemens, poczekaj, razem pojedziem...

Stepan miał pijaństwo ponure i złośliwe; za całą odpowiedź zaklął przez zęby, a potém do Piotra krzyknął.

— A taki, szelmo ty, ja *planipotentem* będę... słyszysz?

— A ty nie łaj się.. bo nie ma za co... niechaj będzie pochwalony Pan Bóg najwyższejszy, na wieki *wiekou*... odpowiedział Piotr.

Szymon lazł także do sań swoich, mrucząc.

— Nie dała... szelma wiedźma hroszy nie dała... *kab* ona tego świata nie oglądała... a teraz tobie i dziatkom twoim *szabasz*!

Troje sań Dziurdziów, z których pierwsze zajmowali Piotr z Klemensem, jednocześnie od karczmy odjechały i drobnym truchcikiem chłopskich koni przesunąwszy się przez miasteczko, znalazło się wkrótce pośród śniegiem usłanych pól.

Zimno! Mróz nie duży, dziesięć stopni może, nie więcéj, ale wiatr silny dmie i z ziemi podnosi tumany śniegu. Z góry téż śnieg pada, drobniutki jak pył, twardy i gęsty. Księżyc świeci, ale nie widać go za białemi chmurami, które ociągnęły całe sklepienie nieba i choć noc ciemną nie jest, mało co widziéć można przez tę mgłę śnieżną, która pada z góry i podnosi się z nad ziemi. Wiatr ją skręca w kłęby lub wielkiemi płachtami rozpościera w powietrzu, a światło księżyca z za białych obłoków przenika ruchome jéj wnętrze białą światłością, która nie oświéca nic.

Sześć wiorst tylko dzieliło miasteczko od Suchéj Doliny i cała prawie prowadząca doń droga wysadzana była drzewami. W śnieżnéj mgle, drzewa te szarzały nakształt błądzących po polu widm, ale Dziurdziowie rozpoznawali je od czasu do czasu i zacinając konie, coraz więcéj przestrzeni za sobą pozostawiali. Żaden z nich nie spał. Piotr czasem z akcentem nabożeństwa wzdychał, lub coś szeptał; Klemens kilka razy gwizdać rozpoczynał; Stepan konia swego głosem ponurym do pośpiechu zachęcał; Szymon, na saniach swych leżąc prawie, stal się dziwnie rozmownym i krzykliwym. Szumiący i gwiżdżący wiatr słowa jego zagłuszał, on jednak nie dbając o to, czy jest przez kogo słuchanym, wykrzykiwał, komuś odgrażał się, na coś żalił się i kogoś przeklinał. Nagle, Klemens zawołał.

— Ot i Pryhorki!

Taką nazwę nosiło wzgórze obrosłe dębowym i brzozowym lasem, a o półtoréj wiorsty może oddalone od wysokiego krzyża, od którego już krótki tylko i prosty kawałek drogi do Suchéj Doliny wiódł. Ztąd już przestrzeń paru zaledwie wiorst rozdzielała ich ode wsi, ale tu także, znikały drzewa przydrożne a otwierała się gładka równina, wzdęta tylko przed samym już krzyżem kilku nizkiemi pagórkami, których w śnieżnéj zamieci zupełnie widać nie było.

Minęli Pryhorki i nic już przed sobą nie widzieli. Biało i biało: na niebie, ziemi i w powietrzu. Śnieg i śnieg wszędzie, ani drzewa, ani wiorstowego słupa, ani żadnego wzgórza. Klemens skręcił lejcami na lewo. Sanie zaryły się zrazu w śniegu.

— Gdzie ty pojechał? zaszemrał Piotr.

— Dobrze, tatku, tak trzeba, odparł parobek i raźnie zagwizdał. W gruncie rzeczy, gdyby go kto zapytał, dla czego zawrócił na lewo, kiedy od Pryhorek do Suchéj Doliny, droga wyciągała się prosto jak struna, nie umiałby odpowiedziéć. Był pewnym, że wcale nie zawracał i w potrzebie uroczyście by to zaprzysiągł.

Tamci dwaj nie kierowali wcale końmi swemi. Obaj na wznak na saniach leżeli. Stepan ponuro milcząc i jakby wsłuchując się w szmery wiatru; Szymon, wciąż gadając i wykrzykując. Jechali. Konie czasem tonęły w śniegu i wydostawały się zeń z trudnością, czasem, na gładszéj przestrzeni biegły sobie truchcikiem, czasem téż, pod płozami sań czuć było zagony, które wiatr gołocił. Nie drogą jechali, ale polem i nie zwracali na to żadnéj uwagi, dopóki znowu nie zamajaczyły przed ich oczami wzgórze i las Pryhorek.

— A toż co? zawołał Klemens, znów Pryhorki?

— Aaa! po jakiemu ty jedziesz? zadziwił się Piotr.

Wyrwał lejce z rąk syna i chcąc uczynić całkiem przeciwnie temu jak uczynił tamten, konia na prawo skręcił.

— Nie tak! z sań swoich krzyknął Stepan.

— Tak! *niebójś*, tak! odkrzyknął mu Piotr i jechał znowu dopóty, dopoki koń Piotra nie zagłębił się po kolana w jakimś rowie.

— Aaa! zadziwił się chłop, taki znów nie tak pojechali!

I z niewielką trudnością, wołaniem i ściąganiem lejców wyrwawszy z rowu tęgiego konika, zawrócił nazad. Dwoje sań innych zawróciło także, ale w ten sposób, że Szymon teraz znalazł się na przodzie. Jechali i jechali, aż znowu Stepan, z sań swoich do Piotra krzyknął.

— Znów Pryhorki!

— Pfu! zgiń, przepadnij nieczysta siło! splunął Piotr i na Szymona zawołał.

— Skręć nazad!

— *Naszło* mnie nazad! kiedy tak dobrze! odpowiedział nowy przewodnik.

— Może i dobrze! czy ja wiem, mruknął Piotr.

Klemens trząść się zaczął i dzwonić zębami.

— Tatku, odezwał się, mnie zdaje się, że znów ta choroba mnie bierze!

Choroba go nie brała, ale nieprzyzwyczajonego jeszcze do trunków, głowa od upicia się boléć zaczęła, a wicher przenikał kożuch i chłodem wdzierał się aż do szpiku kości. Piotr splunął znowu i szeptać zaczął.

— Panie niebieski, królu ziemski, zlituj się nad nami grzesznemi!...

— Zawracaj! krzyczał teraz na Szymona Stepan, zawracaj, Szymon! Nie widzisz, że nad staw pojechali!

Rozpoznał śród śnieżycy, cienie drzew, rosnących nad brzegiem stawu. Potężny głos jego, przebił się przez szum wiatru i dosięgnął uszu Piotra, który wnet konia zawrócił. Za nim zawrócili się dwaj inni.

Godzina przeszło upłynęła, odkąd wpół tylko przytomni i śnieżną zamiecią oślepiani, krążyli tak po równinie, zwracając się w różne strony i nie mogąc trafić na drogę, którą po razy wiele, w różnych już punktach w szerz przejechali.

— Czort tuman w oczy puszcza! odezwał się Piotr.

— Ale, potwierdził Klemens, coraz więcéj trzęsąc się od zimna.

Stepan do siebie zamruczał.

— Przyjdzie się człowiekowi jak psu zmarznąć.

A po chwili dodał.

— Jakby mnie nie stało, to ta *niehodna* ze wszystkiém by już Kaziuka zamęczyła....

I westchnął.

A Szymon na swoich saniach lamentował.

— Oj, *horkaja*, *horkaja* dola mnie i dziatkom moim!

Wtém Klemens podniósł się trochę na saniach i tonem wielkiego przestrachu krzyknął.

— Znów Pryhorki....

Piotr podniósł się także i wzrok wytężył.

— A jakże! Pryhorki, potwierdził. *Czort* wodzi, taki już nie naczéj... Czort uwziął się dziś na nas, tuman w oczy rzuca i wodzi...

— Po jedném miejscu wodzi... zauważył Klemens.

— Ale, po jedném miejscu. Czort, nie inaczéj... złaź z sań...

Wysiadł z sań i syna wołał.

— *Budziem* drogi szukać....

Wysiedli obaj, a nadjeżdżające sanie Stepana z temi, które się zatrzymały, zetknęły się tak blisko, że płozami zaczepiły się o ich płozy.

— *Chadziom* drogi szukać... krzyknął Piotr na Stepana i Szymona.

Wszyscy czteréj brnąc w śniegu, postąpili kroków kilka, wtém Klemens zawołał:

— *Baczysz*, tatku, *baczysz*? (widzisz?).

Rękę wyciągał do szarzejącego, ruchomego cienia, który teraz właśnie wychylił się z za lasu Pryhorek i dość zbliska, powoli, przesuwał się w śnieżnéj mgle.

— W imię Ojca i Syna...— przeżegnał się Piotr — zgiń, przepadnij nieczysta siło....

Stepan najodważniejszy parę kroków jeszcze naprzód postąpił.

— Czort czy baba... wahającym się głosem wymówił.

— Baba... zaczął Szymon—szelma baba, *hroszy* nie dała, wiedźma ta... ja jéj jak matki prosił... Oho! poczekaj!

I puścił się naprzód. Po paru sekundach, całą siłą swych pijanych nóg ku zarytym w śniegu saniom powracał. Przypadł do swoich sań i sapiąc, klnąc, wyciągać z nich zaczął jeden z poprzecznych drągów składających siedzenie i przykrytych słomą.

— Ona sama—bełkotał—wiedźma ta... czortowa przyjaciółka... kowalicha *proklataja*... *hroszy* nie dała, a po nocy ludzi na zmarznięcie wodzi....

— Ona! znów ona! — krzyknął Piotr i także poprzeczny drąg z sań wyciągać zaczął.

— Niechaj czartowska przepadnie przed boską siłą... niechaj boska siła przezwycięży czartowską siłę... *Pohana* dusza jéj... synka mnie zgubić chciała, a teraz znów na polu zamrozić... nie doczekanie jéj....

— Czego ona do naszéj familii przyczepiła się i prześladuje... krzyknął Klemens. — Czy to już moja młodzieńka głowa przepadać ma przez nią?...

Stepan tchu z ust nie wypuszczał, ale także poprzecznicę z wozu wyciągał... W napełniających świat białych ciemnościach, twarze ich niewidzialne były, ale z głośnych sapań ich piersi, z ponurych mruczeń i pijanych wykrzyków, bił wzbierający wulkan namiętności najsroższych, trwogi i zemsty. Minuta upłynęła, a w mgle śniegowéj o kilkanaście kroków od trojga skupionych z sobą sań zaciemniała szamocąca się gromadka ludzi i wzniosły się krzyki i jęki straszne, które jednak wicher przykrywał swym szumem i wraz z pogwizdami swemi niósł na szerokie, burzą huczące pola...

Pięć minut upłynęło a wielka fala wiatru, rozsuwając na chwilę mgłę śnieżną, ukazała drogę, jak struna prosto wyciągającą się w przestrzeni, a na téj drodze, troje sań, na których siedzieli czteréj chłopi. Czartowską moc zniszczyli i drogę znaleźli. Konie zacięli, przeciągłemi głosy na nie zawołali, szybko posunęli się gładkim szlakiem drogi i w gęstych znowu zamieciach śnieżnych zniknęli. Za nimi Pietrusia, żona Michała kowala, nieruchomą plamą ciemniała na białéj ziemi. Kijami połamali jéj pierś i żebra, młodą twarz krwią zaleli i zostawili na pustém polu, na szerokiém polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukom i kawkom na strawę.

ZAKOŃCZENIE.

W sali sądowéj gorąco od ścisku i świateł. Od długich rozpraw i późnéj godziny nocnéj, ciężkie znużenie napełnia powietrze. Drzwi szczelnie zamknięte i pilnie strzeżone otwierają się nakoniec. Z głuchym szmerem powstaje z miejsc swych publiczność; obwinieni podnoszą się także w swéj ławie. Długim szeregiem sędziowie przysięgli opuszczają miejsce swych obrad; jeden z nich, w postawie pełnéj powagi, donośnym głosem odczytuje cztery pytania, z których każde stosuje się do jednego z obwinionych, a zakończone być ma odpowiedzią bardzo krótką: winien, niewinien.

Cztery razy w głębokiéj ciszy, po rzęsiście oświetlonéj i tłumem ludzi napełnionéj sali, donośnie rozbrzmiewa wyraz.

— Winien, winien, winien, winien.

Po krótkiéj przerwie głos inny donośnie ogłasza wyrok.

Piotr, Stepan, Szymon i Klemens Dziurdziowie skazani na pozbawienie wszelkich praw ludzkich i obywatelskich, dziesięć lat ciężkich robót w kopalniach i dośmiertne pozostanie w Syberyi.

Skazańcy słuchali, słuchali. Głos ogłaszającego wyrok umilkł... Stało się. Po bladéj jak chusta twarzy Piotra, jedna za drugą ciekły łzy, ciche, ciężkie, a ręce jego podnosiły się zwolna i splatały u piersi.

— Panie niebieski, *krolu* ziemski, niech *budzie* wola twoja jak w niebiesiech tak i na ziemi—wymówił głośno, wyraźnie i zapatrzył się w górę.

Stepan ani drgnął, tylko na zmiętą w tysiąc zmarszczek twarz jego spadł krwisty rumieniec, a z czarnych oczu strzeliła rozpaczna i zarazem groźna błyskawica.

Szymon pozostał jak był, z obwisłemi rękami, otwartemi usty i mokrym, osłupiałym wzrokiem. Zdawać się mogło, że wszystko na

świecie było już mu obojętném, albo że nawet nie rozumiał wcale czém odtąd miała mu być przyszłość.

Ale za tym pijakiem i głupcem podniosły się w górę dwa silne, młodzieńcze ramiona i dwie dłonie, które nie miały jeszcze czasu stwardzieć i zczernić w pracy, konwulsyjnym ruchem wpiły się w gęstwinę płowych jak len włosów. Włosy swe w obie garście Klemens pochwycił i głośnym płaczem ryknął....

Potém, po jednemu, ławę swoją opuszczać zaczęli i powoli, ciężko stąpając, z kolei wchodzili w nizkie drzwi, które otworzyły się przed nimi, a za któremi widać było boczną sień budynku, ciemnością swą odbijającą czarno od rzęsistego oświetlenia sali. Z powodzi świateł, jeden po drugim wstępowali oni w tę czarną ciemność, za ostatnim z nich zniknęli dwaj zamykający pochód zbrojni żołnierze. Niskie drzwi zamknęły się zwolna, bez szelestu....

Eliza Orzeszkowa.

Z WYCIECZKI
CZŁONKÓW ZJAZDU ARCHEOLOGICZNEGO WE LWOWIE
DO BOHORODCZAN

10 Września 1885 r.

Ani się śniło napewno nigdy żadnemu ze sławetnych, obojga obrządków, obywateli skromnych Bohorodczan, aby ich mieścina— gdzieś na rębach ustronnego Pokucia rozsiadła—miała kiedy obudzić żywsze, w wysokich nawet sferach nauki, zainteresowanie się! Szczęśliwy przecie wypadek, zaszły przy okazywaniu okolic i rzeczy godniejszych widzenia na Rusi halickiéj ciekawemu cudzoziemcowi (Tissot'owi), doprowadził najniespodziewaniéj do zwrócenia na nią szczególniejszéj uwagi. Oto bowiem prezes Towarzystwa archeologicznego i konserwator z urzędu zabytków starożytności we Wschodniéj Galicyi, hr. Wojciech Dzieduszycki odkrył w ubogiéj cerkiewce tamecznéj pomnik tak niepospolitéj wartości, że stanowi on może najbardziéj doskonały wzór tego zespolenia organicznego w krainie sztuki żywiołów wschodniego z zachodnim, jakie tak wybitnie charakteryzowało w ubiegłych wiekach życie Rusi Czerwonéj we wszelkich zakresach i przejawach onego. Pomnikiem zaś tym jest przechowany tutaj wspaniały „ikonostas" słynnego niegdyś „skitu" (monasteru) błahoczestywych mnichów w niedalekich ztąd Maniawach.

Przygytowani nieco wstępnym odczytem p. Dzieduszyckiego „O rozwoju sztuki ruskiéj"—wygłoszonym zajmująco zaraz w dniu odkrycia zjazdu archeologicznego, przygotowani widokiem ciekawym sprowadzonego na jego wystawę ikonostasu z Rohatyna oraz przeróżnych a bogatych w artystycznèm i starożytniczèm znaczeniu przedmiotów cerkiewnych z Krechowa, Żółkwi, lwowskiéj „stawropigii" etc. etc.—daliśmy się łatwo skłonić ku programowéj w drugim dniu Zjazdu wycieczce do Bohorodczan.

Zapowiadająca się niemile słota nieomal przecie nie zniweczyła zupełnie naszego zamiaru. Raniutko dnia 10 września stanęło jednak kilku z nas na dworcu czerniowieckim. Ztąd pociągiem pośpiesznym ruszyliśmy do Stanisławowa a daléj już zwirówką aż do leżącego o parę mil, za Dniestrem w głąb ku Karpatom, celu naszéj wyprawy.

Nie obiecywaliśmy sobie wcale—trzeba to wyznać—jakiejś znaczniejszéj zdobyczy dla nauki, mimo zapewnień przewodniczącego wycieczce naszéj samego odkrywcy pomnika, a nadto zmitrężeni byliśmy słotą, która nie pozwoliła nam nawet należycie odpowiedzieć na uroczyste powitanie nas przez starszyznę miejscową wiwatami z moździerzy, muzyką itd. itd. O ileż za to głębsze musiało być, jak zrozumieć łatwo, niespodziane wrażenie, wywołane już przy pierwszym rzucie oka, gdyśmy się znaleźli w obec przepysznego ikonostasu przed ołtarzem ubożutkiéj cerkiewki! Nie było już miejsca dla powątpiewań!

Istotnie, co się wiedziało innemi drogami, z zakresu innych dziedzin o charakterze przeszłości Rusi Czerwonéj, naraz znalazło potwierdzenie całkowite, namacalne i w przysłoniętéj dotąd ciemną mgłą nieświadomości dziedzinie sztuki. Co więcéj, potwierdzenie w stopniu doskonalszym, wyrazistszym bardziéj, że tak powiemy, plastycznym.

Cały ikonostas, w obliczu którego znaleźliśmy się, ze wszystkimi onego szczegółami, jest dziełem—o ile z ogólnych wskazówek a nawet napisów, zbyt rzadkich na nieszczęście, wnosić można, z początku XVII-go w., dopełnianém przecie, domalowywaném w wieku następnym. Wszystkie w nim motywa, wszystkie koncepcye, daléj ikonograficzne modły—wszystko to wschodnie, byzantyńskie, tak w ogóle jak prawie we wszelakich szczegółach. Rutyna formalistyczna grecka zachowana wszędy: czy to zatrzyma naszą uwagę „archirej“ (Chrystus) u góry, czy większe „ikony“ po obydwu stronach wrót rajskich lub wyżéj nad tém święci apostołowie, czy drobniejsze pod temiż długim szeregiem a urozmaiconéj treści „praźniczki,“ czy nakoniec boczne obrazy i obrazki ikonostasu. Ale za to artystyczne wykonanie, ale za to duch jaki zewsząd wieje, tryb saméj malatury, styl—wszystko to całkowicie zachodnie: Renesans (resp. rococo) najwyraźniejszy a bogato urozmaicony. Nie jest to bowiem dzieło jednéj szkoły a tém mniéj jedynego artysty, owszem wyróżniać tu się dają obok wpływów idealizmu włoskiego wzory flamandzkiéj iście rodzajowości i cechy szkoły niemieckiéj, a oprócz tego jakiś rodzaj nieokreślony, przy akcesoryach dobitnie lokalnych, jaki chyba stylem polskim ówczesnym nazwać byśmy się kusili. Naj-

mniéj zaś czterech, pięciu malarzy wyróżnić by tu można, a gdyby nadto chciało się uwzględnić i stopnie wartości artystycznéj, to trzeba by przypuścić i większą ich ilość. Co zaś dotyczy nakoniec owéj wartości artystycznéj malowideł ikonostasu niezależnie od ich znaczenia historyczno-charakterystycznego, wypada tu na zamknięcie zaznaczyć, że nawet już sama podniosłość piękna estetycznego, w kształty którego przyoblekł się fakt stanowiący istotę wewnętrzną przeszłości Czerwonéj Rusi, byłaby wystarczającą dla zwrócenia powszechniejszéj uwagi. Nie dosyć tego bowiem, że ten oto pomnik, przechowany w Bohorodczanach, jest w ogóle wyższym pod względem artystycznym od innych lepiéj znanych po Haliczyznie, jak ów naprz. zdobiący salę doraźnéj Wystawy archeologicznéj ikonostas z Rohatyna; lecz zaiste nie jeden z poszczególnych onego obrazów, drobniejszych osobliwie, nie zrobiłby ujmy watykańskiéj nawet galeryi. Jednćm słowem pomnik ten nasz jest wyrazem zespolenia się w życiu ubiegłém Rusi Czerwonéj, w krainie sztuki, pierwiastków — wschodniego z zachodnim, byzanckiego z rzymskim, ruskiego z polskim — nie tylko najdoskonalszym, lecz i estetycznie, w swéj całości, najpiękniejszym może.

Ztąd naprawdę zasługuje on na najpilniejsze zbadanie pod każdym względem. Już sama umyślna programowa wycieczka członków tego pierwszego rusko-polskiego zjazdu archeologicznego we Lwowie — dla pobieżnego choćby obejrzenia go — nada mu szerszego rozgłosu. Daléj wniesiona (przez p. Z. Cieszkowskiego) na ostatniém posiedzeniu Zjazdu myśl wyjednania dlań uznania oficyalnego za pomnik „narodowy“, tyle co „national“ po austryacku — mimo niewczesnego protestu (prof. Szaraniewicza) domagającego się, by go uważano tylko za „krajewyj“, zapewni mu może większe środki należytego podtrzymania. Nakoniec postanowienie Towarzystwa archeologicznego Wschodniéj Galicyi wydania jak najśpieszniéj albumu fototypicznego wszystkich szczegółów tego nieocenionego zabytku, wyrażającego tak żywo a barwnie rodzaj i stopień kultury estetycznéj jednéj z piękniejszych krain staréj Rzpltéj w epoce najpotężniejszego jéj życia, dozwoli następnie i dalekim uczonym archeologom i artystom robienia nad nim głębszych studyów porównawczych.

Nim atoli to nastąpi, nim wyczerpujące badania wyświetlą nam i rozjaśnią istotne znaczenie pomnika, rozważone wszechstronnie, znaczenie tak artystyczne jak ściśle dziejowe, wypada tym, co go choć pobieżnie przy okoliczności téj archeologicznéj wycieczki oglądali, wypowiedzieć poprzednio w głos a z własnego względnie stanowiska osobiste swe widzenie przedmiotu. Nie tyle właściwie dla za-

interesowania szerszéj publiczności, ile ażeby, przez postawienie natychmiastowe żywych kwestyi i postulatów, zmusić specyalistów ku tém skorszemu przystąpieniu do badań stanowczych. Każdy z nas, uczęstników wyprawy do Bohorodczan zdobył nadto tém więcéj prawa do wypowiedzenia tych kwestyj i postulatów, im więcéj poddał się pewnemu wyjątkowemu nastrojowi, charakteryzującemu tak wybitnie ten pierwszy archeologiczny zjazd lokalny na Rusi Czerwonéj. Już bowiem narazie i na miejscu, jeśli mniéj w dyskusyach na posiedzeniach publicznych, tém więcéj za to w żartkich rozprawach prywatnych pomiędzy żywiéj zainteresowanymi, przy każdéj ubocznéj nawet okoliczności wypowiadały się i wyrabiały przedwstępne zdania i sądy. A bądź co bądź, jakkolwiek Zjazd cały zamkniętym został w arcyskromniutkie granice, to przecię, gdy wszystko tu się skupiło przeważnie, koło wywieszonéj jakby u wstępu chorągwi w temacie naczelnego odczytu „O rozwoju sztuki ruskiéj", w znaczeniu miejscowém czerwono-ruskiéj oczywiście—możnaż było temat ten wszechstronniéj a wzorzysto ilustrować! Sama wystawa archeologiczna chociaż w ogóle bogatą zwać się nie mogła, to działy jéj etnograficzno-artystyczne, swém urozmaiceniem, zasobnością i charakterem dziejowo-lokalnym nie pozostawiały prawie nic nadto do życzenia. Wreszcie miejsce zjazdu, stolica kraju Lwów, stało również otworem jak jedna wielka rozczłonkowana wystawa starożytnicza. Sędziwe wiekiem świątynie obojga obrządków, muzea publiczne imienia Ossolińskich, imienia Dzieduszyckich, Stawropigia itd. itd. dopełniały z naddatkiem to, czego brakowało na doraźnie urządzonéj wystawie zjazdu. Znajdowały się tedy wszędzie przedmioty porównań, nadarzały się okoliczności do sprawdzeń, sprostowań lub umocnienia za pośpiesznie rzuconych czy powziętych zdań o zasadniczych żywiołach—swojskich i obcych, charakterze oraz wyżynie sztuki a za nią i kultury ogólnéj na Rusi halickiéj, z epoki ubiegłego jéj życia w szerokim związku bliżéj i daléj pokrewnych ziem staréj Rpltéj. Punktem wyjścia wszelako pozostawał zawsze przechowany w Bohorodcznach pomnik maniawski.

Wróćmyż ku niemu.

Nieoceniona to zaprawdę opora dla studyów nad dziejami miejscowéj kultury. Cóż ta za swoboda zachodnia, w ścisłych szrankach byzantyjskich bije promiennie z tego ikonostasu! Ktoś niewtajemniczony w warunki miejscowe a daleki, pomyśléć gotów: ha, cóż dziwnego, unia kościołów sprowadziła ostateczną przewagę Zachodu wszędy, a témbardziéj w sztuce. Ależ właśnie w tém rzecz najgłówniejsza, że to jest zupełnie inaczéj? Maniawy i ikonostas ich ustronnego „skitu" nie mają nic z unią wspólnego. Pomijając z uwa-

gi, iż cerkiew Czerwonéj Rusi, t. j. dyecezya lwowska i przemyska przystąpiły właściwie do unii w początku XVIII wieku, bo na synodzie zamojskim dopiero, że zatém pomniki sztuki cerkiewnéj z początku wieku XVII-go dziełem unii tu nie były, skit maniawski nie przestawał być w błahoczestyju (dyzunii) aż do samego zniesienia go przez cesarza Józefa II-go. Motywa téż samego zniesienia charakterystyczne: że niby monaster ten był gniazdem propagandy północnéj. Po zamknięciu zaś skitu maniawskiego, unicka gmina bohorodczańska skazany na zbutwienie ikonostas u niemieckiego urzędu za 80 czy 90 złot. reńskich nabyła. Pomnik więc ten przynależy w przeszłości do cerkwi błahoczestywéj, ortodoksalnéj wyłącznie.

Tyle wschodnio - ortodoksalny a tak renesansowo - zachodni z charakteru! Jakże to pogodzić? Ale pytajmy daléj podania o jego pochodzeniu.

Maniawy były zawsze jednym z głównych przybytków błahoczestyja wschodniego. W początku w. XVII-go, w czasie rozpoczętej po całéj Rusi walki między zwolennikami unii z Rzymem a jéj przeciwnikami, miały się cieszyć szczególniejszą opieką domu ks. Ostrogskich, mianowicie wojewody kijowskiego Konstantyna, którego obrażona fantazya jego z dynastyczna pańska, bardziéj niż gorliwość religijna, wyniosła była na widomą głowę nie dających się zachwiać dyzunitów. Pierwszy wiadomo ten pan z panów na Rusi, książę na Ostrogu, nie lubiący się dzielić swymi olbrzymiemi dochodami ze skarbem Rzpltéj, był tém hojniejszym, gdy chodziło o podsycanie ówczesnych ruskich walk domowych, nie tylko na pobojowiskach krwią zbraczanych lecz i w dziedzinach zapasów ducha. Mimo swego wystąpienia, ostatecznie za nietykalnością staréj ortodoksyi, był ks. Konstantyn przyjacielem idącego z zachodu ruchu reformacyjnego, zwolennikiem i opiekunem kultury zachodniéj, znał Włochy— gdy nawet pragnął był zawieść osobiście do Rzymu w upominku papieżowi unię—etc. Nic więc zastanawiającego, gdyby jego to sumptem miał stanąć w pierwotnéj swéj postaci ów ikonostas tyle rutynę byzantyńską przekraczający. Taki przynajmniéj początek domniemany pomnika. Kto daléj łożył na jego podtrzymanie i następne przeróbki, w tymże rodzaju, czy sam konwent bezimiennie, czy pewne pańskie rody ruskie szczególniéj? Niech nam to przyszły badacz historyi skitu maniawskiego wykryje. Z góry jednak już wiemy, że tu obrządek wcale nie uwarunkowywał charakteru kultury; decydował o niéj ogólny w Rzpltéj ruch cywilizacyjny. Nie raziło to kultu zachodniego, gdy przed dwoma wieki ściany kaplicy królowéj Zofii w katedrze na Wawelu okryte zostały freskami byzantyńskiemi, a których kalk kilka, z przed ostatniéj restauracyi

jeszcze, oglądaliśmy wywieszone dla wzoru na archeologicznéj wystawie. Témbardziéj razić nie mógł uczucia choćby najtwardszych ortodoksów wkraczający styl zachodni do cerkwi, gdy w w. XVII wszystkie warstwy zwierzchnie społeczeństwa czerwono-ruskiego—możnowładztwo i inteligencya — przesiąknięte były na wskróś europeizmem. Co więcéj tedy, poczucie estetyczne wymagało nawet dla zaspokojenia własnego form wyższéj cywilizacyi aż w surowéj świątyni greckiéj.

Styl byzantyński zresztą bardzo już wcześnie zaczął na Rusi Czerwonéj ustępować kroku przemożnym wpływom obcym, mianowicie romanizmowi i gotycyzmowi w budownictwie. Obok złomków starego zamku książęcego, świadczących o trybie jeszcze byzantyńskim, już najstarożytniejsza świątynia w Haliczu, dzisiejszy kościół ś. Stanisława, wzniesiona była w stylu romańskim (jak to potwierdził za innymi w odczycie swym, po małorusku wygłoszonym, o historyi tego miasta prof. Szaraniewicz). Cerkiewki zaś najstarsze drewniane (których oryginalne kształty postanowił upamiętnić w rysunku prof. politech. Zachariewicz) noszą widome ślady gotyki, dostrzeganéj wyraźnie w akcesoryach i na obrazach cerkiewnych znajdujących się na wystawie. Mimo to wszystko jednak, chyba za mocno istotnie zaakcentował w swym odczycie p. Dzieduszycki rozmiary wpływów obcych na Rusi, wskazując po przez Węgry aż na daleką Wenecyę. Słusznie téż mu wskazano (prof. M. Sokołowski), zaraz w wywołanéj przez to dyskusyi, na trwałe tu znaczenie podstawowe byzantynizmu.

Co do mnie — jabym tu jeszcze na domiar tego powtórzył podniesioną przy okoliczności kwestyę samych dróg i przeobrażeń byzantynizmu w pochodzie onego od grodu św. Konstantyna ku wierzchowiskom Dniestru. Potrzebném mi to się być wydaje; nowe bowiem warunki życia zacierają łatwo świadomość warunków odmiennych w oddalonéj przeszłości. Przypomnijmyż sobie fakta. Ruś Czerwona późniejsza, wydarta jako „czerwieńskie grody“ Lachom starym przez Rusów (Włodzimierza) i pociągnięta w wir życia szerokiéj rzeszy rurykowskiéj, oczywiście poddać się musiała na razie przemożnym wpływom zwierzchniczego Kijowa; nadto—bardziéj może w zakresie kultury religijnéj niż politycznie nawet. Długo to jednak trwać nie mogło: poczucie odrębności miejscowéj brało górę, zresztą sam Kijów w XIII wieku upadł, a po upadku onego, nawet główne prądy życia całéj Rusi południowéj zwróciły się od Dniepru ku Karpatom. Wyłoniła się tam potrzeba stworzenia odrębnéj metropolii halickiéj a nawet królestwa ruskiego. Mimo pochylań się ku Rzymowi, trzymano przecież stale ze zbliżającém się ku upadkowi

Byzancyum, brano zeń po dawnemu natchnienia. Czy jednak już bezpośrednio? Przez Białogród dniestrzański, do którego miały sięgać czasem posiadłości halickie? Lecz owo słynne Moncastro było genueńskiém, a wogóle nawet droga morska przez Pont nie była tak łatwą. Nie pomijajmy z uwagi zresztą, że tak długo sam Konstantynopol w ręku Łacinników zostawał. Nakoniec przy średniowiecznéj ciemnocie, sama nieznajomość języka greckiego na Rusi utrudniała tam działalność prawych Byzantynów. Pośrednikami poważnego stosunku pomiędzy wschodem a Rusią mogli być i bywali od początku jedynie obyci z greczyzną Słowianie południowi. A właśnie od rubieży halickich po same bramy niemal Carogrodu zalegało, po przez Dunaj i Bałkany, całe odrębne społeczeństwo słowiańskie, stanowiące w epoce dominacyi łacińskiéj potężne carstwo włacho-bułgarskie, z osobnym patryarchatem słowiańskim, rozpościerającym szeroko swe ramiona. Tu było główne ognisko wschodniéj wśród Słowian kultury, ztąd ona rozpromieniała się na północ nadkarpacką i tu téż jéj źródeł szukać należy.

Nie przez Kijów już tedy daléj rozlewał się po Rusi Czerwonéj byzantynizm, lecz znacznie prostszą drogą: ze stołecznego bułgarskich patryarchów Ternowa, przez sąsiednią Soczawę wołoską. Nie mógł téż odwrócić kierunku tego przyrodzonego prądu i następny podbój turecki. Nie tyle zatém monastery naddnieprzańskie jaśniały dalekim dla Rusi halickiéj wzorem, ile prędzéj skity u podnóży Bałkanów, Ryło, Samoków itd. Tutaj téż kultura byzantyńska już poczynała ulegać przeobrażeniu, nie tylko pod naciskiem rodzimego ducha Słowian, lecz nawet pod powiewami zachodu, gdy cerkiew bułgarska już od swéj kolebki jakby ciągła kość niezgody między Konstantynopolem a Rzymem, poddawała się samochcąc wpływom tego ostatniego. Następnie i wpływ zachodu przedzierał się i na Ruś tędy, którędy dla nieświadomych był najmniej oczekiwanym — najpierw wierzejami cerkwi bułgarskiéj. Lecz obok tego ułatwiały mu téż dostęp niemały rozrzucone po zachodniém wybrzeżu morza Czarnego genueńskie emporya—daleko wcześniéj nim ostatecznie parokrotne zwierzchnictwo węgierskie i stale potém polskie panowanie wpływ ten do stopnia dominującéj potęgi nie podniosły. Aż nastąpiło tak doskonałe przesiąknięcie się wzajem pierwiastków jednéj i drugiéj kultury, jakiego wzór w ikonostasie bohorodczańskim oglądamy. Wreszcie przesiąknięcie to wzajemne uderza wszędy i na wystawie archeologicznéj, w dziedzinach sztuki pięknéj: w zespoleniu motywów nawet i symbolów charakterystycznych. Oto np. jeden ze mszałów (ewangielii) w misternéj roboty oprawie srebrnéj— jakże tu w doskonałéj, organicznéj, że tak powiem, harmonii połą-

czone w pysznéj rzeźbie (na okładce) obadwa motywa odnośne do Bogarodzicy: u dołu „uśpienie" (wschodni), po nad niém zaś „wniebowzięcie" (zachodni przeważnie); ani znać tu jakiegoś spojenia przymusowego, rażącego.

Zastanawiając się daléj nad drogami, po których w ciągu wieków kroczyły tak byzantynizm jak prądy zachodnie, dostrzegamy wyraźnie przewagę pewną Rusi Czerwonéj nad Kijowem—pod względem stopnia wzajemnego ich na się oddziaływania w roli pośredniczéj obcym tym wpływom. Byzantynizm działał na pierwszą prostszą drogą — Kijów mimo żywego z nią zawsze moralnego stosunku, stał w tém zupełnie prawie na uboczu, a poniekąd sam czerpał wzory z Halicza; co zaś do wpływów zachodnich wyłączniéj — takowe pewnie z nad Dniestru przedewszystkiém ku Dnieprowi przenikały. Obecnie rozpowszechnione zapatrywanie się na kierunek głównych dróg pochodu byzantynizmu, oraz nieprzerwanéj roli pośredniczéj Kijowa powstało skutkiem zamglenia świadomości historycznéj, którą należy ożywić.

Po tych uwagach ubocznych, wracając do ogniskowego naszego przedmiotu, t. j. do ikonostasu bohorodczańskiego, nie od rzeczy będzie w zamknięciu zwrócić się na razie i *ad hominem*. Po samym odkrywcy tego zabytku, mamy tu na myśli przed innymi jednego z członków zjazdu i towarzysza naszéj wycieczki, młodego artystę malarza, p. Makarewicza, który oprócz zapału artystycznego posiada, jako haliczanin, żywszy zmysł rozumienia rzeczy dotyczących charakteru kultury miejscowéj. Rozmiłowany w studyach nad ikonografią cerkiewną i obeznany już z nią więcéj od innych artystów, mając sobie oddaném przerysowanie poszczególne całego wogóle ikonostasu, dla zamierzonego albumu fototypicznego,—mógłby on przy téj sposobności, uwzględniając wskazówki nie tylko ściślejszéj artystycznéj lecz i kulturowo-historycznéj natury — pilniéj i śpieszniéj zbadać zastanawiający ten zabytek niewyłącznie z jednéj strony estetycznéj. Niewyczerpany tam materyał etnograficzny nawet: spółczesne stroje (polskie), budowle, ornamenta, wzorki obyczajowe zatrudnień. Nie mówiąc już o wyświetleniu różnic indywidualnych samych malarzy, ich stylów, stopnia oryginalności lub naśladownictwa; nareszcie uwarstwowienia, że tak powiemy, chronologicznego, epoki wyraźnéj każdego z wyróżnionych artystów. Było by to wielkiém posunięciem rzeczy naprzód, wspierającém potężnie bardziéj kulturowo — historyczne studya nad przedmiotem, jakich mamy prawo się spodziewać najwięcéj po samym odkrywcy pomnika p. Dzieduszyckim. Panu Makarewiczowi zaś dałoby następnie poważną podstawę do badań rozleglejszych, chociażby nad zwrotami

rozwoju ikonografii halickiéj tyle oryginalnéj harmonijnie dwoistym swym charakterem, cechującym tak wybitnie Ruś Czerwoną we wszelkich przejawach jéj życia.

Jak głęboko w przeszłość sięgała dwoistość? Więc i o to pytaliśmy specyalnych badaczy. Przypomnieliśmy sobie, że przed epoką staro-ruską byłać tam epoka staro-lechicka; ale cóż, oprócz gołosłownéj wzmianki o fakcie zaboru kraju Lachom przez Rusów nic więcéj Nestor o tém nie podaje. To co mogło poprzedzić problematyczną epokę lechicką, mianowicie wpływy rzymskie — oczywiście z podbitéj Dacyi na północ się wdzierające, jest téż wątpliwém: nawet owe wały „trojanowe,“ spotykane aż na dorzeczu średniego Dniestru, o których słyszeliśmy w odczycie archeologicznym (p. Kirkora) niema żadnego uzasadnienia wiązać z imieniem znakomitego Daków zwycięzcy.

Pierwociny kultury bardzo ciemne. Ów skarbiec złoty wykopany w Michałkowcach, jakiśmy w nielicznem kole oglądali w muzeum imienia Dzieduszyckich, nic nam pod tym względem nie wyświetla; nie królewski to przecie skarbiec a jakiś hieratyczny, religijnie obrzędowy, osobliwie korona, pewniéj arcykapłańska—lecz jakiego kultu? Postacie konwencyonalne czy symboliczne jakichś zwierząt, bardzo semityckie, żydowsko-lichtarzowe — cośmy na razie sprawdzali. Wszystko oczywiście nie słowiańskie. Co gorzéj, prof. Wojciechowski, daléj posuwając się w swéj „Chrobacyi“, nielitościwie dla naszéj dumy rodowéj powiada: myśmy tu, Słowianie, bardzo późni przybysze, chyba z V-go wieku! A z odczytu (p. Ossowskiego) przedstawiającego porównanie świata przedhistorycznego z dokonanych wykopalisk porzecza Wisły i Dniestru, dowiedzieliśmy się tylko, że osiedlenie zaszło tam jednocześnie, lecz czy przez ludy jednego szczepu — odgadnąć nie można.

Tak głęboko sięgały kwestye rozwoju kultury Rusi Czerwonéj roztrząsane przez uczestników zjazdu archeologicznego i takie tylko były na nim dozwolone. Dla wyświetlenia ich zgromadzono na wystawę starożytniczą, co się zgromadzić dało z dworów pańskich, publicznych instytucyi i świątyń.

Ale tam naszych poczciwych Bohorodczan nic podobnego wcale nie obchodziło. Zajmowała ich zato żywiéj rzecz bliższa dla nich. Wcześnie przed zjazdem jeszcze, dla wzbogacenia wystawy — podobnie jak Rohatyńców (ks. kan. Dzerowicza) — proszono i ich także o przyzwolenie wzięcia ikonostasu na pewien czas do Lwowa, przy wszelkich rękojmiach moralnych prędkiego zwrotu. Paroch miejscowy (ks. dź. Paczowski), kapłan światły, zgadzał się na to chętnie. Ale inaczéj myślała nieufna parafia. Wprawdzie ikonostas

od złota nie kapał, cudami nie słynął, ale zawsze jednak posiadał urok starożytności, związanéj z legendą skitu maniawskiego. Otóż przezorniejsi niby ze sławetnych powzięli podejrzenie, że ozdobę tę ich cerkwi chcą widać niepoczciwi gdzieś na daleką północ sprzedać a ich zbyć potém jakimś świeżym malunkiem. Więc mimo wiwatów i muzyki jaką nas zwierzchność miejscowa przyjmowała, gorliwcy cerkiewni widzieli w przybyszach figury wcale niepewne a może tém niebezpieczniejsze im uroczyściéj witane. Gdyśmy zatém weszli do cerkwi, tłumy natychmiast zaległy cmentarz a ci, co wcisnęli się do świątyni, pilnie, nie przez samą ciekawość, śledzili za każdém naszém poruszeniem. Oderwane głośne wyrażenia uniesień oglądających niespodzianie świetny zabytek: „co za cudne to!,“ „co za bogate!“ rozumiała „hromada“ wcale inaczéj, jak ekstazyowani archeologowie estetycy. Cena ikonostasu rosła w wyobraźni parafian co chwila o krocie wyżéj. Oglądać przecie swobodnie pozwalano, ułatwiano to nawet, przystawiano drabiny itd. Ale kiedy po parogodzinném rozpatrywaniu, dla dokładniejszego odczytania podpisu artysty na jednym z bardziéj zastanawiających obrazów, poczęto go wyjmować z kadrów ikonostasu, dał się naraz w tłumie słyszéć gwar głuchy „ne damo!“ i gromada z cmentarza chciała wkroczyć do cerkwi. Po odporze skutecznym trzymających niby straż honorową żandarmów, wypadło aż p. staroście powiatu z ks. dziekanem uciszać, stanowczém przemówieniem, zaniepokojenie w tłumie. Oczywiście, przemówienie poskutkowało i do tego stopnia, że po świetném przyjęciu, jakim nas starożytników uraczył ze staroświecką gościnnością starosta bohorodczański (p. Strasser), przyszli trzej delegaci od parafian, aby nas za niedorzeczne pomyślenie tłumu uroczyście przeprosić. Nie potrzebuję dodawać, że całą winę, poczciwym wszechsłowiańskim obyczajem, zwalono na „baby.“ Gdyby przecie i tak było, uszanujmyż we wspomnieniu, to żywe przywiązanie prawych Bohorodczanek do świętości swéj ubożutkiéj cerkiewki.

Aleksander Jabłonowski.

RUMELIA WSCHODNIA.

(Podług dra Konst. J. Jireczka)

Przebiegając pamięcią dzieje półwyspu Bałkańskiego od zamierzchłéj starożytności aż do czasów dzisiejszych, przekonać się możemy, iż żadna chyba z ziem europejskich nie podlegała tylokrotnym, co on, zmianom i przeobrażeniom, tak pod względem etnograficznym, jak i politycznym. Zwłaszcza wschodnia część jego, na południe od Dunaju, obejmująca w granicach swych pasma gór Bałkanów i Rodopy, a stanowiąca niejako stacyę w wędrówkach narodów z dalekiego Wschodu na bardziéj cywilizowany Zachód, nosi w swéj dzisiejszéj mieszaninie narodowościowéj i zagmatwaniu politycznych dążności wybitne ślady różnolitych pierwiastków, działających kolejno z mniejszą, lub większą siłą w przeciągu jéj życia dziejowego. Jako najstarszych mieszkańców w téj ziemi, objętéj na zachód rzeką Wardarem, na północ Dunajem, a na wschód i południe morzami Czarném i Śródziemném, podaje Herodot irańskie plemię Traków, wyszczególniając pośród nich najprzedniejszą gałąź Odrysów. W latach 342—340 przed nar. Chr., ojciec Aleksandra Wielkiego, Filip II, król sąsiedniéj Macedonii, zawojował Tracyę aż po Bałkany i założył w niéj cały szereg kolonii, z których Filippopol przez 2,222 lata aż do dzisiaj, przechował imię energicznego założyciela potęgi macedońskiéj. Po Macedończykach przyszli Rzymianie. Półwysep Bałkański stał się prowincyą tylko olbrzymiego, cały podówczas znany świat obejmującego państwa rzymskiego, lecz prowincyą nieposlednią, stanowiącą bowiem najsilniejszy łącznik, najważniejsze ogniwo, wiążące z sobą wschodnią i zachodnią część tego wielkiego organizmu. Do dziś przechowały się ślady starożytnego gościńca rzymskiego, wiodącego z Byzancium przez Filippopol i Serdykę (Sofię) do Singidunu (Białogrodu), a ztąd gdzie chcieć na zachód, przez

Akwileę do Rzymu, lub do Galii. Tym gościńcem szli, gdy się miało pod koniec wielkiemu cesarstwu, Gotowie, ciągnący z żonami i dziećmi, aby szukać nowych siedzib na cieplejszém południu; tędy potém jak groźne czarne chmury wędrowały z dalekiego Wschodu hordy Awarów, Hunnów i innych barbarzyńskich plemion, pod których naciskiem upadł Rzym stary. Nakoniec Słowianie wtargnęli na półwysep i usadowili się między resztkami dawnych „prowincyałów“ rzymskich, które po mału z biegiem średnich wieków wyginęły, z wyjątkiem nielicznych gromadek pasterzy górskich i rzemieślników w górach Macedonii i Epiru. Przestrzeń wschodnią, między Dunajem i Bałkanami, od morza Czarnego zajęli Bułgarzy. Naród ten powstał z połączenia się pierwotnych Słowian naddunajskich z przybyszami z nad Wołgi—Bułgarami. Ci wpadłszy do Tracyi pod koniec V wieku, ujarzmili Słowian, dali im swą nazwę, ale osiedliwszy się tamże, przyjęli z czasem ich mowę, zwyczaje i obyczaje, zleli się z podbitymi w jeden naród i sami stali się Słowianami. Utworzone przez nich państwo wśród ciągłych walk z Grekami bizantyńskimi wzmagało się szybko. W X-m wieku, za cara Symeona, obejmowało ono Wołoszczyznę, Siedmiogród, Banat, część Serbii po rzekę Drynę, Tracyę, Macedonię, Tessalię i Epir. Były to najświetniejsze czasy państwa bułgarskiego, lecz chociaż następnie granice polityczne znacznie zredukowane zostały, to jednak sadowili się widać Bułgarzy natychmiast w zdobytych prowincyach i bądź siłą, bądź umiejętną konkurencyą usuwali poprzednich mieszkańców, do dziś bowiem pod względem etnograficznym cały obszar między Dunajem, Wardarem i dwoma morzami śmiało Bułgaryą nazwać by można (1).

W XIV wieku na Bałkańskim półwyspie zjawili się Turcy i rozpoczęli od zawojowania Tracyi. R. 1363 padł bizantyński podówczas Adryanopol, a wkrótce potém wzięty został i bułgarski Płowdyw (Filippopol). Odtąd zdobycze tureckie szły coraz szybszym krokiem i wkrótce cała *raja* chrześciańska półwyspu bałkańskiego dostała się pod moc bezlitośnego zwycięzcy i pozostawała w niewoli aż do ostatnich czasów. Nie będziemy tu kreślili nazbyt znanych dziejów okrutnego panowania tureckiego, które zakończyło się wojną serbską, powstaniem bułgarskiém i wreszcie interwencyą Rosyi. Przejdziemy wprost do rezultatów téj ostatniéj, co się tycze zajmującego nas w danéj chwili narodu bułgarskiego.

Jak wiadomo wojna zakończona została pokojem, zawartym w San-Stefano (3 marca 1878 r.) bezpośrednio między Turcyą i Ro-

---

(1) Dzieje Bułgarów, opowiedziane według Jireczka, podaliśmy w piśmie naszém r. 1876, t. I i II.

syą, z wielką korzyścią dla téj ostatniéj. Na zasadzie tego układu Tracya wcielona została w granice wielkiego księztwa bułgarskiego, które otrzymywało zupełną samodzielność polityczną, a podług paragrafu siódmego tejże umowy miał się zebrać w Płowdywie lub w Tyrnowie sejm notablów bułgarskich, aby wypracować dla nowokreowanego państwa statut organiczny, na wzór statutu, wydanego w r. 1830 dla księstw naddunajskich. Kwestya, które miasto zrobić stolicą nowego księstwa, nie była jeszcze wówczas zdecydowana, lecz cesarski komisarz rosyjski, postawiony na czele rządu tymczasowego, książę Dondukow-Korsakow osiadł w czerwcu w Płowdywie z całą swą kancelaryą i pozostawał tam do września. Tutaj władza okupacyjna zaczęła swą pracę organizatorską, tu wypracowane zostały pierwsze prawa (po części zaprojektowane już w Sistowie), tu poczyniono pierwsze rozporządzenia tyczące się oświaty. Z zapałem brano się do zakładania fundamentów pod tę nową budowę państwową. Od czerwca poczęła wychodzić w Płowdywie pierwsza gazeta bułgarska w oswobodzonym kraju, *Maryca*, która do dziś zachowała opinię najrozumniejszego i najpoważniejszego czasopisma bułgarskiego. Wojsko bułgarskie, skompletowane głównie z oddziałów ochotniczych, które brały udział w wojnie, zadziwiało—podczas wielkich manewrów na polu płowdywskiém—rychłemi postępami swemi i Rosyan i obecnych cudzoziemców.

Ale Bułgarya San-Stefańska została tylko projektem. Na energiczne żądanie mocarstw europejskich, musiała Rosya odstąpić od pierwotnego układu i zgodzić się na uchwałę kongresu Berlińskiego. Orzeczenie jego zmniejszyło nowe księstwo bułgarskie do obszaru zawartego między Bałkanami, Serbią, Dunajem i morzem Czarném, z dodaniem zabałkańskiéj niziny koło Sofii aż po rzekę Strumę. Na południe od Bałkanów, między niemi i pasmem Rodopy, z ziem, które w r. 1876 były widownią rzezi i mordów najstraszniejszych i które nadto podczas wojny najwięcéj ucierpiały, utworzono osobną, na wpół niezależną prowincyę turecką, sięgającą na wschodzie morza Czarnego (u miast Anchialos, Misivri, Burgas i Sozopolis) i mającą—podług obliczeń w *Mittheilungen* Petermann'a—643 geograficznych mil kwadratowych. Pomysł tego utworu politycznego należy podobno do Anglików, a wynalazek nazwiska do Francuzów. Po długich namysłach ochrzczono go *Rumelią Wschodnią*, niezbyt szczęśliwie, ponieważ nazwa ta sama przez się nic nie mówi. Turcy ongi całą Turcyę europejską, prócz Bośnii, nazywali *Rumili*—ziemią Rumów albo Romeów (Romajów=Rzymian), jak sami siebie zwykli byli nazywać Grecy bizantyńscy, obywatele państwa wschodnio-rzymskie-

go (1). W nowszych czasach nazwa Rumelii pozostała tylko przy południowych krajach—Macedonii i Tracyi.

Traktat Berliński określił nowy ten utwór dyplomacyi europejskiéj, jako prowincyę, pozostającą co się tycze spraw politycznych i wojennych, pod bezpośredniém zwierzchnictwem sułtana, lecz obok tego cieszącą się—co do administracyi wewnętrznéj, zupełną autonomią, i mającą osobnego generał-gubernatora chrześcianina, naznaczanego przez Portę na lat pięć, za zgodą mocarstw europejskich. Granice zostały szczegółowo opisane, a wkrótce potém wytknięte na gruncie przez komisyę międzynarodową. Artykuł 15-ty traktatu nadał sułtanowi prawo, dla obrony granic lądowych i morskich, budowania na nich fortec i trzymania w nich załogi, złożonéj wszakże tylko z wojska liniowego, nigdy zaś z baszybuzuków i czerkiesów. W razie wojny z ościennemi państwami armia turecka otrzymała prawo wolnego przemarszu przez prowincyę i otwartą drogę dla zajęcia i obrony gór bałkańskich; bez możności wszakże zatrzymywania się i stawania kwaterą u obywateli miejscowych. Porządek wewnętrzny utrzymywany być miał przez krajową żandarmeryę i milicyę miejscową. Generał-gubernator, (art. 16) miał prawo w razie potrzeby, gdyby zagrażało jakieś wewnętrzne lub zewnętrzne niebezpieczeństwo, powołać do prowincyi wojska tureckie, za poprzedniém wszakże porozumieniem się sułtana z mocarstwami. Szczegółową organizacyą rządu prowincyi zająć się miała komisya międzynarodowa, wziąwszy za punkt wyjścia projekt konferencyi konstantynopolskiéj z końca roku 1876, która, po głośnych rzeziach ówczesnych, wypracowała zarys ulepszonego zarządu prowincyi bułgarskich. Zarys ten pozostał wszakże tylko na papierze, i teraz dopiero postanowiono go zużytkować. Taż sama komisya międzynarodowa zarządzać miała i finansami Rumelii Wschodniéj aż do wypracowania ostatecznéj organizacyi.

W ten sposób orzeczenie mocarstw stworzyło na południowym stoku Bałkanu aż do Rodopy nowy, oryginalny organizm polityczny, którego środkiem i stolicą stał się Płowdyw. W samym kraju wiadomość o tém postanowieniu przyjęta została z wielkim niepokojem; ludziom, którzy przebyli świeżo wszystkie okropności naprzód rzezi baszybuzuckich, a potém wojny, powrót pod zwierzchnictwo Porty wydawał się losem strasznie ciężkim i niesprawiedliwym. W autonomię, przyobiecaną w traktacie, wierzono tyle, co w owe sławne reformy na papierze, któremi wysoka Porta łudziła w ostatnich czasach

(1) Prosty Grek do dziś język swój nazywa *romaika*; *ellinika*—to stara, książkowa greczyzna. Grek po turecku *Urum*, liczba mnoga *Urumler*.

przed wojną—Europę, swych poddanych i siebie samą wreszcie. Władza rosyjska znowuż nie miała żadnéj ochoty wdawać się w nową wojnę. Tymczasowy rząd okupacyjny jeszcze w początkach jesieni przeniósł się do Sofii, a gubernatorem tymczasowym oddzielnéj Rumelii Wschodniéj mianowany został generał Stołypin. Niezadługo przybyła do Płowdywu i komisya międzynarodowa, a za nią jako zarządca finansów prowincyi, Prusak Schmidt, ongi dyrektor ottomańskiego banku w Konstantynopolu. I komisya, i Schmidt, który wiele popsuł ostentacyjną nienawiścią ku wszystkiemu, co bułgarskie, spotkali się z zupełną nieufnością ze strony mieszkańców. W całéj ziemi powstał silny ruch, mający na celu jawny opór przeciw grożącemu wznowieniu zwierzchnictwa tureckiego. Za inicyatywą redakcyi *Marycy*, poczęły się organizować, zgromadzenia strzeleckie i towarzystwa gimnastyczne, które ćwiczyły się razem z nową utworzoną milicyą i współzawodniczyły z nią pod względem zapału i ochoty do nowych i niezwykłych zajęć wojskowych. Miało to oczywiście na celu przygotowanie do walki wszystkich mieszkańców kraju.

Jakkolwiek wszyscy byli przeciwko Turkom, wkrótce jednak utworzyły się dwa obozy. Zagorzalcy pod wodzą pułkownika rosyjskiego Kesjakowa, z urodzenia Bułgara z Płowdywa, który wówczas był komendantem bułgarskiéj milicyi w Rumelii, gotowali się do zbrojnego oporu, chcąc w razie wkroczenia do kraju garnizonów tureckich rozpocząć bój rozpaczliwy, a na wypadek porażki schronić się ze wszystkimi mieszkańcami na północ w Bałkany. Partya pokojowa miała na czele egzarchę bułgarskiego Józefa, młodego człowieka, rodem z pod bałkańskiego Kaloferu (świeckie jego imię było Lazar Jowczew), który odbył studya prawne w Paryżu. Z uwagi na straszne wyczerpanie i spustoszenie kraju całego, na wypalone wsie i miasta, na powszechną nędzę, głód i wogóle na wszystkie zgubne rezultaty trzyletnich przewrotów, głosiła partya ta, że wszelki opór jest niemożebny, że będzie on tylko zbytecznėm powiększeniem liczby krwawych ofiar, i radziła poddać się orzeczeniu traktatu Berlińskiego, chociaż nie bez pewnych warunków. Bywały i hałaśliwe demonstracye, mianowicie przeciw Schmidtowi. Wszystko to przekonało komisyę europejską: 1) o niepodobieństwie zaprowadzenia garnizonów tureckich na granicach lądowych i 2) o konieczności wybrania na generał-gubernatora nowéj prowincyi pewnéj. bardzo wielu warunkom odpowiadającéj osobistości, a nie byle jakiego ormiańskiego lub greckiego chrześcianina z effendich, bejów lub paszów wysokiéj Porty.

Jednocześnie, aby uwiadomić same mocarstwa o swych życzeniach, wysłali Rumelioci do gabinetów europejskich deputacyę, skła-

dającą się z lekarza dra Jankulowa i Iwana Eustratiewa Geszowa, Bułgara, wychowanego w szkołach angielskich i uchodzącego za jednego z najrozważniejszych mężów w narodzie. Ten, dzięki swojéj misyi, oraz późniejszéj publicznéj działalności (jako prezydujący w sejmie i redaktor *Marycy*, a potém jako dyrektor finansów) stał się zagranicą najbardziéj znaną z całéj Rumelii osobistością. Posłowie ci udali się naprzód do Tyrnowa, do konstytuanty bułgarskiéj (w lutym 1879), a gdy ta po kilku posiedzeniach przeszła od kwestyi ogólno-narodowéj do rokowań o wewnętrznym ustroju księstwa, pojechali daléj na zachód. Idea wszakże zjednoczenia Rumelii z Bułgaryą nieprzyjazne wogóle znalazła przyjęcie i posłowie powrócili w lecie do prowincyi autonomicznéj, gdy poczęła już ona żyć w zakreślonych przez traktat Berliński granicach.

W przejściowéj téj epoce ludność nowoutworzonego kraju zwiększyła się znacznie ogromną liczbą zbiegów z południa. Gdy wojska rosyjskie opuszczały wilajet Adryanopolski, tysiące Bułgarów ruszyły za niemi, przenosząc się do Rumelii, a po części aż do czarnomorskich prowincyi księstwa, gdzie pozostają dotąd, usadowiwszy się w pustych tureckich i czerkieskich wioskach i nie myślą o powrocie. Prócz tego wiele hałasu w owéj dobie zrobiło nie tylko na półwyspie, lecz i w całéj Europie, t. zw. powstanie *Pomaków* (poturczonych Bułgarów) w Rodopie. W górach tych zebrało się podczas wojny mnóstwo muzułmańskich zbiegów z Rumelii i Księstwa, oraz resztki rozproszonych wojsk tureckich. W chwilach zupełnego rozkładu potęgi osmańskiéj, mianowicie, gdy wojska rosyjskie stały przy ujściu Marycy i nad brzegami morza Marmara, odciąwszy w ten sposób Konstantynopol od reszty Turcyi europejskiéj, mieszkańcy Rodopy, główni — nawiasem mówiąc — winowajcy strasznych rzezi z r. 1876, wraz z szukającymi tu schronienia zbiegami, nie słuchali nikogo i miewali tu i owdzie nieznaczne potyczki z przedniemi strażami rosyjskiemi. Później dowództwo nad temi bandami rozbójników i baszybuzuków objął pewien awanturnik angielski imieniem St. Clair, który otoczył całą tę historyę należytym nimbem romantyczności. W gruncie rzeczy, w Rodopie do dziś nie wszystko jest w porządku, i powaga rządu tureckiego nie wiele tam znaczy.

Komisya międzynarodowa zasiadała w Płowdywie około dziewięciu miesięcy. Pracę swą, tak zwany *statut organiczny* (po bułgarsku „organiczeskij ustav“) skończyła dnia 26-go kwietnia 1879 r. Jest to obszerny, metodycznie wypracowany kodeks o 495-ciu paragrafach z 13 wielkiemi dodatkami, obejmującemi szczegółowe ustawy dla rozlicznych gałęzi administracyi. Podług ostatniego paragrafu, statut ten zmieniony być może jedynie za zgodą wszystkich

mocarstw, które podpisały traktat Berliński i wysokiéj Porty. Za głównych jego autorów uważani są delegat francuski de Ring (późniejszy konsul generalny w Egipcie) i reprezentant Austryi, Kallay. Źródeł do pracy téj dostarczyła cała biblioteka kodeksów europejskich. Była to więc robota kompilacyjna i do tego zupełnie apriorystyczna, wyprowadzająca reguły i zasady nie z warunków miejscowych, lecz z abstrakcyjnych teoryi i z góry powziętych poglądów. Najfałszywsza to metoda, przy któréj dopiero po długich latach naród zżyć się może ze swemi urządzeniami i instytucyami. Zresztą, z wyjątkiem Anglii, gdzie wszystko rozwijało się historycznie i było bezpośrednim wynikiem potrzeb narodu — wszystkie dzisiejsze prawodawstwa europejskie w tenże sam powstały sposób. Z teoretycznego punktu widzenia, statut dla Rumelii, wyjąwszy zbytnią rozwlekłość w niektórych szczegółach, oraz pewne ślady zbyt pośpiesznéj kompilacyi, jest pracą nader udatną, zwłaszcza co się tycze ustroju administracyi politycznéj. Godną uwagi właściwością jego są pomysłowe klauzule, mające na celu zabezpieczenie wszystkich możliwych mniejszości, t. j. dążące do ustanowienia zupełnéj równości tak pod względem narodowościowym, jak i wyznaniowym. Gdy statut był jeszcze w robocie i ukazywał się częściowo na widok publiczny, Rumelioci patrzyli nań niezbyt przyjaźnie, chociaż członkowie komisyi twierdzili często, że zostawią prowincyi autonomicznéj coś, czego nawet Bułgarzy w wolném księstwie zazdrościć jéj będą.

Dla zupełnego uspokojenia kraju i usunięcia wszelkich nieporozumień, rząd rosyjski, chcąc przeprowadzić jak najściśléj podpisane w traktacie punkty, wyprawił do Rumelii jeszcze na wiosnę roku 1879 generała Obruczewa ze specyalną misyą. Ten zgromadzał wszędzie Bułgarów, czasem publicznie w kościołach, wyjaśniał im sytuacyę i zachęcał, aby zaniechali dalszego oporu; od niego obywatele kraju poraz pierwszy z całą pewnością usłyszeli, że garnizony tureckie nie przyjdą. Tymczasem wojska rosyjskie zwolna opuszczały ziemię przez Burgas.

Generał-gubernatorem (po bułgarsku „glavnijat upravitel") Rumelii Wschodniéj mianowany został przez sułtana, za zgodą mocarstw, książe *Aleksander Vogoridi* (Bogorides), zwany po turecku w języku urzędowym *Aleko-pasza.* Wybór nie mógł być trafniejszy: wysoki dostojnik państwa ottomańskiego, cieszący się odziedziczoném od przodków poważaniem u Bułgarów, rodem z tegoż kraju, niejako Bułgar, Grek i Turek w jednéj osobie, jedném słowem unikat, który nie miał sobie równego. Ojciec jego Stefanaki Vogoridi, rodem z bałkańskiego miasteczka Kotla (po turecku Kazan), na pół-

noc od Sliwna, był wnukiem sławnego Stojka Władysławowa, który pod imieniem Sofroniusza zajmował stolicę biskupią we Wracy i pod koniec przeszłego stulecia piórem i słowem budził z odrętwienia naród bułgarski. Stefanaki odbywał studya w szkołach greckich w Bukareszcie, poczém obrawszy sobie karyerę dyplomatyczną wstąpił do służby tureckiéj i od prostego dragomana (tłumacza) doszedł aż do godności „księcia“ lennéj wyspy Samos na morzu Egejskim. Za czasów sułtana Mahmuda II-go cieszył się wielką jego przyjaźnią. Zmarł w r. 1859. Wspierał wszelkiemi siłami bułgarski ruch religijny; darował w Konstantynopolu miejsce na pierwszy w tém mieście kościół bułgarski. Po bułgarsku sam nie umiał; z deputacyami bułgarskiemi w epoce sporów kościelnych rozmawiał zawsze po grecku, lub po turecku. Był w związkach pokrewieństwa z wieloma znakomitemi rodzinami greckiemi w Konstantynopolu (Musurus, Fotiadi i in.). Z synów jego starszy Nikolaki osiadł w Multanach, gdzie potomkowie jego znani są jako rodzina Konaki-Vogoridi. Młodszy—mianowany pierwszym namiestnikiem Rumelii — Aleko, studya odbywał w Berlinie; następnie służył w poselstwach tureckich w Londynie i innych stolicach; przed samą wojną był posłem wysokiéj Porty w Wiedniu. Po bułgarsku, równie jak ojciec, nie umiał; z Rumeliotami rozmawiał po francusku, grecku lub turecku. Jako generał-gubernatorowi wyznaczono mu pensyę 300,000 „złotych groszy“ (około 60,000 franków), a nadto 100,000 groszy na reprezentacyę. Ubogie to dość utrzymanie — a inne warunki nie były zbyt pociągające. Bez zezwolenia Porty nie może namiestnik nigdzie wyjeżdżać, prócz do Konstantynopola i wogóle nie wolno mu wydalać się z kraju na dłużéj, niż na trzy miesiące. Mieszkaniem jego jest stary konak paszów Płowdywskich, nędzny budynek, po którym zzewnątrz trudno poznać, że przebywa w nim tak ważna osoba.

Ciekawe były okoliczności, wśród których pierwszy generał-gubernator wstąpił w granice podwładnego sobie kraju. Turcy nalegali nań, aby wjechał w fezie, Bułgarzy znowu o tym symbolu paszostwa tureckiego ani słyszéć nie chcieli. Nastąpił kompromis, skutkiem którego Vogoridi na granicy Rumelii pod Hermanli zmienił fez na bułgarski czarny kołpak. Wobec tego na wszystkich stacyach przyjmowano go wielkiemi okrzykami radości. Dnia 30 maja 1879 r. powitany został w Płowdywie przez generała Stołypina, urzędników rosyjskich, całe obywatelstwo i milicyę rumelijską, natychmiast udał się do kościoła bułgarskiego, gdzie na przemowę egzarchy odpowiedział po grecku. Następnie z wielką uroczystością odczytano publicznie po turecku i po bułgarsku mianujący go namiestnikiem ferman sułtański, poczém muzyka zagrała hymn narodowy:

„Szumij Maryca okrwawena!“ (1). Sztandar turecki, którego zatknięcie mogło spowodować nowe rozjątrzenie, z decyzyi komisyi międzynarodowéj nie został rozwinięty i do dziś nie rozwijano go nad Płowdywem. Nazajutrz generał Stołypin opuścił Płowdyw po równie okazałém pożegnaniu.

Teraz rozpoczęto w autonomicznéj prowincyi (po bułg. *„oblasti“*) wprowadzać nową organizacyę na podstawie statutu. Zasady urządzeń prawno-państwowych, określających stosunek kraju do wysokiéj Porty, były następujące: Sułtan zatwierdza dyrektorów (ministrów) i prefektów, jeżeli wszakże nie da zatwierdzenia, lub też nie położy *veto* w przeciągu miesiąca, uważać należy milczenie za zgodę. Nadto sułtan mianuje wszystkich wyższych oficerów aż do kapitana. W jego imieniu sąd wydaje wyroki, jemu też pozostawiono prawo amnestyi. Prawa, przyjęte przez sejm prowincyi, oraz budżet roczny téj ostatniéj potrzebują również sułtańskiego potwierdzenia; w razie dwumiesięcznego milczenia, prawo uważa się za zatwierdzone. Prawa tureckie mają moc obowiązującą, miejscowe wszakże zgromadzenie ustawodawcze może stosownie do potrzeb kraju uzupełniać je różnemi poprawkami, zmianami i dopełnieniami. Lasy, doliny i nieruchomości należące do rządu tureckiego stają się własnością prowincyi. Z dochodów prowincyi trzy dziesięciny przypadają Porcie, która prócz tego ma pewien udział w dochodach celnych, pocztowych i telegraficznych. W kraju są trzy języki urzędowe, t. j. bułgarski, turecki i grecki; jeżeli w którym okręgu mniejszość liczebnie równa się połowie większości, wszystkie ogłoszenia urzędowe winny być publikowane i w języku téj mniejszości. Prawa i wszystkie rozporządzenia, obowiązujące w całéj prowincyi, ogłaszają się we wszystkich trzech językach, a przed sądem członek każdego z trzech narodów ma prawo używać własnego swego języka.

Sprawami Rumelii Wschodniéj zajmuje się sześciu dyrektorów: spraw wewnętrznych, wojny, finansów, sprawiedliwości, oświaty i robót publicznych. W obrębie władzy ostatniego zawarte są także handel, rolnictwo, poczty i telegrafy. Dyrektorem spraw wewnętrznych, zawiadującym kwestyami wyznaniowemi, oraz decydującym, co się tycze stosunków z obcymi konsulami, jest zazwyczaj generalny sekretarz prowincyi, *alter ego* namiestnika, koncentrujący w sobie w czasie nieobecności tego ostatniego wszystkie nici zarządu. Dostojeństwo to złożono w ręce starego patryoty i autora bułgarskiego

(1) Brzegi rzeki Marycy, w Bułgaryi zabałkańskiéj, były w ubiegłéj przeszłości widownią wielu bohaterskich czynów, lecz też i wielu klęsk narodu. Ztąd to poszanowanie dla téj rzeki ojczystéj, które się wyraża w pieśniach ludowych.

Gawryła Krstjowicza. Zasłużony mąż ten, rodem z Kotla, studyował w Paryżu prawo na koszt Stefanaki Vogoridi'ego, późniéj zaś jako biegły prawnik przez długie lata był członkiem najwyższego sądu w Konstantynopolu. Była to jedna z tych nielicznych osobistości, które pozyskały śród Bułgarów jakąś tradycyjnie nieograniczoną powagę. Dyrektorem wojny został naprzód pułkownik francuski *Vitalis*, urodzony w Konstantynopolu, jeden z tych pół-włoskich, pół-francuskich potomków kupiectwa zachodnio-europejskiego, którzy zamieszkują stambulską Perę i Galatę, pewne cyrkuły w Smyrnie i innych portach tureckich, i którzy — na podobieństwo kreolów amerykańskich — wcale nie przynoszą zaszczytu swym przodkom europejskim. Nazywają ich zazwyczaj „Perotami“, „Lewantyńcami“, lub ironicznie „Francuzami z nad wód słodkich“ (Tatly-su), to ostatnie z powodu małéj rzeczki, która koło Pery wpada do Złotego Rogu. Ów Vitalis, osobistość — podług opowiadań naocznych świadków — poniekąd humorystyczna, ustąpił wkrótce miejsca oficerowi pruskiemu Wilhelmowi *Streckerowi*, który pod imieniem Raszyda-paszy służył jako generał w artyleryi tureckiéj. Finansami zarządzał z początku wspomniany wyżéj *Schmidt*, lecz w skutek częstych kolizyi zmuszony był usunąć się; miejsce jego zajął lekarz bułgarski dr. *Stranski*. Dyrekcyę sprawiedliwości objął cieszący się wielkiém uznaniem, stary patryota Teodor *Iskrow-Kesjakow*. Jest on—zarówno jak większa część sędziów w Rumelii—raczéj doświadczonym praktykiem, niż uczonym prawnikiem. Dyrekcyę oświaty złożono w ręce cenionego powszechnie nauczyciela i autora Joakima *Grujewa*, wychowanego w kraju. Dyrektorem robót publicznych był przez pierwsze dwa lata dr. Jerzy *Wlkowicz*, wychowaniec szkół paryskich, a potém lekarz pułkowy w wojsku tureckiém. Trzej ostatni pochodzili wszyscy ze Srednogórskiego miasteczka Kopriwszticy. Całe kolegium złożone było z ludzi starszych, poważnych, a bułgarscy jego członkowie byli to obywatele zdawna w kraju osiedli i ogólném cieszący się zaufaniem. Każda dyrekcya została pomieszczona bardzo dogodnie w osobnym, wynajętym domu, mając tuż pod bokiem swoje biura i kancelarye.

Żywioł reprezentacyjny w prowincyi znajduje wyraz w rodzaju sejmu czyli zgromadzenia narodowego (*oblastno sъbranie*, którego posiedzenia odbywają się corocznie przez dwa miesiące. Sejm ten składa się z 36 członków wybieralnych, których połowa co dwa lata odnawia się (środek to bardzo rozumny dla utrzymania pewnéj tradycyi w zgromadzeniu), z 10 członków mianowanych przez namiestnika zpośród kupiectwa i inteligencyi, których skład w takiż sposób peryodycznie się zmienia, i z 10 członków z głosem wirylnym, do

których należą naczelnicy pięciu kościołów chrześciańskich (Bułgarów, Greków, Ormian, katolików i protestantów), mufty turecki, rabin żydowski, prezesi sądów najwyższego i administracyjnego i główny kontroler finansów. Na pierwszych wyborach wybrano 32 Bułgarów, 2 Greków i 2 Turków, a wśród wszystkich 56 posłów było w sejmie 40 Bułgarów, 6 Turków, 5 Greków, 2 Ormian, 2 Żydów i 1 Francuz (biskup katolicki). Kompetencyi sejmu podlegają tylko sprawy administracyi wewnętrznéj; wszystkie kwestye polityczne z zakresu jego działalności są wyłączone. Za salę sejmową służy dawna łaźnia turecka, ze smakiem i elegancko urządzona. Prócz zwykłych katedr i mównic, przed siedzeniem każdego posła umieszczony jest pulpit do czytania i pisania, czego w sofijskiéj sali sejmowéj niema. Przyczyną takiego urządzenia jest to, że posłowie rumelijscy zaglądają często podczas rozpraw do różnych dzieł prawnych i ekonomicznych w obcych językach. Świadczy to o wyższéj przeciętnie inteligencyi deputatów. I rzeczywiście, podczas gdy w księstwie bułgarskiém przewagę w sejmie ma żywioł wiejski o niskiém stosunkowo ukształceniu, w zgromadzeniu narodowém rumelijskiém niema ani jednego wieśniaka, lecz sami urzędnicy, nauczyciele, duchowni, lekarze i kupcy, wskutek czego posiedzenia sejmowe nabierają same przez się zupełnie innego charakteru.

Z liczby członków sejmu wybiera się dziesięciu do tak zwanego „komitetu stałego“ (postojannyj komitet). Instytucya ta kontroluje administracyę, rozpatruje różne ustawy, dopełniające lub objaśniające niektóre części prawodawstwa, wreszcie stanowi radę przyboczną namiestnika. Członkowie jéj mają posiedzenia codzień, biorą stałą pensyę i wybierani bywają na rok jeden.

Urządzona w ten sposób administracya kraju rozwijała się aż do ostatnich dni nader pomyślnie. Przyczyny tego były rozmaite, klucz wszakże do całéj sytuacyi polega na tém, że wszystkie publiczne stosunki zarządu zostały nader szczegółowo określone i ograniczone statutem, wypracowanym przez komisyę europejską i niepodlegającym zmianom nawet cząstkowym. Na téj pewnéj podstawie prawidłowy rozwój kraju i dobra jego organizacya niezmiernie były ułatwione. Drugiéj przyczyny szukać należy w tém, że urzędnicy zabezpieczeni zostali od ciągłych zmian, dymisyi, tranzlokacyi, wywołujących demoralizującą niepewność, a stosowanych tak często w innych państwach bałkańskich; w Rumelii nikt nie może być pozbawiony urzędu bez wyroku sądowego, a nadto każdy po latach dziesięciu zapewnioną ma emeryturę. Przytém pensye są wcale znaczne. Ważną jest także niewątpliwie i kontrola, z wielu stron rozciągająca się nad władzą rumelijską: tu wysoka Porta ze swém

ciągłém niedowierzaniem, tam konsulowie mocarstw, czyhający bacznie na wszelkie wykroczenia przeciw statutowi, owdzie sejm, gdzieindziéj pretensye trzech narodowości, wreszcie surowa krytyka prasy, wszystko ujmuje rząd jak w obręcz żelazną i zmusza go do sumiennego, ścisłego i bezstronnego korzystania z udzielonéj mu władzy. Nakoniec i ziemia sama, stanowiąca pod względem fizycznym najbogatszą część całego półwyspu bałkańskiego, ma wiele przyrodzonych danych do pomyślnego rozwoju. Zasłonięta od północy, otwarta ku południowi, całą swoją przyrodą należy już do strefy morza Śródziemnego. Nadto, obdarzona jest dobremi komunikacyami, ma nawet koleje (linia konstantynopolska i odnoga od wsi Małego Tyrnowa aż do Jamboli), dzięki równéj stosunkowo powierzchni, bez nieprzebytych gór, odgraniczających jeden okręg od drugiego. Umiarkowany klimat, łatwość stosunków ze światem i bogactwo przyrody wpływały téż na zdolności i charakter mieszkańców, którzy już za czasów tureckich na wyższym bez porównania stali szczeblu rozwoju, niż zagórscy ich sąsiedzi. Rumelioci—to lud, pełny zdrowego rozsądku, który myśli, rozumuje i nie daje się porwać byle jakim mrzonkom i fantasmagoryom.

Podział administracyjny urządzony jest całkiem na sposób francuzki, aż do najmniejszych szczegółów. Kraj podzielony jest na sześć departamentów (Płowdyw, Tatar-Bazardżyk, Stara Zagóra, Haskjöj, Śliwno, Burgas) i na dwadzieścia ośm okręgów czyli kantonów. W każdym departamencie zbiera się dwa razy na rok rada generalna (conseil général). Zarząd gminny w miastach i po wsiach również nader szczegółowo jest określony.

W sądownictwie pierwszą instancyę stanowią starostowie, których kompetencya, ogranicza się na godzeniu stron. W każdym okręgu jest mianowany przez władzę wyższą sędzia okręgowy, który wraz z dwoma wybieralnymi asesorami sądzi sprawy, nie podlegające wyższéj karze nad 300 groszy złotych; daléj, w każdym departamencie znajduje się sąd, składający się z dwóch wydziałów: do spraw cywilnych i kryminalnych, wreszcie w Płowdywie zasiada najwyższy sąd apelacyjny. Przy sądach departamentalnych istnieje instytucya prokuratorska. Sądy wydają wyroki na zasadzie praw tureckich, stworzonych na wzór kodeksu francuskiego.

Co się tycze finansów nie okazała dotąd Rumelia wielkich postępów. Podatki pobierają się jeszcze po większéj części podług staréj modły tureckiéj. Jako główna moneta krajowa, znajduje się w obiegu złota lira turecka (22 franki 70 centymów), podzielona na sto groszy czyli piastrów. Jako mniejsze monety używane bywają ruble rosyjskie i tureckie medżidżie, oraz ich połówki i ćwiartki; co

do monety miedzianéj, to najwięcéj jest w obiegu nowych pieniędzy księstwa bułgarskiego. W skutek liczenia na grosze (5 groszy=1 frankowi) wszystkie sumy wydają się strasznie wielkiemi. Przypomina to hiszpański rachunek na reale, lub portugalski na reisy. Z dochodów celnych lądowych (od granicy Bułgaryi) i morskich Rumelia płaci rocznie wysokiéj Porcie określoną w statucie sumę 5 000 lir złotych; od strony Turcyi niema komór celnych. Budżet na rok 1883 był następujący: dochody kraju 78.795.600 groszy, wydatki 81.525263, a mianowicie: władza centralna i stosunki wewnętrzne 6.951.988, wojsko i żandarmerya 20.271.125, finanse (z podatkami płaconemi Porcie) 33.701.000, sprawiedliwość 6.216.000, oświata 5.960.000, roboty publiczne, handel, poczty i telegrafry 7.624.840, rezerwa budżetowa 800.000. Deficyt 2.729.653 miał być pokryty z przewyżki budżetu zeszłorocznego.

Co się tycze robót publicznych zwracano głównie uwagę na to, aby bez wielkich kosztów poprawić dotychczasowe drogi i na wzór Europy zachodniéj stale w dobrym stanie je utrzymywać. Zamiar ten osiągnięty został w zupełności. Komunikacye w Rumelii rywalizować mogą śmiało z wewnętrznemi drogami na zachodzie. Budowli wzniesiono i postanowiono wznieść, podobnież jak w księstwie, bardzo wiele, ponieważ Turcy nic porządnego po sobie nie pozostawili i w ogóle budowali mało, jakby wątpili sami o swéj przyszłości. Poczty i telegrafy urządzono zupełnie podług wymagań spółczesnych. Zapomniano już dzisiaj o tym bajecznym, nie do uwierzenia nieporządku, jaki panował za czasów tureckich. Dziś każdy okręg. choćby stolicą jego było nie miasto, lecz wieś większych rozmiarów, ma swoją stacyę telegraficzną. Marki pocztowe, dane przez Portę i niezbyt mile w kraju powitane, są nader niegustownego wzoru i mają emblemata tureckie z napisami w trzech językach krajowych, a nad to i we francuzkim.

Co się tycze stanu oświaty w Rumelii wschodniéj, to najpewniejsze wiadomości zaczerpnąć można z urzędowego sprawozdania, ogłoszonego przez dyrektora oświaty, które w r. 1882 ukazało się w druku. Czteroklasowych szkół elementarnych było w 1881/2 r. szkolnym 1412, a mianowicie: 846 bułgarskich, 471 tureckich, 58 greckich, 11 katolickich, 9 protestanckich, 4 ormiańskie i 13 żydowskich. Liczba uczniów dochodziła do 80.591; chłopców było 56.802, dziewcząt 23.789; z tych—Bułgarów 48.094 (chłopców 37.401. dziewcząt 10.693). W stosunku, do roku poprzedzającego liczba uczniów więcéj niż podwoiła się. Ogółem uczęszcza do szkół tych 1/3 część dzieci, które winny to czynić; u ludu bułgarskiego stosunek wynosi 62%, co mówi bardzo korzystnie o jego rozwoju intelektualnym. Wy-

żéj jeszcze stoją Grecy rumelijscy, u których uczęszcza do szkół 68% dzieci odpowiedniego wieku. U Turków i Żydów prawie wszystkie dzieci chodzą do szkoły, ponieważ ta ostatnia jest raczéj środkiem do mechanicznego uczenia na pamięć modlitw i religii. Często znaleść w nich można dzieci, które jeszcze mówić nie umieją; pedagogika w nich jakaś przedpotopowa. W ostatnich czasach, pod wpływem *Alliance Israélite* żydzi rumelijscy poczęli zwracać się ku drodze społecznego postępu.

Budynków szkolnych jest 562 starych, 437 tymczasowych, a 413 zbudowanych po wojnie; 184 buduje się właśnie. Rozchód na szkoły elementarne w całéj Rumelii wynosi 3.924.869 groszy. Z tego na gminy bułgarskie przypada 3.090.819, na greckie 354 000, na tureckie (wcale nie odpowiednio do liczby muzułmanów w prowincyi) tylko 330.000. Rząd dał gminom w pomienionym roku szkolnym subsydyum 1.460.000 groszy, podzieliwszy je na wszystkie istniejące w prowincyi wyznania. Nauczycieli bułgarskich było 1084 (w téj liczbie 42 nauczycielki), greckich 85 (między nimi 27 nauczycielek), katolickich 26 (z nich 16 nauczycielek), protestanckich 3 (większość szkół jeszcze nie otwarta), ormiańskich 5, żydowskich 25. W szkołach tureckich uczą imamowie i muezzyni, którzy zarazem odprawiają modły w dżamiach, wołają z minaretów i zajmują się innemi obrzędami religijnemi. Liczba ich dochodzi do 700. Nauczyciele bułgarscy przygotowują się po większéj części do swego powołania na tymczasowych kursach pedagogicznych podczas wakacyi. Nadzór spoczywa w rękach inspektorów, po jednemu na każdy okrąg. Razem jest ich 50-ciu, a mianowicie 27 bułgarskich, 16 tureckich, 3 greckich i po jednemu dla szkół katolickich, protestanckich, ormiańskich i żydowskich. Urzędy te powierzane bywają zwykle bardziéj znanym w kraju osobistościom, jak lekarzom, urzędnikom z innych gałęzi administracyi, duchownym itp., którzy płatni za to osobno—zawiadują i opiekują się położonemi w ich okręgach szkołami. O potrzebach szkół decydują zjazdy nauczycieli w każdym departamencie osobno, i z całéj prowincyi.

Trzy-lub cztero-klasowych szkół miejskich było podług powyższego sprawozdania—bułgarskich 17 (9 męzkich, 8 żeńskich) i 4 greckie (2 męzkie, 2 żeńskie). Liczba uczęszczających do nich uczniów i uczennic nie przechodziła 2.000.

Wszystkie wymienione dotąd szkoły utrzymywane są przez gminy, ma się rozumiéć przez gminy wyznaniowe. Zarząd prowincyi utrzymuje dwa sześcioklasowe gimnazya realne bułgarskie (bez języków klasycznych) w Płowdywie i w Śliwnie. We wskazanym wyżéj roku szkolnym uczęszczało do nich 1076 uczniów. Pięcioklasowych

szkół żeńskich jest dwie, w Płowdywie i w Staréj Zagórze; obie miały razem uczennic 234. Dla tych zakładów naukowych rządowych wybudowano z wielkim nakładem nowe dogodne pomieszczenia. Między nauczycielami tych szkół sprawozdanie wymienia wielu bardzo Czechów. Na wyższe studya wyprawiono zagranicę na koszt rządu 40 stypendystów, w téj liczbie 15 pedagogów.

Jak widzimy, co do oświaty Rumelia stoi dość wysoko. I nic dziwnego, szkoły bowiem nie są tu czémś nowém, lecz tylko dalszym ciągiem dawniejszego rozwoju. Po opanowaniu Bułgaryi przez Turków, naród oderwany od wszelkiego wpływu cywilizacyi zachodniéj, a do tego ciemiężony, poniżony i zdeptany, w nieustannéj ciężkiéj walce o byt materyalny, nie był już zdolnym do jakiejbądź pracy naukowéj. Wskutek tego, aż po pierwszy dziesiątek bieżącego stulecia oświata stała w Bułgaryi na bardzo niskim stopniu. Pomiędzy ludem wiejskim mało kto umiał czytać lub pisać, a gospodarze, nawet zamożni, obliczali zapłacone Turkom podatki za pomocą karbów na drewienkach, dając jeden taki rachunek karbowany poborcy podatkowemu, a drugi zachowując u siebie. Po większych miastach, a nawet po wsiach były gdzie-niegdzie szkoły greckie, w których jednak po bułgarsku nie uczono nic, albo bardzo mało. Grecy byli zawsze największymi nieprzyjaciółmi narodowości i mowy bułgarskiéj, a swój język krajowi koniecznie narzucić chcieli. W r. 1833 założoną została w Gabrowie (w dzisiejszém księstwie) pierwsza szkoła narodowa za staraniem kupców bułgarskich, mieszkających w Odesie. Odtąd szkolnictwo bułgarskie wzmagało się nader szybko i pomimo obojętności, a nawet niechęci rządu tureckiego, który ściągając nielitościwie podatki nieraz nad możność biednego ludu, najmniejszéj cząstki z nich nie dawał nigdy na szkoły, pomimo tego— powtarzamy — w dziesięć lat po założeniu pierwszéj uczelni w Gabrowie, stanęło już 53 szkół bułgarskich, i zwolna greczyzna poczęła tracić swoją przewagę. W 1872 r., a więc jeszcze w epoce ucisku tureckiego, Bułgarzy eparchii Płowdywskiéj mieli 305 szkół elementarnych i 16 miejskich z 356 nauczycielami i przeszło dwunastu tysiącami uczniów, a nadto 24 szkoły żeńskie z 37 nauczycielkami i 2265-ma uczennicami. Podstawa to pokaźna, było na czém się oprzeć po wprowadzeniu autonomii.

Co się tycze zarządu kościelnego, mieli Bułgarzy rumelijscy dwie eparchie, w Płowdywie i w Sliwnie. Nadto w Płowdywie mieszkał metropolita grecki i biskup katolicki.

Najsłabszą częścią urządzeń rumelijskich było jéj wojsko narodowe. Na papierze, w statucie, organizacya jego wypracowana przez jednego z francuskich oficerów sztabu, wydawała się wcale niezłą,

w praktyce wszakże okazała się niezbyt szczęśliwą. Już na pierwszy rzut oka widać wielką różnicę między rumelijską siłą wojenną, a znakomicie wyćwiczoném i jakby z jednéj sztuki ulaném wojskiem liniowém w księstwie bułgarskiém, lub armiami serbską i rumuńską. Wojsko rumelijskie nie było armią we właściwém tego słowa znaczeniu, lecz raczéj milicyą, czemś w rodzaju mobilizowanego pospolitego ruszenia. Składało się ono z dwunastu chorągwi (drużyn) piechoty; z tych trzy miały po trzy setnie (roty), pozostałe zaś zadawalniały się każda jedną kompanią (prisutstwujuszta rota, Präsenzcompagnie) ze 130-tu ludzi. Prócz tego w Płowdywie stał „batalion instrukcyjny,“ złożony z dwóch setni piechoty, szwadronu jazdy ze 120 koni, pół bateryi artyleryi z 4-ma działami i jednéj setni saperów. Podług statutu, więcéj artyleryi trzymać Rumelii nie było wolno, a i te cztery działa, jak mówią—były nieszkodliwe, bo nigdy nie było do nich amunicyi. W pewnym względzie dogadzało to Bułgarom, co rok bowiem na polecenie z Konstantynopola, aby w dniu urodzin sułtańskich dawano w Płowdywie salwy działowe, rząd rumelijski mógł ze spokojném sumieniem odpowiadać, że jeszcze nie otrzymał nabojów. Wojska rumelijskie obchodziły się też bez sztandarów, narodowych bowiem chorągwi, których domagali się Bułgarzy, dać im nie chciano, oni zaś nie godzili się na godła tureckie. Uniform w zasadzie pozostał ten sam, który wojsko bułgarskie nosiło za czasów okupacyi rosyjskiéj. Podług sprawozdań urzędowych miał służyć w téj milicyi roczny kontyngens z 4,118 ludzi (3.492 Bułgarów, 386 Turków, 183 Greków, 15 Ormian, 26 Żydów i 16 Cyganów), w rzeczywistości wszakże pod bronią było corocznie zaledwie 2.800 ludzi, reszta zaś była tylko powoływana po kolei na ćwiczenia dwumiesięczne. Służba wojskowa obowiązuje wszystkich mieszkańców kraju i licząc w to pobyt w rezerwie, trwała lat dwanaście. Zarząd prowincyi mógł mobilizować pierwszą kategoryę z 11.323 ludzi, następnie drugą kategoryę (drugi batalion do każdego z poprzednich) z 18.248 ludzi, wreszcie rezerwę z 17.315 ludzi, ogółem 46.886 żołnierzy.

Najsłabszą stroną téj armii był skład oficerski, z najróżnorodniejszych utworzony żywiołów, co zresztą było skutkiem koniecznym nienaturalnego położenia międzynarodowego całéj téj prowincyi autonomicznéj. Jeszcze za okupacyi, milicyę ćwiczyć poczęli oficerowie rosyjscy; następnie przyłączyli się do nich oficerowie Bułgarzy, którzy pierwéj służyli w armii rosyjskiéj, wreszcie przybyła spora ilość nowicyuszów z Sofijskiéj akademii wojskowéj. Do tego wszystkiego Vitalis nasprowadzał różnych Francuzów i pół-Francuzów, a Strecker—Niemców. Wszystkie te narodowości, nienawidziły się wzajemnie, w skutek czego całości brakowało należytego *Esprit*

du corps. Prócz tego niektórzy z cudzoziemców nie umieli ani słowa po bułgarsku i jak mówią—porozumiewali się z żołnierzami na migi.

Obok milicyi rząd rumelijski utrzymywał 1.425 ludzi w charakterze żandarmeryi konnéj i pieszéj. Oficerowie téj ostatniéj byli również rozmaitych narodowości. Na czele stał Anglik, generał Borthwick, znany dawniéj w służbie tureckiéj pod imieniem Mahir-beja. Organizacya téj żandarmeryi, określona w statucie, była żywą kopią wzoru francuzkiego; lecz tu właśnie przykład dowiódł jasno, że instytucye jednego państwa nie zawsze można stosować do drugiego, bo jak żadna roślina nie przyjmie się w nieodpowiednim dla niéj gruncie, tak też i najidealniejsze w teoryi urządzenia społeczne żadnych praktycznych nie dadzą rezultatów, jeżeli dostaną się w zupełnie obcą sobie sferę, pozbawioną warunków koniecznych dla ich życia i rozwoju. Żandarmerya rumelijska—ta wierna kopia doskonałego ze wszech miar oryginału francuzkiego—zrobiła kompletne fiasko: zwłaszcza podczas słynnych zajść z bandami rozbójniczemi w górach Rodopy (1881 r.) niedołęztwo jéj zwróciło uwagę całéj prasy europejskiéj. Rezultat taki był nader łatwy do przewidzenia. Służba bezpieczeństwa publicznego we Francyi, Włoszech, Niemczech, Austryi, lub gdzieindziéj na Zachodzie, przejęta jest duchem tradycyi i ma długoletnią wprawę. W Rumelii, chociaż zorganizowano ją z najlepszych żywiołów, oficerowie jednak z małemi wyjątkami nie mieli nigdy sposobności poznać bezpośrednio, na własne oczy tego wzoru europejskiego, który według orzeczenia statutu u siebie mieli wprowadzać w życie, a cóż dopiero mówić o przejęciu się duchem jego. Przy takich warunkach najpiękniejsze projekta pozostaną zawsze tylko na papierze i nigdy w czyn nie wejdą.

(*dok. nast.*)

SPRAWA LUBOMIRSKIEGO

w roku 1664.

V.

Przed sejmikami.

Minął czas namysłu, wahania się i wątpliwości: powiedziano sobie, że tak dalej być nie może i postanowiono działać. Nie można było wroga przejednać, nie można było ubezwładnić środkiem żadnym pokojowym, została trzecia droga i jedyna: uprzątnąć go z drogi przemocą. Przemocą, mówimy, bo choć obrano sposób legalny, choć pod sztandarem prawa i w obronie niby bezpieczeństwa publicznego przystąpiono do dzieła, nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że celem stronnictwa dworskiego było nie zadośćuczynienie sprawiedliwości i prawdzie, lecz jedynie upadek i zguba marszałka. To sobie założono z góry i to z góry zamierzono przeprowadzić bez względu na słuszność i prawność tego kroku, bez względu na sumienie.... Bo i w chwili, kiedy myśl owa powstała w kołach królowéj, nikt nie przypuszczał, ani wierzył, aby dzieło, ułożone naprzód, dało się przeprowadzić legalnie: każdy z powątpiewaniem pytał, czy na upatrzonéj ofierze uda się znaleść tyle plam i skaz, tak obciążających, aby wystarczyły do zupełnego jéj potępienia. Dla tego nie pytano wówczas, kiedy koło francuskie radziło nad zgubą marszałka, czy można dość polegać na sumienności i dobréj wierze senatorów, a przyszłych sędziów Lubomirskiego, lecz liczono, czy w tym sądzie zasiędzie większość stronników królowéj i czy się ich zastęp da powiększyć; jakby wystarczało zupełnie być czyimś antypodą co do przekonań i dążności, aby módz przeciwnika obedrzeć ze czci, mienia i życia!... A jednak tak było rzeczywiście. Cała działalność królowéj i jéj kamaryli w czasie, począwszy od rady senatu (sierpniowéj) do otwarcia sejmu walnego, obraca się około tego, aby pozyskać wszystkich, którzy będą

mieli z urzędu, czy z innego obowiązku udział bezpośredni lub pośredni w ukartowaném z góry przedsięwzięciu.

Sprawy takiéj wagi, jak sprawa marszałka, mogły być sądzone tylko na królewskim sądzie sejmowym: od przebiegu sejmu, od jego prawomocności zależała prawomocność wyroku. Jeśli się zatém powieść miało dzieło zamierzone, to chodziło o to przedewszystkiém, aby w izbie poselskiéj znaleźli się ludzie przychylni królowéj, a przeciwni marszałkowi.

I oto zadanie, a praca nad jego rozwiązaniem staje teraz na pierwszym punkcie porządku dziennego. Posłów obierają sejmiki partykularne wojewódzkie; trzeba więc rozwinąć czujną nad niemi opiekę i wszystkie siły zwrócić ku temu, aby ogólny rezultat wyborów wypadł dla dworu korzystnie.

Zbyt jasno pojmowała Marya Ludwika położenie, aby się mogła łudzić jakiemiś nadziejami co do usposobienia ogółu względem tronu. Opinia publiczna stała przeciw dworowi i gardłowała za marszałkiem. Nie było więc ani mowy o tém, aby cel królowéj dał się osiągnąć sposobem prawnym i dozwolonemi środkami: pieniądz i intryga musiały znowu, jak zwykle, odegrać rolę pierwszorzędną. Gdzie zaś szło o pieniądz, tam skarb wersalski zawsze stał w odwodzie. To téż królowa do nowéj przystępując pracy, odzywa się naprzód do hojności Ludwika XIV i dopomina nowych zasiłków. „Niepodobna przeprzéć wyboru posłów, dworowi przychylnych bez wielkiego wydatku — pisze de Lumbres do swego króla (1) — dlatego królowa dała mi do zrozumienia, że suma 10—12 tysięcy talarów bardzo by się przydać mogla.“

Takie było wśród stronnictwa francuskiego głębokie i silne przekonanie o ważności zamierzonéj sprawy, że wobec niéj ustępują wszystkie inne prawie zupełnie. Nikt nie mówi na dworze o sprawie obioru następcy tronu, nikomu przez myśl nawet nie przechodzi, ów plan odnawiać, który tak długo zaprzątał umysł królowéj z początkiem bieżącego roku, aby sejm najbliższy zwyczajny przerobić na elekcyjny, choćby przemocą przez nacisk i teroryzm armii, nikt nie sięga pragnieniami swemi tak daleko, jak sięgał nieraz na wiosnę, kiedy to nawet o dwóch koronach dla d'Enghien'a marzyć, uważano za rzecz naturalną i uzasadnioną. Cała uwaga stronnictwa dworskiego, tak rozległe dotąd mierząca horyzonty, skupia się teraz na ściśle ograniczonéj widowni. Zguba marszałka, ten tylko cel jedyny wypełnia sobą wszystko i wszystko w sobie pochłania. Na dworze nastaje ruch niezwykły. Królowa przoduje wszystkim i we

(1) T. Luk. XII, k. 130. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 12 Sept. 1664.

wszystkiém. Ogarnia ją prawdziwa gorączka działania. Tyle już sił i zdrowia, tyle mienia, poszło, jakby na marne, że trzeba już raz z tém skończyć. Nadeszła chwila stanowcza: teraz albo nigdy! Ten sejm będzie rozstrzygać o powodzeniu całego przedsięwzięcia: zanim się on odbędzie, osądzić i orzec nie można, jaki osiągnie koniec sprawa obioru następcy (1). W każdym razie usunąć marszałka to przynajmniéj tyle (tak myślano w Wersalu (2), co o pół drogi zbliżyć się do celu!

Łatwo było przewidzieć, że sejmiki wypadną burzliwie: żywioły niespokojne miały obchodzić swoje święto. Oprócz sprawy marszałka mnóstwo innych spraw piekących. mnóstwo żądań i pretensyi czekało załatwienia i rozstrzygnięcia. Nazbierało się dużo grzechów przez kilka lat bezrządu; pieniądz podły i fałszywy rujnował szlachtę, wojsko nieopłacone domagało się żołdu. Trzeba było nałożyć nowe podatki: a gdzie o podatkach mowa, czy obeszło się kiedy bez hałasu i narzekań szlachty, bez inkryminacyi na podskarbich, na dwór, na króla? A cóż dopiero, jeśli i tak już rozjątrzone umysły do reszty roznamiętni obrażony magnat, czyniąc z prywaty sprawę narodową! Trzeba było zatém wytężyć wszystkie siły, aby zniweczyć intrygi tego człowieka, który nie lubiał ze środkami się liczyć,—i nie dopuścić żywiołom opornym dostępu do sejmu.

Marya Ludwika nie szczędzi dla tego celu ani starań, ani wydatków. Pracuje daléj nad wzmocnieniem swego stronnictwa: Bogusława Radziwiłła ciągle utrzymuje przy sobie obietnicą 20,000 franków pensyi, o którą równocześnie doprasza się u Ludwika XIV-go; podkanclerzego Naruszewicza ujmuje widokami na ośmiotysięczną pensyę, aby z nią razem w przymierzu czuwał nad zmiennym Sapiehą (3). Nie próżnują téż i jéj stronnicy. Rozrzuceni po prowincyach kopią oni, gdzie mogą, dołki pod marszałkiem i krzyżują jego zabiegi, odbijają przyjaciół i wspólników. Zebrzydowski dowiaduje się, że Lubomirski upatrzył sobie kandydatów na posłów województwa krakowskiego w trzech najgorliwszych swoich poplecznikach, tych samych, co to w on czas w Proszowicach tak szpetnie popsuli miecznikowi sprawę o podkomorstwo. Miecznik oddaje teraz wet za wet intrygantom: wiedząc, że szlachcic pod sądem stojący posłem być nie może, wszystkim trzem wytacza proces, że dwa razy sejmik krakowski bezprawnie zawichrzyli i zerwali (4). Radziejowski skąd inąd donosi Maryi Ludwice, że przeprowadzi wybór siedmiu posłów,

(1) T. Luk. XII, k. 155. De Lionne à M. de Lumbres. Paris, 31 Octob. 1664.
(2) Ibid. u. s.
(3) T. Luk. XII, k. 135. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 26 Sept. 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 133. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 25 Sept. 1664.

sobie oddanych, jeśli im królowa na czas sejmu utrzymanie zapewni, bo nazbyt są ubodzy, aby mogli w Warszawie miesiąc wysiedzieć o własnych kosztach (1).

W połowie października miały się rozpocząć sejmiki partykularne. Jeszcze w sierpniu po ukończeniu rady senatu rozesłał był król listy między szlachtę, aby w jak największéj liczbie zgromadzić ją na zjazdach (2). Przy zbliżających się wyborach trzeba było podwoić czujność, aby nie przeoczyć żadnéj sposobności i na wszystkich punktach równocześnie przeciwdziałać wpływom marszałka, któremu około 9 października posłano już pozew, i zarazem swoich bronić interesów (3).

Ułożono formalny plan kampanii. Zważywszy, że Lubomirski największy miał kredyt w trzech województwach, krakowskiém, sandomierskiém i ruskiém, najgorliwszych i najbardziéj wpływowych przyjaciół wysyła królowa na te pozycye.

Na krakowski sejmik pojadą: Jan Wielopolski, kasztelan wojnicki i miecznik Zebrzydowski; Branicki, marszałek nadworny kor. będzie działać na sandomirskim, na Ruś uda się Sobieski w 600 ludzi. Branicki upiera się koniecznie stanąć oko w oko przeciw Lubomirskiemu: układa sobie, że tam pośpieszy, gdzie marszałek waży się wystąpić osobiście. Miecznik nie mniejszą zdradza ochotę, zarówno jak kasztelan wojnicki: obaj obiecują nie szczędzić kosztów na dary, uczty i t. p., aby jak najwięcéj skupić około siebie szlachty. W Wielkopolsce, gdzie najwierniejszy przyjaciel marszałka, podkanclerzy Leszczyński około wspólnéj sprawy zabiega, pracuje królowa za pomocą rozmaitych osób. Zebrzydowski wysyła do swoich krewnych wielkopolskich, aby i ich wciągnąć w intrygę. Litwę bierze na siebie kanclerz Pac w nadziei, że Sapieha i podkanclerzy litewski wierni tylokrotnym przyrzeczeniom, nie odmówią mu swéj pomocy (4).

Tak rozstawieni gotowali się ci przewódcy stronnictwa francuskiego do boju przeciw grożącemu niebezpieczeństwu, — że nie urojonemu, przekonamy się wkrótce.

Jak się znalazł w obec takiego zwrotu rzeczy Lubomirski?

Wszystkie pozory (ale tylko pozory) zdawały się przemawiać za tém, że uląkł się i zadrżał przed ułożonym na niego spiskiem. Bo

(1) T. Luk. XII, k. 138. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 3 Octob. 1664.

(2) Dane: „Warsaviae, dnia 26 sierpnia r. 1664.“ Kopia w ręk. Bibl. Ossolińsk. Nr. 189 (Manuscripta Martini, Goliński, Tom III), str. 1571.

(3) T. Luk. XII, k. 141. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 9 Octob. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 141. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 9 Octob. 1664.

oto już podczas rady senatu kwestya ugody znowu na wierzch wypływa i w biskupie Trzebickim gorliwego znajduje tłumacza. O zabiegach jego poprzednio już była mowa. Nic sam nie wskórawszy, spieszy biskup do prymasa i wszelkiemi sposobami do wstawienia się za marszałkiem go nakłania (1). Ale, co więcéj, sam marszałek zdobywa się na akt niespodziewanéj, jak na ówczesny jego stosunek do dworu, skruchy: udaje się do Maryi Ludwiki z własnoręcznym listem (w języku włoskim) i przesyła go z końcem września królowéj za pośrednictwem biskupa krakowskiego. „Widząc się pozbawionym najwyższéj łaski Króla, Pana mego Najmiłościwszego — pisze Jerzy Lubomirski (2) — surowym związany zakazem, iżbym się listami memi więcéj nie naprzykrzał Jego kr. Mci, nie małéj doznaję zgryzoty i tém bardziéj boleję, o ile z chwalebném upragnieniem o nic innego nie troskam się na świecie, jak o to, aby się okazać uległym i wiernym sługą Jego kr. Mci, któremum tyle dłużen wdzięczności nie tylko za łaski, świadczone mi bez przerwy, ale i dobrodziejstwa, któremi dom mój szczodrze obdarzali Jego przodkowie...." Wyraża następnie nadzieję, że ten list przekona króla o zupełnéj jego niewinności i prosi królowę, aby się za nim raczyła wstawić u swego małżonka. „Ośmielam się — kończy wreszcie — obok téj łaski spodziewać i tego od protekcyi Jéj królewskiéj Mości, iżbym mógł żyć pod Jéj opieką w téj saméj zawsze gotowości oddania się całkowicie na Jéj najłaskawsze rozkazy...."

Wszystko to padło jednak na grunt już nierodzajny zatwardziałego nienawiścią i częstemi zawodami znieczulonego serca królowéj i, jak się można było spodziewać, żadnego nie odniosło skutku. Że zabiegi Trzebickiego chybiły, wiemy już z poprzednich rozdziałów. Drugi pośrednik obrany został, jak się okazało, niefortunnie. Prymas Leszczyński, człowiek już podeszłego wieku i nad grobem stojący, patrzył na przebieg obustronnych intryg dość obojętnie i zachowywał neutralne prawie stanowisko. Dawniéj zbliżony podobno sympatyami przeważnemi do domu cesarskiego, trzyma się on teraz więcéj swego dworu, bo mu z tém lepiéj i spokojniéj. To téż, dając posłuch perswazyom naprzykrzonego Trzebickiego, nie okazuje wielkiéj skłonności do patronowania marszałkowi i przez kanclerza, którego królowa na wieść o zabiegach biskupa krakowskiego do Gniezna nasyła (3), powtarza zapewnienia o swojéj wierności, a na-

---

(1) T. Luk. XII, k. 126. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 2 Sept. 1664.

(2) Data listu: „In Lanzutta, li 22 Settembre. 1664". Kopia w ręk. bibl. Ossolińskich Nr. 237, karty 261'—2.

(3) T. Luk. XII, k. 127. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 4 Sept. 1664.

wet pozwaniu Lubomirskiego przed sąd sejmowy nie okazuje się przeciwnym (1). Odjechał więc znowu z niczém Trzebicki. Ale prymasowi nie dano jeszcze spokoju. Wnet po pierwszym zjawia się u niego z tą samą misyą drugi stronnik marszałka, podkanclerzy w. kor., rodzony brat arcybiskupa. Miękki i powolny, jak zwyczajnie starzec, ulega wreszcie prymas i jedzie do Warszawy z końcem września. Ale skoro się znalazł na dworze, już go i odeszła ochota spełnienia tego, z czém przyjechał. Jeżeli w gruncie rzeczy i tak był on od marszałka daleki, to wymowa królowéj musiała dokonać reszty, dość, że arcybiskup zamiast za Lubomirskim przemówić, składa znowu uroczyste przyrzeczenie, że zawsze stać będzie przy dworze i ofiaruje się nawet zwołać umyślnie synod biskupów celem naradzenia się, jakby nieładowi w rzeczypospolitéj kres położyć (2). Wówczas skłoniono nareszcie i nuncyusza papieskiego, aby użył swego wpływu i usposobił królowę do zgody. Prałat przybył jednak za późno: marszałek już został zapozwany. Na audyencyi odpowiedziała mu królowa, że od chwili wydania pozwu sprawa cała usuwa się z pod kompetencyi dworu, a załatwienie jéj należy do sejmu (3).

Jeszcze 19 września udawał się též Lubomirski do starszego brata swego Aleksandra, koniuszego w. kor., również z prośbą o pośrednictwo (4). Nie znajdujemy tymczasem najmniejszéj wzmianki ani w relacyach de Lumbres'a, ani w listach królowéj, ani w żadnych innych źródłach, żeby koniuszy wzruszył się tą braterską odezwą. Była to rzecz znana, że obaj bracia w dawnéj żyli między sobą zwadzie. Aleksander był wiernym stronnikiem dworu, Jerzy zaś przeciwnikiem: ani wątpić więc, że starszy pan brat pokorną (po niewczasie) instancyę młodszego puścił mimo uszu.... Podobnież obszedł się z listem Lubomirskiego stary Potocki, nagabywany odeń w tym samym celu. Hetman (jedynie aby zadość uczynić formie, a opędzić się od natrętów) napisał do króla, ale chłodno i ogólnikowo, zwłaszcza, że nie miał od petenta żadnego bliższego pełnomocnictwa (5). Tém bardziéj nie uznali oczywiście za stosowne oboje królestwo wzruszyć się kilku frazesami senatora, który, jak zapewne odgadywali, pisząc sam nie bardzo pragnął, aby jego prośba została wysłuchana.

(1) T. Luk. XII, k. 128. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 11 Sept. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 137. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 2 Octob. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 141. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 9 Octob. 1664.

(4) Franc. Kulczycki: Pisma do wieku i spraw Jana Sobiesk. Tomu I-go cz. 1, str. 231 — 2, Nr. 57. [List Jerzego Lubomirskiego do Aleksandra Lub. Dat. z Łańcuta, 19 Sept. 1664].

(5) T. Luk. XII. k. 146. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 17 Octob. 1664.

Jak z tymi pośrednikami, tak i z bezpośredniém wystąpieniem listownném, po którém najwięcéj się można było spodziewać, nie powiodło się marszałkowi. Pismo przyjęto obojętnie. Przyznawano, że list utrzymany był w tonie grzecznym, ale nie było w nim czuć téj prawdziwéj uległości i wyraźnego poddania się, jakie tu chciała znaleść królowa. Bo odrzuciwszy gładkie ogólniki, rozumowano, cóż pozostaje z całéj rzeczy? Lubomirski nie przyznaje wcale, żeby w czém obraził króla, nie próbuje nawet z niczego usprawiedliwić się królowéj, jakby przeciw niéj nigdy nie zawinił! (1).

Wiadomo, co w téj chwili zajmowało wszystkie myśli Maryi Ludwiki. Gotowała ona Lubomirskiemu zgubę. I ten człowiek, znienawidzony i z góry już zasądzony w jéj oczach, jako zbrodniarz stanu, poważa się po tylu jawnych aktach nieprzyjaźni, po tylu obelgach, rzuconych na jéj majestat królewski, dopominać jeszcze protekcyi kosztem kilku grzecznostek i pustych frazesów! Łatwo zrozumiéć, że list ten cały, jakkolwiek ogładzony i słodziutki, najmniéj wskórał u osoby, do któréj był zwrócony: to téż w jéj odpowiedzi przebija ton szorstki i cierpki, mimo widocznego usiłowania, aby całość upozorować łaskawością (2): „Odebraliśmy pisanie Uprzejmości Waszéj przez Wielebnego Xdza Biskupa krakowskiego, do nas dyrygowane, a to snać dla tego, jakobyśmy się kiedy wzbraniać mieli do przyjmowania listów Uprzejmości Waszéj, które łacny miewały zawdy przystęp; ale nie propozycye, bo temi ciągnąłeś nas po wielekroć do uznawania elekcyi, *chcąc zażyć tego na tém większe* u stanu szlacheckiego i całéj Rzpltéj *inwidii nam uroszczenie.* Prezentowaliśmy list pomieniony Królowi IMci Panu Małżonkowi naszemu, którego wola przystąpiła, abyśmy takowy respons dali: że wiadom dobrze, jako i Uprzejmość Wasza, tych tak wielu ozdób i fortun, które weszły w dom Uprzejmości Waszéj z łaski przodków J. kr. Mci; *ale nie bez słusznego żalu zostawa, gdy widzi, że daleko odstępujesz od téj wdzięczności*, którą maiores Uprzejmości Waszéj domowi królewskiemu oświadczali, a tym bardziéj względem dobroczynności, odebranych za instancyą naszą z rąk Pańskich, *obracając je raczéj na niesmaki samegoż Króla IMci i nowe Rzptéj zatrudnienia*“.... Przeczy daléj, aby król miał odmawiać kiedy przyjęcia jego usprawiedliwienia się: owszem, niczego on bardziéj nie pragnie i niczego też nie oczekuje od Lubomirskiego „nad powinny respekt.“ Po téj surowéj admonicyi w końcu listu przybiera królowa ton łagodniejszy

---

(1) T. Luk. XII. k. 137. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 2 Octob. 1664.

(2) Kopia tego listu z datą: „Dan w Warszawie, dnia (brak cyfry) Mca Octobra roku Pańsk. 1664.“ Ręk. Bibl. Ossol. Nr. 237, k. 262.

i aby nadać sobie pozory bezstronnego na sprawę poglądu (a raczéj zapewne, aby odebrać marszałkowi możność użycia tego listu jako narzędzia przeciw tronowi, gdyby w nim niełaska przeważała), dodaje protekcyonalnie zapewnienie o swojéj łaskawości (ale i tu z pewném zastrzeżeniem). „Z naszéj zaś strony — wyraża się bowiem— cokolwiek tylko stawać będzie możności, na to ją obrócimy, abyśmy rzeczy prowadzili do powszechnéj stanów jedności i wszystkich ukontentowania, a osobliwie Uprzejmości Waszéj lubo nas po te czasy nie bardzo do tego usposabiałeś“..... Ściśle wziąwszy, było to nie mniej, ni więcéj, tylko oczywista odmowa, przyprawiona kilkoma gorzkiemi pigułkami i podana pod fałszywą etykietą niezasłużonéj względności i szczególnéj łaski.

Jedném słowém, dwór ani słyszéć nie chciał o jakowychś układach z przeciwnikiem, jakkolwiek coraz więcéj mnożyło się pośredników i chociaż z listu ostatniego wydawać się mogło, że marszałek niekłamaną miał ochotę pogodzenia się z francuskiem stronnictwem. „Zdaje się, że w jego postępowaniu kryje się znowu podstęp“—powiada de Lumbres (1),—„że mu bynajmniéj nie zależy na zgodzie; udaje tylko, jakoby jéj pragnął, ażeby szlachtę przekonać, że obowiązek swój spełnił“...

I takie było przekonanie całego dworu. Przekonanie—bo, jeśli perswazye pośredników i własne Lubomirskiego słowa brzmiały uprzejmie i nader pokojowo, to o czém inném zupełnie świadczyły czyny i działania marszałka i jego przyjaciół. Donoszono bowiem królowéj skąd inąd, że ten „najwierniejszy i najuleglejszy sługa“ (jakim się mieni w liście), takiém gorącém opanowany pragnieniem „oddania się wyłącznie na najłaskawsze rozkazy Jéj kr. Mci“, w téj saméj nieledwie chwili bardzo chętny dawał posłuch najłaskawszym rozkazom cesarza niemieckiego, ba nawet sam się ich gorliwie dopominał, nie robiąc sobie wcale skrupułu z tego, że zachodziła widoczna kolizya między dwiema jednakowemi ofiarami, czynionemi dwom przeciwnym sobie dworom naraz. Praca nad redakcyą wiernopoddańczego listu nie przeszkadzała mu wcale w staraniach o utrwalenie tajnego przymierza z dworem rakuskim; przeciwnie, równocześnie z wysyłką tegoż listu do Warszawy wyprawia marszałek do Szląska starostę radomskiego, zaufanego stronnika swego na zjazd z Lisolą umówiony (2)

Nie umiano wyjaśnić królowéj, co było przedmiotem téj konferencyi; ale, że nic takiego, coby się zgadzało ze świeżemi zapew-

---

(1) T. Luk. XII, k. 137. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 2 Octob. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 133. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 25 Sept. 1664.

nieniami „najwierniejszego sługi,“ o tém nikt nie wątpił. Dawno już wiadome były dworowi stosunki Lubomirskiego z Wiedniem, dawno szeptano sobie pokątnie, a nawet jawnie przestrzegano, że marszałek zamierza pozyskać dla siebie część armii koronnéj i na jéj czele oddać się na usługi cesarza we Węgrzech; a z drugiéj strony wiedziano i o tém, że cesarz nie szczędził sprzymierzeńcowi poparcia i pieniędzy. Świeżo znowu miał się Lisola zwierzyć pewnemu Polakowi, że na zaciągi wojsk polskich wyznaczono w Wiedniu przeszło cztery miliony florenów (1). Co więcéj, mnożyły się wskazówki, że elektor nie mniéj gorliwie popierał marszałka, sypiąc szczodrze złotem między jego stronników. Podawano sobie znaczne cyfry pensyi, jakoby wypłacanych przez dwór berliński wybitnym członkom opozycyi przeciw koronie. Lubomirski miał pobierać 60.000 franków, podkanclerzy Leszczyński 10.000, wymieniano téż i kasztelana poznańskiego i wielu innych między tymi panami (2)...

A jeśli już te stosunki z zagranicą nie licowały wcale z pokojowymi zapewnieniami marszałka, to w rażącéj z niemi sprzeczności pozostawały zabiegi jego w saméj rzeczypospolitéj. Jak dawniéj, tak i teraz nie przestaje Lubomirski na każdym kroku działać na przekór partyi francuskiéj i krzyżować jéj planów. Ledwie się skończyły pierwsze układy ze Szwecyą, już przysługa się marszałek dworowi insynuacyą, że królowa się związała (wbrew konstytucyom ostatniego sejmu) z północném królestwem celem przeparcia elekcyi d'Enghien'a (3). Ledwie doszły go wiadomości o przywróceniu dobrego porozumienia między Litwą a królem, już śpieszy, aby je skazić, zakłócić i nowym rozdwojeniom dać początek: zbliża się do Sapiehy, usiłuje hetmana zjednać dla siebie różnemi propozycyami. A że powiadano, jakoby królowa chciała swatać z Sapieżanką Michała Paca, pilno było marszałkowi i w to wdać się co prędzéj. Zamiast Paca proponuje hetmanowi swego syna i to wbrew woli ostatniego, który związkowi temu stanowczo miał być przeciwny (4). Idąc za przykładem królowéj nie szczędzi téż piór i papieru i obsyła swoich krewnych, znajomych i dawnych przyjaciół uprzejmemi listami, dopraszając się poparcia i pomocy. A przedewszystkiém zwraca się do Bogusława Radziwiłła i na dawną przyjaźń się powołując, uprasza go, aby na swoim sejmiku przeprzeć się starał artykuły, jemu przychylne (5).

---

(1) Ob. uw. 2 na stronie poprzedniéj.

(2) T. Luk. XII, k. 131. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 18 Sep. 1664.

(3) Ibid. u. s.

(4) Ibid. u. s.

(5) List Jerzego Lub. do Bogusł. Radziwiłła etc. Dat. z Dąbrowy 7 paźd. 1664. Kopia w ręk. bibl. Ossol. Nr. 548, k. 49 (Odpis z archiw. prywat. Radziwił.). Podaje

Te i tym podobne zabiegi i postępki marszałka, oraz ciągłe pogłoski o nieustających intrygach w armii, o gotującéj się nowej konfederacyi wojskowéj, utwierdzały królowę w pierwéj już powziętych podejrzeniach. Usiłując wyśledzić związek między intrygami Lubomirskiego wewnątrz rzeczypospolitéj a tajnemi układami z cesarzem i elektorem, podsuwano marszałkowi rozległe i wielce skomplikowane plany, obliczone jakoby na zatratę stronnictwa francuskiego. „Marszałek wyobraża sobie,“—rozumuje de Lumbres (1),—„że kiedy ogołoci Koronę z sił wojskowych (przez zwabienie armii polskiéj na Węgry na żołd cesarski), a Kozacy i Tatarzy złączą się i na Ruś napadną, wówczas król zniewolony będzie zwołać pospolite ruszenie, o co właśnie jemu chodzi: korzystając z zamięszania sprowadzi on wtedy wojska, bawiące na Węgrzech, napowrót do Polski i w ten sposób stanie się panem sytuacyi.“ Jeszcze daléj posuwa się w domysłach Ludwik XIV, bo nie wierząc w szczerość sympatyi austryackich czy brandeburskich, z któremi Lubomirski wciąż występuje, uważa za rzecz pewną, że dumny magnat zwodzi po prostu wszystkich fałszywemi obietnicami, aby za pomocą pozyskanych dworów przeprowadzić elekcyę siebie samego na króla albo protektora na wzór Kromwella (2).

Nie będziemy rozprawiać, z podanych już wyżéj powodów, ile było prawdy i słuszności w tych ostatnich domysłach; zdaje nam się jednakowoż, że jeśli rzeczywiście zamiary podobne postały kiedy w duszy marszałka, nie mógł on myśléć o ich spełnieniu w chwili, kiedy potężne stronnictwo dworskie spiknęło się na jego zgubę i trzeba było raczéj nad tém pracować, aby groźne niebezpieczeństwo zawczasu odwrócić. Ale myliłby się, ktoby sądził, że w tém iście krytycznén położeniu Lubomirski stracił ducha i skłaniał się rzeczywiście do kapitulacyi przed francuskiemi tendencyami królowéj, do odstąpienia od swoich projektów. Przeciwnie (i to jest zresztą rzeczą naturalną w charakterze takiego człowieka, jakim był marszałek), od chwili wydania pozwu stał się on jeszcze bardziéj zaciekłym wrogiem Gonzagi. Nie zwiodą nas jego urzędowe listy, nie ułudzą słodkie słówka, których nie szczędzi nieprzyjaciołom, maskując swoją nienawiść: to tylko dalszy ciąg téj komedyi, którą przebiegły polityk od kilku lat odegrywał z powodzeniem. Świadek nienawistnych intryg królowéj, nie daje on się ubiedz bynajmniéj swojéj

ustęp z tego listu Kalicki w szkicu: „Bogusław Radziwiłł,“ Przegląd pol. 1878, kw. III str. 334. Uw. 1.

(1) T. Luk. XII, k. 133 De Lumbres à Louis XIV, Vars. 25 Sept. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 140. Louis XIV à M. de Lumbres, S. l., le 3 Octob. 1664.

nieprzyjaciółce w przeciwnych zabiegach. Marya Ludwika kupuje sobie złotem stronników, i on nie szczędzi również na ten cel pieniędzy; tamta z Wersalu czerpie subsydya, tego obsyła znacznemi sumami cesarz i elektor. Miecznik Zebrzydowski powziął był pewną wiadomość, że za jednym tylko razem przyszło do marszałka z Wiednia 100.000 franków (1). Pełną też dłonią szafuje szczodry magnat swoim i cudzym majątkiem i na wszystkie strony rozdziela bogate dary, pensye, ba nawet darowiznami wiosek całych zaskarbia sobie przyjaciół. A że przy jadle i napitku najłatwiéj ubijać drażliwe sprawy, więc od rana do nocy wrota u niego dla braci szlachty stoją otworem i stoły suto zastawione ściągają licznych gości (2).

Łatwo zrozumiéć, że te usilne starania nie miały na celu przejednania obojga królestwa. Chodziło znowu, jak zwykłe, o pokrzyżowanie interesów francuskich. Miecznik i Sobieski zgodnie donosili o właściwych zamiarach marszałka. Postanowił on sobie, na przekór dworowi, w odpowiedź na pozew, przeprowadzić na sejmikach artykuł o wykluczeniu książąt francuskich z pośród kandydatów do korony (3). Przy tém wszystkiém nie przestaje jednak Lubomirski i nadal odgrywać roli męczennika za obronę wolności, ofiary stronniczych zawiści w ojczyźnie. Polityk i wielki znawca natury szlacheckiéj, zręcznie umiejący wyzyskiwać popularne wśród zaścianków hasła i idee, korzysta on ze świeżéj sposobności, aby się znowu otoczyć aureolą obrońcy narodu i jego zagrożonych prerogatyw. W téj myśli wydaje dnia 5 października z Dąbrowy list na sejmiki (4).

Powtarza się tu oczywiście znowu taż sama historya z wiadomą sprawą elekcyi. Ona to, wedle marszałka, jest źródłem wszelkich niepokojów i zamieszek w rzpltéj, ona przyczyną jego obecnych nieszczęść i utraty łaski królewskiéj. A przecież nie on sam, lecz rzeczpospolita cała na sejmie głównym usunęła rzecz tę z porządku dziennego i pod surowemi karami zakazała jéj wznawiania. Mimo to, wrodzy mu ludzie całą winę niefortunnego zakończenia i upadku sprawy elekcyi zrzucają na jego jedynie barki! „Stąd wszystkie spory, stąd zawiść na mnie, stąd nie tak mnie, jako Ojczyznie i bytowi onéj źle życzący ludzie ustawicznie psować mi i ojcowskiego Jego kr. Mci odemnie odwracać nie przestają serca!“ I wylicza wszystkie owe zamachy „na zdrowie, honor i substancyą,“ wszystkie

(1) T. Luk. XII, k. 141: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 9 Octob. 1664.

(2) Ibid. u. s.

(3) Ibid. u. s.

(4) „Copia listu na sejmiki od IMci P. Marszałka W. Kor.“ Ręk. bibl. Ossol. Nr. 237, k. 264—6.

prześladowania, które wycierpiał za to, że się ośmielił dzielić zdanie z większością narodu. Korzystano z każdéj sposobności, aby go oczernić i u króla podać w podejrzenie. Oskarżono go o obrazę majestatu za to, że wartę przydał do skarbca królewskiego, podwodzono na niego wojsko pod pozorem, że się zbroi na zgubę rzeczypospolitéj, głoszono, że armię podburzał, że konfederacyi był twórcą, że nasyłał agentów, aby podmawiali żołnierstwo do wytrwania w rokoszu. W tym to celu wołano do dworu dyrektora związku i ludzi ze czci obranych (alluzya do Radziejowskiego (1)) i zyskiwano ich datkami lub pięknemi obietnicami, aby na niego „co takowego podali i powiedzieli.“ Ale nie koniec na tém. Nawet kiedy związek się rozeszedł i pokój wrócił do rzeczypospolitéj, jego i wtedy nie pozostawiono w spokoju. Za to, że się usunął od wyprawy moskiewskiéj, bo wolał zostać w domu, niż ciągłych być przyczyną nieporozumień przez samą już swoją obecność w obozie, że ważył się daléj wywiadywać przez swoich podwładnych o sprawach koronnych i litewskich, do czego przecież, jako pierwszy urzędnik miał prawo, że wreszcie z przestrogami słusznemi zakonnika wysyłał do Sapiehy, to mu poczytano za czyn zbrodniczy „i bardziéj niż hiszpańskie na sprawę jego zarządzono inkwizycye.“ Przysyłają mu wreszcie pozew i głosząc, jakoby on wojska gromadził na zatratę tronu, zniewalają króla, aby się zbroił na niego, obywatela oddanego mu z całą uległością! „Jać los, jakikolwiek się nadarzy, zniosę,“—pisze, „ale to WMość Panowie wiedźcie, że obaliwszy mię, zrujnowawszy w łasce J. kr. Mości Pana Mego Młgo, upadek to Ojczyzny będzie już, w któréj rozpostarłszy się ta zawiść, dowodzić wszystko będzie i na cóż się nie odważy!“ Fałszem jest, jakoby on był przeciwny saméj sprawie elekcyi w zasadzie. Uważał on ją za pożyteczną i zbawienną, byle została przeprowadzona w formie dozwolonéj, bez naruszenia praw

(1) Radziejowski był najzaciętszym wrogiem Lubomirskiego i najgorliwiéj działał na jego zgubę, jako powolne narzędzie w rękach królowéj. Nienawiść tych dwóch ludzi datowała się od dawna, bo od owego jeszcze sejmu, gdzie to Lubomirski publicznie rzucił Radziejowskiemu w twarz zarzut, że urzędu podkanclerskiego nie zasługami, ale pieniędzmi dostąpił (Por. szkic Kubali: Proces Radziejowskiego. Ser. druga, str. 17). Jak mu się teraz za to odwdzięczał ekssenator, w r. 1662 do czci przywrócony, mieliśmy już kilka razy sposobność o tém wspominać. Nie od rzeczy będzie tutaj przytoczyć także urywek z charakterystycznego wierszyka w rodzaju paszkwilu, który wówczas krążył między szlachtą (z ręk. bibl. Ossol. Nr. 237, k. 18):

„Radziejowski doktorską przyjął profesyą,
„Nie leczy, ale truje swoją alchemiją:
„Marszałkowi dał trunek, że go operuje,
„Drugi pieczętarzowi mniejszemu gotuje“... (Co gotował Janowi Leszczyńskiemu, tego nie wiemy).

i zwyczajów. Dla tego, skoro spostrzegł, że bezprawnym i niegodziwym do niéj zabrano się sposobem, rozumiał rzeczą właściwszą odstąpić, aniżeli nadal przy swojém obstawać na szkodę ojczyzny. W poczucie swéj niewinności zanosi przeto usilną prośbę o przyczynienie się za nim u króla i kończy wreszcie patetyczną odezwą do szlachty. „Nie dajcie uciskać obywatela dla cnoty, dła stateczności przy Ojczyznie! Ukażcie, żeście tych Ojców synowie, którzy panów czcić, praw przestrzegać, cnocie nie szwankować, a przewrotności własnéj przewodzić umiecie nie dać w Ojczyznie!“

VI.

Sejmiki.

Łatwo zrozumiéć, z jaką niecierpliwością oczekiwały obie strony rozpoczęcia sejmików. Tu już nie szło o zjednanie jednostki, o usunięcie téj lub owéj przeszkody, przecięcie odosobnionéj intrygi: rezultat wyborów miał stanowić o całych masach, o spokojnym lub burzliwym przebiegu sejmu, o tryumfie lub upadku jednéj z dwóch przeciwnych sobie partyi.

Widzieliśmy, jakie z obu stron czyniono przygotowania: jeśli Lubomirski nie szczędził niczego dla pomyślnego przeprowadzenia swojéj sprawy, to dwór nie dał się przewyższyć, mając się przed podstępami przeciwnika na baczności. W połowie października puścił marszałek w obieg artykuły, które pragnął widzieć w instrukcyach poselskich. Jedne z nich tyczyły się elekcyi, inne ligi ze Szwecyą itd. a przedewszystkiem nie brakło nigdzie punktu o samym męczenniku za sprawę wolności. Miał ten artykuł zalecić opiece panów posłów uciśnionego obywatela i jego stronników. Żądano w nim, aby nie dopuścić do sądu na człowieka, którego ściga zawiść powszechna: o losie jego stanowić może tylko walny zjazd ogółu szlachty, któryby niechby był zwołany w tym celu na wiosnę (1). Równocześnie rozesłany został na wszystkie sejmiki znany nam już list otwarty Lubomirskiego.

Wybory zaczęły się pod złemi dla dworu wróżbami. Bo oto w téj stanowczéj chwili, kiedy królowa rada była odwrócić, jak można najbardziej, uwagę nieprzyjaznych dworów pogranicznych od rzeczypospolitéj, stało się, że główny przeciwnik, dotąd mniéj niebezpieczny, bo związany wojną turecką, cesarz niemiecki uwolnił się

(1) T. Luk. XII, k. 144. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Octob. 1664.

właśnie z krępujących go więzów, zawarłszy z Turcyą 20-letnie zawieszenie broni. Wiadomość o tém w sferach dworskich wywołała niemały popłoch. Powszechna była opinia, że Leopold nie w innéj myśli przyśpieszył zakończenie układów, które obiecywały przeciągać się długo, na warunkach niekorzystnych, jak żeby módz całą uwagę i wszystkie siły zwrócić ku téj stronie, gdzie jego interesa najbardziéj wówczas były zagrożone, tj. ku Polsce (1). Świeże wiadomości z Wiednia i Krakowa potwierdzały te obawy (2); dzielił przekonanie królowéj i jéj stronnictwa nawet tak bystry polityk jak Ludwik XIV (3). Zwrot taki nie mniéj silnie oddziałał niewątpliwie na marszałka: musiał mu dodać otuchy i do tém gorliwszych zachęcić zabiegów, co oczywiście nie było na rękę królowéj, zwłaszcza w chwili, kiedy się do stanowczych przeciw Lubomirskiemu zabierano kroków. Niebezpieczeństwo interwencyi austryackiéj, dotąd wątpliwe i dalekie, staje się realném i groźném. Marya Ludwika truchlała na myśl, coby się stać mogło, gdyby cesarzowi i Brandeburczykowi przyszła ochota od gróźb przejść niespodzianie do czynów. W obec rokoszu wewnątrz kraju, w obec najazdu nieprzyjaciół ze wszech stron, od wschodu, od zachodu i południa, w obec braku sił zbrojnych, zajętych jeszcze na granicach moskiewskich, nic by nie pozostało dworowi, jak do Prus królewskich uciekać. A i tu trudnoby znaleść bezpieczny punkt oparcia, bo twierdze pruskie miały się znajdować w stanie opuszczonym, pozbawione załóg i amunicyi. Skarb zaś państwa pusty nie mógł zaradzić tym brakom. Słowem, mogła nastać kolizya taka, z której wyjścia znaleść by prawie nie sposób (4). Łagodził ten niepokój zimno na rzeczy patrzący Ludwik XIV: „My nie powinniśmy ustępować z pola“—pisał (5), „ani téż upadać na duchu w obec nowych niebezpieczeństw, które nastają; bo przy rostropności i bacznéj uwadze królowéj i w obec silnego postanowienia, jakie powziąłem, wspierać tę sprawę środkami wszelkiego rodzaju, nigdy nie chcę tracić nadziei, żeby ona wreszcie dobrego skutku nie osiągła.“

Pierwsza wiadomość z sejmików, która doszła do Warszawy, a to mianowicie z sejmiku województwa chełmińskiego, była również niepomyślna. Doniesiono królowéj, że marszałek posłał do Chełmna kopią tajnego traktatu, zawartego między królem francuskim a Szwe-

---

(1) Ob. uwagę poprzednią.
(2) T. Luk. XII, k. 152. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 24. Octob. 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 148. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 17 Octob. 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 145. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Octob. 1664.
(5) T. Luk. XII, k. 148. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 17 Octob. 1664.

cyą przeciwko wszystkim, którzyby chcieli naruszać z bronią w ręku wolność elekcyi następcy tronu w Polsce. Na artykuły tego przymierza, odczytane na sejmiku, wszczął się wielki hałas między szlachtą, choć nie było czego, bo, jak słusznie uważa poseł francuski, rzecz cała nie zawierała w sobie żadnego punktu, szkodliwego rzeczypospolitéj, a raczéj tylko na jéj korzyść była obliczona. De Lumbres stwierdził, że kopia marszałka zgodna była z rzeczywistém brzmieniem aktu ugody. Domyślano się, że jéj dostarczyć musiał elektor albo cesarz. Królowa nie omieszkała natychmiast (naturalnie wbrew prawdzie) posłać do województwa chełmińskiego listowne zapewnienie, że dokument traktatu, który marszałek podsunął, jest fałszywą mistyfikacyą (1).

Jeśli w Koronie intrygi Lubomirskiego zniewalały królowę i jéj stronnictwo do podwojenia czujności, to nie mniejsze obawy budziło co do W. Księstwa niepewne usposobienie Sapiehy, tego królika Litwy. Hetman znowu szukał powodu do zwady. Przed w. podskarbim kor. miał się on z niechęcią wyrażać o zamierzonéj ze Szwecyą lidze, a to z téj przyczyny, że dwór mógłby się posłużyć siłami szwedzkiemi celem przeparcia elekcyi księcia francuskiego. Stąd nowe budziły się wątpliwości co do szczerości i dobrych chęci Sapiehy. Królowa przypuszczała, że to tylko chwilowe rozdrażnienie; zapewne nie podobało się dumnemu panu, że go nie wciągnięto do tajemnicy układów szwedzkich, jakkolwiek się pogodził ze stronnictwem dworskiém. Tak przynajmniéj twierdził szwagier jego Jan Kopeć wojewoda połocki, zapewniając, że hetman stanie zupełnie po stronie tronu, byle mu okazywano bezwzględne zaufanie (2).

Wśród takich to okoliczności, dosyć niepomyślnych dla sprawy francuskiéj, rozpoczęły się wybory.

Z 15-tym października zapanował wielki ruch po województwach. Jakkolwiek żaden sejmik, najodleglejszy nawet, nie uszedł uwagi królowéj, jakkolwiek wszędzie zajęli stanowiska odporne jéj przyjaciele i najemni stronnicy, to przecież nie mniéj czujność saméj Maryi Gonzagi, jak i całego jéj otoczenia głównie wytężona była ku jednéj stronie, na zjazd w Proszowicach. W województwie krakowskiém leżało bowiem ognisko opozycyi: w niém to przemieszkiwał, gospodarował i najwięcéj powagi używał marszałek, właśnie starosta krakowski. Można było powiedzieć, że szlachta cała tego województwa należała do jego klienteli, związana z możnym panem czyto interesem, czy otrzymaną odeń łaską lub wreszcie ulegająca mu

(1) T. Luk. XII, k. 145. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 17 Octob. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 143. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 17 Octob. 1664.

z obawy, jako dygnitarzowi wielkiéj władzy, potęgi i wpływu. Sam też Lubomirski ciągnął na sejmik proszowski zbrojno i hucznie, z wielkim orszakiem i na czele znacznego oddziału wojska. Rozpowiadano na dworze, że prowadzi ze sobą 600 piechoty, 150 żołnierzy z załogi krakowskiéj i 800 swojéj jazdy, która stała dotychczas pod Częstochową (1). Tu więc zanosiło się na najburzliwszą rozprawę. „Był zjazd wielki panów i senatorów“ (2). Liczono przeszło 5.000 obecnéj szlachty. Marszałkował Jan Karol książe Czartoryski. Urzędownie zastępował króla kanonik Dobiński. Swoją drogą z tajną misyą ze strony królowéj zjechali marszałek nadworny kor. Branicki, kasztelan wojnicki Jan Wielopolski i miecznik Zebrzydowski z niemałemi orszakami.

Nie poczucie obowiązku, lecz podobno ciekawość zgromadziła w Proszowicach takie tłumy. Miał być bowiem sejmik krakowski widownią niezwykłéj sceny. Bo oto w chwili, kiedy zamierzono już przystąpić do wyborów, zjawił się w izbie obrad woźny z pozwem na marszałka i zapewne, czując się bezpiecznym pod protekcyą panów ze stronnictwa dworu, odczytał go wielkim głosem w obec zgromadzenia (3):

„Jan Kazimierz etc. etc.

„Tobie, Jerzemu Lubomirskiemu, księciu Wiśniczu i Jarosławiu, Marszałkowi Wielkiemu i hetmanowi kor. etc. etc. co do sprawy niżéj wyłożonéj rozkazujemy, abyś w obec Majestatu naszego królewskiego, senatorów Korony i W. X. lit. jako też i posłów ziemskich na głównym sejmie, najbliższym, jaki się odbędzie w Warszawie, stawił się osobiście i nieodwołalnie dnia szóstego od otwarcia sejmu (nie wliczając w to dnia pierwszego):

„a to na żądanie Instygatora kor. jakoteż delatora Hieronima z W. Skrzynna Dunina, którzy cię pozywają, iżeś, wzmógłszy się urzędami i godnościami wysokiemi w Rzeczypospolitéj, całą tę powagę i staranie swoje ku temu zwrócił, aby tron Nasz królewski obalić i tym sposobem Rzeczpospolitę, rzekomo, jako najwyższy stróż praw

(1) T. Luk. XII, k. 145, De Lumbres à Louis XIV, Vars. 17 Octob. 1664.

(2) Relacye z tego sejmiku znajdują się w Tece Lukasa XII, k. 152 (De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 24 Octob. 1664), w dyaryuszu Golińskiego (Ręk. bibl. Ossol. Nr. 189 str. 1585) i u Kochowskiego (Clim. III. str. 152).

(3) Koch. l. s. cit. Podajemy przekład całego pozwu wedle drukowanéj kopii, zawartéj w aktach procesu (*Processus iudic. in causa Georgii... Lubomirski* etc., str. 5—9). Samo streszczenie tego mało znanego a ważnego dokumentu nie mogło, jak sądziliśmy, wystarczyć, zwłaszcza, że pozew jest w ten sposób ułożony, iż każde zdanie zawiera osobny zarzut; trudno więc było coś wyłączyć, jeżeli rzecz nie miała stracić na zupełności.

i wolności powszechnéj, uczynić od swojéj jedynie woli zawisłą i to niżéj wymienionemi sposobami, radami i postępkami do skutku przywieść usiłowałeś.

„A mianowicie naprzód, moc swego przedsięwzięcia zakładając w zaufaniu wojska, nie tylko nie ganiłeś zawiązującéj się w pośród niego konfederacyi, lecz nawet kierownictwo takowéj ofiarowałeś osobie, która ci się bardziéj przydatną wydała. A kiedy konfederacya się zawiązała, witałeś ją poselstwem swojém pod miastem Szczércem, pieniądzem wspomagałeś i przed nowém wojskiem Naszém, tak jak gdyby je zaciągnąć zamierzono na zatratę związkowego i jakoby już pieniądze wypłacono w tym celu, przestrzegałeś, a w ten sposób w wojsku owém skonfederowaném podsycałeś zawziętość, odstręczając je od zgody.

„Aby zaś wzrosło w potęgę, toś sprawił, iż żołnierstwo, w dywizyi Stefana Czarnieckiego, wówczas wojewody ruskiego służące, od posłuszeństwa ku Nam odwiedziono: a przez to wyprawę Naszą do Litwy przeciw Moskwie, sam nadto nie biorąc w niéj udziału, osłabiłeś. Przeszkodziłeś więc temu, aby wojsko skonfederowane nawet w niebezpieczeństwie Ojczyzny nie wspomogło, boś wolał, aby ono tymczasem toczyło raczéj i gryzło jéj wnętrzności. Obrady sejmu, po szczęśliwym naszym z Litwy powrocie zwołanego, żądaniami, bytowi Rzeczypospolitéj zagrażającemi, które za wolą twoją ułożono, utrudniałeś i przewlekałeś, a następnie toś skrycie sprawił, że toż samo wojsko związkowe skrępowało sejm nieprzyjacielskim napadem, senatorów i posłów zatrzymywało i zawracało z drogi.

„Następnie nam, dla bezpieczeństwa komisyi do Lwowa jadącym podróż tę sposobami wszelkimi odradzałeś; albowiem i samą konfederacyę i swój głos senatorski aż do czasu bezkrólewia zachować pragnąłeś. A potém, sam nie bywając na posiedzeniach komisyi, raczéj przez służące tobie w téjże konfederacyi osoby, jakotéż przez szlach. Wojakowskiego, chorążego przemyskiego siedmkroć blisko razy do takowéj wysełanego, na to naprowadzałeś, aby cię obrano protektorem związku i jako znak wierzytelny przez tegoż samego chorążego listy, które tajemnie miały być w obieg puszczone, dyrektorowi związku przesłałeś.

„Listem, przez Piestrzeckiego, również wysłańca swego porzuconym w obozie i na publicznéj radzie wojennéj odczytanym, wojsko przestrzegałeś przed wezwanymi dla obrony i bezpieczeństwa naszego Tatarami i Kozakami. A prócz tego pisemnie rozgłaszając, tajemnicę rady senatu Naszego co do wezwania téjże pomocy, jakkolwiek sam ten środek pochwalałeś, wyjawiłeś.

„Do czego zaś to wszystko zmierzało, poświadcza list bezimienny, od znamienitego pewnego obywatela, tobie znanego, do rąk naszych oddany.

„I sam to potwierdziłeś, bo skoro cię obwołano protektorem wojska, oświadczyłeś jawnie, że przystępujesz do związku, który się zamierzał zbrojno na miasto Nasze królewskie, pod pretekstem, żeśmy pomoc ową tatarską sprowadzili na zgubę własnych braci.

„A chociaż, kiedy wreszcie sprawa Nasza tobie i wojskom wydała się słuszną, tyś sam pośrednictwo zagarnął dla siebie i na własną objął rękę, to przecież zamierzył uknuć przeciw Nam znowu coś nowego (jak sam wyznałeś); i w istocie, gdyśmy po rozwiązaniu konfederacyi zaraz na wojnę przeciw nieprzyjaciołom Naszym i Rzeczypospolitéj wyruszyli, nie tylko żeś się sam nie stawił, lecz i żołnierstwo od wyprawy odstręczałeś. Pobudzałeś do rokoszu piechotę Naszą i Rzpltéj przez swoich wysłańców i tyleś sprawił, że wielka część jego obóz Nasz opuściła.

„Całe twe staranie zresztą ku temu zwrócone było, ażeby usiłowania Nasze dla dobra Rzeczypospolitéj i wszystkie działania zniweczyć, naród do nienawiści przeciw Nam pobudzić, urzędników Naszych i Rzpltéj fałszywemi podszeptami i doniesieniami do rokoszu nakłonić i tak całą Rzeczpospolitę napełniałeś zamieszkami i nieładem, jakby tylko od ciebie zawisły był jéj spokój.

„I nie w innym celu wysyłałeś do W. X. L. jakiegoś zakonnika, z pisemną instrukcyą, głosząc potwarczo, że ród (królewski) zamierza zerwać węzły unii, że się gotuje sejm na Litwie w tym celu, że chcemy W. X. lit. pod absolutne Nasze poddać rządy, że to wszystko ma być dokonane gwałtem, że zostanie przywrócona samowola temu rodowi, a W. Xięstwu niewola.

„O ile się zaś sam wyniosleś pod pozorem troskliwości o dobro publiczne po nad równość obywatelską w Rzeczypospolitéj, toś okazał jasno i wyraźnie gromadząc szlachtę na zjazdy celem obrad nad Rzeczpospolitą w domu swoim, wydając uniwersały w sprawie wojny tureckiéj do województw w nieobecności naszéj, jak gdybyś w ręku miał władzę prymasa.

„A skoroś tylu tak zbrodniczemi występkami (niech już łaskawość Nasza pokryje milczeniem krzywdy i obrazy, Naszemu Majestatowi wyrządzone) słuszność prawa publicznego naruszył, ustawy, konstytucye i fundamenta wolności w Rzpltéj, które od przodków Naszych powiększone, pamiętni na przysięgę, miłością ojczyzny i czcią antenatów wiedzeni, całe życie święcie strzeżemy, zachowujemy i utrzymujemy w całości, nie szczędząc ani życia, ani czasu, aby je przed skażeniem uchronić, obalił, konfederacyi, prawami potępio-

néj, a przez to samo niecnéj, bezkarność i obronę zabezpieczał, przez nią dobra kościoła i Rzpltéj najeżdżał, pustoszył i niszczył, wojny z nieprzyjaciółmi naszymi niecił i podsycał i przewlekał i przez to Rzpltę na olbrzymie, i nieobliczone straty naraził, pokój i bezpieczeństwo wewnętrzne jego przez swe ambitne zamysły zamącił, niezgodą, zawiścią i wzajemną nieufnością zapełnił, a usiłując tym sposobem od siebie jedynie uczynić ją zawisłą, a tak przeciwko konstytucyom wykroczył:—przeto cię pozywamy, abyś był świadkiem, jako na ciebie zostaną postanowione kary kryminalne z mocy ustaw Rzeczypospolitéj, aby pokój, wzajemna wiara i ład wewnętrzny, jakoteż sprawiedliwość przywrócona została w Rzpltéj, aby i to, czego prawo wymagać będzie, uchwalone, ogłoszone i wykonane zostało.

„Będziesz więc odpowiadać przed sądem na to, co tu powiedziano, i na wszystko, co ci się bliżéj wyłuszczy i wyjaśni w oznaczonym czasie.“

„D. 9 października r. 1664 etc. etc.“

Spokojnie słuchał tego odczytu marszałek, przybrawszy teatralną pozę. Stał, oparłszy się na lasce, i oczy trzymał wzniesione w górę. Niekiedy tylko ściskał ramionami. A kiedy woźny skończył, wszczął się między szlachtą hałas i lament. Jedni głośno wyrażali pozwanemu współczucie, drudzy odgrażali się na prześladowców niewinnego obywatela, inni płakać nawet mieli nad jego niedolą... „Nato zabrał głos Lubomirski, dziękując łaskawym za siebie. Nie wypominiał nic królowi, ani téż dworskim stronnikom, wszystko to boskiéj opatrzności polecając, wyliczał wszystkie całego życia działania swoje, wyrażał swoją niewinność“ (1). Mowę tę przydługą wysłuchali nabożnie spółziemianie marszałka. Ogólna była między Krakowianami opinia, że to ofiara zawiści i niełaski dworu. „Któż albowiem spodziewał się tego,“—odzywa się Kochowski, najlepszy tłumacz sentymentów szlacheckich (2), „żeby téż fawory dworskie tak ślizgie były! Niedawno po cudnowskiem zwycięstwie kanclerz w. kor. ojcem go ojczyzny mianował: teraz prosty człek, woźny, obelżywemi słowy nagabując zacnego męża, przezywa go zdrajcą ojczyzny!“ Sejmik skończył się jednak na niczém. Stawiono tu bowiem na kandydatów ludzi, zapozwanych przed sąd sejmowy. Sprzeciwiało się to konstytucyom królestwa, jak utrzymywała większość szlachty. Ponieważ mniejszość upierała się przy swojém, więc opozycyi nic nie pozostało jak zerwać obrady. Oznaczono tylko delegatów, aby

---

(1) Kochowski Ann. Pol. Cllm. III, str. 152.
(2) Koch. Ann. tamże.

wnieśli do króla instancyą o ponowne na zjazd wyborczy przyzwolenie (1).

I na sejmiku wielkopolskim w Środzie nie obyło się bez burzy (2). Usiłowano na nim przeprzeć dwa artykuły, które rozumnéj części szlachty wydały się niewłaściwemi. Pierwszy z nich żądał, aby posłowie zobowiązali się pod przysięgą, że tak ściśle przestrzegać będą instrukcyi, iż sejm zerwą, jeśliby się jéj punktom sprzeciwił. Drugi domagał się znowu przysięgi na to, że nie dopuszczą do otwarcia obrad, jeżeli w izbie poselskiéj zabraknie delegatów z którego województwa. Ponieważ widocznéin było, że oba te artykuły z góry zmierzały do tego, aby sejm nie doszedł, a to zapewne, aby w ten sposób i sąd na marszałka miejsca mieć nie mógł,—przeto większość zgromadzonych, przeciwna takiemu postępowaniu, zerwała i ten sejmik.

Nie mało hałasu było i w Opatowie (o co, nie podają źródła) (3). Sejmik w Chełmnie, który zapowiadał się groźnie, został doprowadzony szczęśliwie do końca: przypisywano to staraniom biskupa chełmińskiego, który załagodził ową sprawę o tajny traktat Francyi ze Szwecyą, zwiedziony listem od królowéj, gdzie sprawę całą przedstawiono jako prosty wymysł Lubomirskiego (4).

Na sejmiku wiszeńskim wreszcie (ziemi lwowskiéj, przemyskiéj i sanockiéj) wybrany wprawdzie został między innymi posłem także i stronnik królowéj, chorąży w. kor. Sobieski, ale mimo to uchwalono i pomieszczono w instrukcyi wyraźne zlecenie, aby delegaci za marszałkiem się ujęli u króla lub przynajmniéj odroczenie jego sprawy na czas późniejszy wyrobili (5).

---

(1) T. Luk. XII, k. 152. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 24 Octob. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 159. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novembre 1664.

(3) T. Luk. XII. k. 152. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 24 Octob. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 159. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novem. 1664.

(5) Instrukcya na sejm walny sześcioniedzielny kor. z sejmiku wiszeńskiego...... dnia 15 października roku ter. odprawionego. (Oblata obecnie w archiw. bernard. we Lwowie: Acta cast. Premisl. T. 398, str. 1008—48). Por. str. 1011: „Instabunt Ichmość PP. Posłowie, aby ta opinia de pectore J. kr. Mci P. N. Mgo ku IMci Panu Marszałku także i o innych IMciach braciach naszych, którym mandaty dano, eradicari mogła. A jeśliby to optatum sortiri effectum nie mogło, tedy Panowie Posłowie nasi cum tota Republica indesinenter prosić będą, ażeby téj sprawy z IMcią Panem Marszałkiem i z innymi IMciami, zwłaszcza, gdy tak wielkie na Rzeczpospolitą instant pericula i one gwałtowne et vix possibiles do zniesienia premunt necesitates, do innego przyszłego sejmu (in quantum się to wszystkim stanom Rzptéj będzie zdało) cognitio odłożona była. Ad extremum iniungimus to Panom Posłom naszym, aby quam vigilantissime IMciom, ea diffidentia affectis, u Majestatu J. kr. Mci P. N. Mgo suffragari nie omieszkiwali. W czym wszystkiem fidem et conscientiam Deo pacis internae et concordiae debita PP. Posłów naszych, że w tym stawać będą, obowiązujemy.“

O innych zjazdach wojewódzkich nie wiemy nic szczegółowego. W Koronie wypadły one przeważnie po myśli dworu. Siedm sejmików zerwali samiż stronnicy królowéj, nie mogąc inaczéj zapobiec wyborowi nieprzychylnych sobie posłów lub uchwale niemiłych instrukcyi (1). Lepiéj jeszcze poszły rzeczy na Litwie. Sprawdziły się, co prawda, po części obawy co do Sapiehy. Hetman wystosował do sejmików w. ks. lit. pismo, gdzie proponował artykuły przeciwne zamiarom dworu. W sam czas przybył jednak do Wilna kanclerz w. lit. Staraniom jego udało się zniweczyć szkodliwy wpływ propozycyi niewiernego magnata (2). Wszystkie inne sejmiki wypadły zupełnie dobrze. Na jednym tylko udało się Sapieże przeprzéć artykuł przeciw podróży króla do Moskwy, dworowi nie miły (? tak podaje de Lumbres, ale dla czego, nie rozumiemy). To jedynie przykre wrażenie wyniosły koła francuskie z przebiegu rzeczy na Litwie, że hetman zawsze jeszcze postępowaniem swojém przeczył uroczystym przyrzeczeniom przyjaźni i uległości. Pewien jezuita, cieszący się zaufaniem Sapiehy, z powrotem z Litwy bawiąc w Warszawie po ukończeniu sejmików, zapewnił, że hetman żałuje tego postępowania i szczerą ma ochotę wiernie służyć królestwu, byle w zamian i o nim nie zapominano. Podkanclerzy lit., zięć Sapiehy, myśli się ubiegać właśnie o jedno starostwo: niech więc królowa wyrobi je Naruszewiczowi, a ostatniego i samego hetmana całkowicie sobie pozyska. Marya Ludwika postanowiła téż sobie zadośćuczynić temu żądaniu, nawet mimo, że równocześnie o toż samo starostwo czynił zabiegi Michał Pac, jéj wierny stronnik (3).

Ogółem wziąwszy, poniósł zatém Lubomirski stanowczą porażkę. Nie tylko, że mało gdzie udało mu się przeprowadzić wybór posłów ze swego stronnictwa, ale nawet na wielu sejmikach jawną okazywano mu niechęć. Niektóre nie dopuściły do odczytania jego listu (4). Ze wszystkich stron donoszono królowéj, że stronnicy marszałka wielkie okazywali przygnębienie od chwili, kiedy pozew ogłoszono. Byli i tacy, co już teraz, nie czekając sądu, porzucili go skrycie, czyniąc zabiegi o względy panów, dobrze u dworu widzianych (5).

---

(1) T. Luk. XII, k. 153. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 30 Octob. 1664. W liście tym podanych jest tylko *sześć* sejmików zerwanych. Opieramy się jednak na liście późniejszym de Lumbres'a z 28 listopada 1664 (T. Luk. XII, k. 177), sądząc, że późniéj posiadać mógł poseł informacye dokładniejsze: a tu jest ich wyraźnie wymienionych *siedm*.

(2) T. Luk. XII, k. 150. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie 23 Octob. 1664 — Ibid. k. 154. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 30 Octob. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 154 etc. u. s.

(4) T. Luk. XII, k. 150. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 23 Octob. 1664.

(5) T. Luk. XII. k. 156. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 31 Octob. 1664.

Sejmiki zawiodły zupełnie oczekiwania Lubomirskiego. Niebezpieczeństwo, które dotąd lekceważył, zbliżało się szerokim krokiem; sąd był prawie nieunikniony.

Sąd na niego! który niedawno miał w swoich ręku więcéj niż królewską władzę, bo kierował zrewoltowaną armią: a przed armią taką mógł i tron się ukorzyć. bezsilny, bo pozbawiony jéj żelaznego ramienia.... Na samą myśl o czémś podobném musiała się w duszy marszałka wzburzyć duma, a gniew i wściekłość poruszyć wszystkie w niéj męty aż do saméj głębi. Niepowściągliwy umysł rwał się do buntu: gdy wrócił spokój, rozum radził inaczéj. Sytuacya była krytyczna. Póki los sprzyjał, przyjaciół nie brakło: odwróciła odeń twarz fortuna, stopniały i zastępy serdecznych towarzyszy i stronników.

Nie przeszło dotąd może przez myśl Lubomirskiemu, coby się stało, gdyby dwór wygrał sprawę. Zanadto ufał sobie i swojéj potędze, doświadczonéj w przeszłości, ten butny senator, aby mógł takim obawom dać dostęp do swego umysłu. Teraz same one tłoczyły się doń zewsząd i tłumnie cisnęły. Marszałek może pierwszy raz zadrżał.... Wyrok, który go czekał, nie małą groził mu klęską. Bo tu nie mienie tylko w grę wchodziło, lecz cześć, lecz dobra sława i życie. O to ostatnie najmniejsza jeszcze była obawa, bo dla ucieczki wrota do Austryi stały otworem; ale utrata całego znaczenia i wpływu, niemożność dalszego działania w kraju nad dziełem rozpoczętém, to samo było już ciosem dotkliwym i ciężkim. Trzeba było koniecznie wytężyć siły ku temu, aby, jeśli nie usunąć nieszczęścia, to odwlec je, jak można najdaléj.

Marszałek tracił głowę; nie wiedział co robić. Radził się przeto innych. Kiedy u niego bawił kasztelan wojnicki, pytał go także o zdanie. Wielopolski nakłaniał, aby się starał o zgodę: niech się jednak zbliży do miejsca układów, aby ich postęp ułatwić. Trudno było przystać na to Lubomirskiemu: powstrzymała go obawa, czy król nie każe go schwytać. „A kiedy zeszła rozmowa na to, że trzeba się będzie stawić na sejmie, wydawał się on zmieszany i pełen obaw przed wynikiem sądu. Powiadał, że nawet gdyby dowody nie starczyły na jego potępienie i choćby mu dozwolono przysięgą oczyścić się z zarzutów, które mu poczyniono — a to jest najłagodniejszy wyrok, jakiego się mógł spodziewać — nie mógłby on przystać i na to, tém więcéj, że przez tę przysięgę zburzyłby dobrą o sobie opinię nietylko wśród szlachty, ale i za granicą....“ Prosił jednak kasztelana, aby się za nim wstawił u dworu (1).

(1) T. Luk. XII, k. 160. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novem. 1664.

Odbywała się więc, jak widzimy, walka w duszy marszałka. Obawy ogarniały umysł, a ambicya wypierała je znowu. To jedne, to druga brały nad nim przewagę. I to wahanie trwało już ciągle. Pod wpływem obaw odnawiały się myśli o zgodzie: a przyszła chwila stanowcza, unosiła go pycha do buntu i niweczyła powzięty plan układów.....

Po ukończeniu sejmików, pod przykrém wrażeniem zawodów, śle Lubomirski z pokorną do tronu prośbą już nie przyjaciół niepewnych, ale własnego syna. Posłuszny woli ojcowskiéj i niekłamaną miłością dla rodzica wiedziony, spieszy więc młody Stanisław do stolicy, aby raz jeszcze zapukać do łaski królestwa w téj saméj sprawie, która już tyle razy, wnoszona przez pośredników, chybiała. 30-go października znajdujemy starostę spiskiego (taką godność piastował książe Stanisław) w Warszawie.

Zaraz w dzień potém donosi on de Lumbres'owi w formie nadzwyczaj grzecznéj o swoim przyjeździe. Tegoż dnia (31-go) prosi o audyencyę u Maryi Ludwiki i oddaje list wierzytelny, pełen słów uległości i pokory. Składa przytém zapewnienia, że ojciec przyjmie wszystkie warunki, które mu podyktować zechce królowa (1). Równocześnie zaczynają się zjawiać u króla pojedyńcze poselstwa od kilku sejmików z instancyą za marszałkiem (2).

Ale na dworze stanowczo zawiał już duch oporu. Marszałek stracił tu wiarę zupełnie. Jaką rękojmię dać może ten człowiek, że spełni swoje przyrzeczenia? pytała królowa wszystkich pośredników. I aby wykazać dobitnie, jaką wartość miały i mają wszystkie jego obietnice i uroczyste zobowiązania, zrobiła kolekcyę wszystkich próśb o przebaczenie, o łaskę, które kiedykolwiek zanosił ten uciemiężony obywatel do tronu i które król uwzględnił napróżno, bez skutku. Powiada de Lumbres, że ich się zebrało blisko trzydzieści! (3). Wobec takich dowodów, co się zowie, musiał stracić kontenans i najwymowniejszy pośrednik. Próżne obietnice nie miały już więc naturalnie kredytu u dworu. Jeśli Lubomirskiemu szczerze szło o zgodę, to mógł ją okupić chyba drogą rzeczywistych ustępstw. Prażmowski już dawniéj napomykał królowéj, że co najmniéj należałoby odeń żądać w razie układów złożenia godności hetmana i wydania krakowskiego starostwa (4). Tymczasem nikt nie wątpił, że marszałek ani myśli zgodzić się na coś podobnego: utwierdzały

(1) T. Luk. XII, k. 156. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 31 Octob. 1664.
(2) T. Luk. XII, k. 160. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novem. 1664
(3) T. Luk. XII, k. 165. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 21 Novem. 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 150. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 23 Octob. 1664.

stronnictwo dworskie w tém przekonaniu własne słowa Lubomirskiego, wypowiedziane do kasztelana wojnickiego (1). Dla tego to zapewne nic téż nie wskórał i starosta spiski. Sprawa stała tak, że jéj załatwić nie było można. Marszałek wahał się i ciągle żywił nadzieje, że mu się łatwym kosztem uda wykręcić od sądu,—dwór, mając w ręku broń na przeciwnika, drożył się i podnosił coraz wyżéj swe żądania.

Mimo jednak pozornéj pewności siebie, królowa zawsze jeszcze pełna była obaw tak co do powodzenia sejmu, jak i co do dalszego postępowania pozwanego (2). Surowy wyrok mógł marszałka do reszty rozjątrzyć. Kto wié, do czego poprowadzi tego człowieka rozpacz i żądza zemsty? Już znowu donoszono o jakichś jego intrygach wśród wojska. A jeśli pan wpływowy i potężny porwie za sobą armię? A jeśli szlachta usłucha jego wezwania? (3). Lecz o to wszystko najmniejsza jeszcze... Właściwe niebezpieczeństwo groziło od cesarza i elektora. Bo gdzież, jeśli nie u nich, poszuka Lubomirski schronienia i pomocy? Ta myśl przyćmiewała znacznie te nadzieje, jakie obiecywało przynieść zwycięstwo na sądzie sejmowym (4).

Z drugiéj strony i od Tatarów nie czuł się dwór zabezpieczonym. I tam bowiem sięgnął swoją intrygą marszałek, układający się w ostatnich czasach tak pokornie przed tronem. Miał on posyłać do hordy poufnego człowieka, którego zadaniem było nakłonić ją do zerwania ugody z królem. Była obawa, czy w. wezyr nie zechce wywrzéć nacisku na Tatarów: podejrzywano bowiem cesarza, że czynił o to starania w Konstantynopolu, że przestrzegał, z jak wielkiém to będzie połączone niebezpieczeństwem dla Turcyi, jeśli książe francuski zasiędzie na tronie polskim i w ten sposób Ludwik XIV groźnym się stanie istotnie potędze otomańskiéj. Kto wie, czy Porta nie da chętnego posłuchu takim podszeptom; zwłaszcza, że istniała dawna przepowiednia w pośród Mahometan, wskazująca na Francuzów, jako na przyszłych sprawców ruiny sułtaństwa. W ten sposób mógłby obiór Enghien'a na króla przysporzyć dwóch naraz nieprzyjaciół od południa: hordę i Turcyę (5).

Ogółem więc staje się sytuacya polityczna w przededniu sejmu zatrważającą i groźną. Nie można patrzéć dłużéj obojętnie — sądziła

(1) Przytoczyliśmy je na jednéj z poprzednich stronic.

(2) T. Luk. XII, k. 165. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 21 Novem. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 150. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 23 Octob. 664.— T. Luk. XII, k. 160. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novem. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 160 etc. (u. s.).—T. Luk. XII, k. 154. De Lumb. à Louis XIV. Vars. 30 Octob. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 165—6. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 21 Novem. 1664.

królowa — na przygotowania nieprzyjaciół, usiłujących podstawy dworu tajnemi chodnikami podminować.... A przedewszystkiém trzeba raz skończyć z tém długo wlekącém się przedsięwzięciem pozyskania armii, zwłaszcza że sprawa Lubomirskiego może się stać powodem nowych wśród niéj rozruchów. Nie ma innéj rady, jak, ile można najprędzéj, nie szczędząc pieniędzy, przekupić żołnierstwo dla sprawy francuskiéj, póki czas jeszcze, póki sprawa Lubomirskiego, wytoczona na sejmie, nie roznamiętni tłumów do reszty. A że myśli téj nie można było urzeczywistnić bez znacznéj sumy pieniędzy, przeto ucieka się Marya Ludwika znowu do Wersalu. Jeśli król zechce przysłać bezzwłocznie dwa miliony liwrow (co najmniéj tyle), to sprawa da się ubić z łatwością. Kilka razy powtarza de Lumbres w swoich depeszach te plany i te wygórowane żądania królowéj (1). Odpowiedź nie przychodziła jednak tak prędko, jak się spodziewano. Tymczasem Marya Ludwika modyfikuje już swoje żądania w ten sposób, żeby choć 300—400 tysięcy mogło być przesłanych jeszcze przed sejmem, ze względu na to, że dwóch milionów (jeśliby zostały wyznaczone) wypadnie raczéj użyć do samejże sprawy elekcyi (2).

Ludwik XIV pojmował ważność chwili równie dobrze jak królowa, jeżeli nie trafniéj i spokojniéj. Wiedział on dobrze, że zanosi się w Polsce na burzę i z góry pracował nad tém, aby dwór warszawski nie został zaskoczony niespodzianie i bez środków ratunku i obrony wobec bliskiego niebezpieczeństwa. W przekonaniu, że stronnictwo królewskie dosyć posiada siły, aby zniweczyć zbrojny opór marszałka wewnątrz rzeczypospolitéj, jeśliby oba mocarstwa, z nim sprzymierzone pomocy mu nie udzieliły, przygotowywał się głównie na wypadek interwencyi Austryi i Brandeburgii w sprawie Lubomirskiego i elekcyi. Bo w takim razie zachodziła obawa, że król polski nie zdoła wytrzymać przewagi przeciwników bez szczególnego z zewnątrz poparcia. Pierwszą rzeczą będzie zatém zapewnić Janowi Kazimierzowi gotowego sprzymierzeńca, a to mianowicie w Szwecyi. W tym też celu dostaje kawaler de Trelon, poseł francuski w Sztokholmie specyalną instrukcyę. Wkłada na tego posła Ludwik XIV obowiązek zwracania szczególnych ku temu starań, aby w razie potrzeby niezwłocznie na pierwsze żądanie króla nastąpić mogła wysyłka znacznego oddziału pomocniczego ze Swecyi do Polski (3).

---

(1) T. Luk. XII, k 151. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 23 Octobre 1664. Ibidem k. 154 De Lumbres à Louis XIV. Vars. 30 Octob. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 160. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 7 Novem. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 161—3. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 14 Novem. 1664.

Lecz i to dobrze rozumiał Ludwik XIV-go, że zanim układy z rządem sztokholmskim dojdą do kresu, powstać mogą w rzeczypospolitéj takie kolizye, z których wyjścia nie sposób będzie znaleść bez znacznych wydatków. Wiadome to było, że nie szczędził on nigdy skarbu, gdzie szło o ważną jaką sprawę. Mimo to żądanie królowéj przesłania dwóch milionów liwrów, sumy jak na owe czasy olbrzymiéj, musiało się mu wydać niezmiernie wygórowanem. Król francuski znał lepiéj niż kto inny wartość pieniędzy, tém bardziéj, że robił niemi wszystko: dla tego przy całéj swéj polityce, polegającéj głównie na przekupstwie, nauczył się i umiał kierować przy wydatkach rozumną powściągliwością i oszczędnością. To téż jakkolwiek oceniał wielką doniosłość wypadków bieżących w Polsce, nie większą przeznaczył sumę do rozporządzenia posłowi swemu i królowéj, jak 200,000 franków. Pieniądze te miał powieść do Warszawy Milet, marszałek polny wojsk królewskich i gubernator Châteaurenaud i Linchamps (1).

W instrukcyi, jaką otrzymał ten nowy wysłaniec, określone było wyraźnie i ściśle, na jakie cele pieniądz ten może i powinien być użyty (2). Przewidziane były trzy wypadki. Pierwszy: jeśliby marszałek zamierzał wystąpić przeciw królowi z bronią w ręku na czele wielkiego stronnictwa i wsparty uboczną, potajemną pomocą dworów niemieckich. Drugi, będący wynikiem naturalnym pierwszego: jeśliby Lubomirski próbował rzucić się wprost na stolicę królestwa, Warszawę, i zniewolił tym zamachem dwór i króla do ustąpienia na Prusy, których twierdze w złym miały znajdować się stanie. Trzeci: jeśliby Austrya i Brandeburgia wystąpiły do otwartéj walki z rzeczpospolitą. Na każdy z tych wypadków może suma 200,000 franków posłużyć jako fundusz do poczynienia nowych zaciągów, a w razie ostatecznym i do zaopatrzenia, naprawy i wzmocnienia twierdz pruskich (to jest wtedy, gdyby stronnictwo francuskie musiało aż tam szukać schronienia).

Dozwolono było zresztą zrobić z tych pieniędzy użytek i w innych ważnych, a nieprzewidzianych wypadkach: położył jednak Ludwik XIV nacisk na to, iż się spodziewa po rozwadze i wierności tak de Lumbres'a, jak Milet'a, iż postępować będą przy rozdawnic-

---

(1) T. Luk. XII, k. 164. De Lionne à M. de Lumbres. S. l., 14 Novem. 1664.— T. Luk. XII, k. 169. Louis XIV au roi de Pologne. S. l., 23 Novembre 1664. (En créance pour M. Milet). — Ibidem: Louis XIV, à la reine de Pol. S. l., 23 Novembre 1664. — Ibidem: Louis XIV à M. de Lionne. S. l., 23 Novem. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 170—3: „Memoire du roi pour servir d'instruction à Sr. Milet, s'en allant en Pologne." Paris 25 Novem 1664.

twie tego zasiłku z wielką powściągliwością i miarą, iż dopiero wtedy zeń zaczerpną, jeśli zajdzie potrzeba nieodzowna, to jest gdy w inny sposób nie będzie można zapobiec jakiejś wielkiéj klęsce, jakiemuś wielkiemu nieszczęściu. Musimy dodać, że Milet opuścił Paryż dopiero z końcem listopada, a w Warszawie stanął aż w styczniu, kiedy sejm główny zmierzał już do kresu. Na czas sejmu służyło do dyspozycyi de Lumbres'a tylko 50,000 franków, przysłanych posłowi jeszcze dawniéj, w pierwszych dniach października „dla zakupywania głosów polskich“ (1).

Wśród tych układów, starań i zabiegów czas mijał szybko i coraz bardziéj zbliżał się termin sejmu. Im bliższym zaś się stawał ten kres upragniony licznych piekących spraw i kwestyi, które zaprzątały całą rzeczpospolitą, tém większy ogarniał królowę niepokój, tém większa paliła ją gorączka działania (2). Nawet w samym prawie przededniu sejmu trapiła stronnictwo francuskie niepewność, czy przyjdzie takowy do skutku w terminie, z góry oznaczonym, czy téż będzie potrzeba odłożyć go na późniéj. Mówiono bowiem w Warszawie, że wielu znamienitych panów Wielkopolski nie myśli się stawić na sejmie tak długo, dopóki pozew na marszalka odwołany nie zostanie (3); a w takim razie z braku kompletu sejm by wypadło na jakiś czas przynajmniéj odłożyć. O odwołaniu zaś pozwu teraz nie mogło być nawet i mowy. „Jeśli się nam uda zgubić marszałka, to, zdaniem mojém, zrobimy więcéj niż połowę drogi do korzystnego zakończenia naszéj sprawy“ — powiada de Lionne w liście do de Lumbres'a (4), a zdanie ministra francuskiego dzieliła cała partya francuska w Warszawie, dzieliła i sama królowa.

Marya Ludwika nie przestaje i w ostatniéj chwili pracować nad tém wykończeniem długo gotowanego dzieła. Gromadzi, ile może świadków (5) przeciw marszałkowi, a widząc, że Lubomirski od zeznań powstrzymuje niektórych pieniądzem, otwiera takowym usta większemi jeszcze datkami. Aby pozyskać hetmana Sapiehę i jego stronnictwo, oddaje nareszcie podkanclerzemu litewskiemu Naruszewiczowi obiecane starostwo, o które, jak widzieliśmy, czynił przez pewnego poufnego jezuitę zabiegi. Tym razem ulubieńcy królowéj Michał Pac, hetman polny lit. i Denhof, wielki podkomorzy, musieli

(1) T. Luk. XII, k. 149. De Lionne à M. de Lumbres. S. l., 17 Octob. 1664.

(2) T. Luk XII, k. 165. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 21 Novembre 1664 „Plus nous nous approchons de la diète, plus la reine travaille à la faire reussir et *plus elle s'inquiète du succès et de suites, qui en peuvent arriver.*“

(3) Gaz. de France: De Warsovie, 18 Novembre. 1664.

(4) T. Luk. XII. k. 155. De Lionne à M. de Lumbres. Paris. 31 Octob. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 166. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 21 Novem. 1664.

zrzec się swoich pretensyi (obaj starali się o toż samo starostwo) i zawiedzeni ustąpić. Pac miał się wskutek tego zawodu tak urazić, że ledwie usilnym perswazyom wymownego posła francuskiego udało się gniew ten wybić z głowy ambitnego Litwina (1).

Równocześnie usiłowała królowa zaskarbić sobie przyjaźń Jana Zamojskiego, wojewody sandomierskiego, zawziętego dotąd stronnika marszałka. W tym celu pisała nawet do Paryża, aby przysłano do Polski d'Arquien'a, ojca Maryi Kazimiry, wojewodziny, sądząc, że tenże zdoła wpłynąć korzystnie na zięcia (2).

Aby dać miarę, ile ogółem kosztowała stronnictwo francuskie cała ta sprawa z Lubomirskim, powiemy, że wedle tego co podawała później królowa, na przekupienie senatorów i posłów przed sejmem i podczas jego trwania wyszło 250—300 tysięcy liwrów (3).

(*Dok. nast.*) *Wiktor Czermak.*

---

(1) T. Luk. XII, k. 166. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 21 Novem. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 163. Louis XIV à M. de Lumbres. S. l., 14 Novem. 1664.— T. Luk. XXXIII, k. 94. Condé [à M. de Noyers?]. 31/X, 1664.

(3) T. Luk. XIII, k. 1. De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 1 Janv. 1665.

STARE KŁAMSTWA I NOWE PRAWDY.

Max Nordau. Die conventionellen Lügen der Kulturmenschheit (wydanie XI). Paradoxe (wyd. II).

Kiedy w roku 1758 Helwecyusz wydał dzieło „De l'esprit“, w którém za podstawę moralności przyjmuje egoizm, pewna dowcipna francuska tak objaśniła powodzenie i rozgłos téj książki: „Helwecyusz wypowiedział otwarcie tajemnicę wszystkich.“ Naturalnie owo „wszystkich“ odnosiło się tylko do inteligentnéj mniejszości. Tak samo możnaby wytłómaczyć poczytność obu wymienionych w tytule dzieł Maxa Nordau, które w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu doczekały się kilku, chciwie rozchwytanych wydań.

Pierwsza z tych książek, opublikowana jeszcze na początku zeszłego roku, nie jest zapewne obcą naszym czytelnikom, dlatego ograniczymy się na krótkiéj o niéj wzmiance, a zajmiemy się głównie „Paradoksami“, jako nowością literacką.

W przedmowie do „Kłamstw konwencyonalnych“ autor zaznacza wyraźnie, iż pragnął odzwierciedlić przekonania wszystkich ludzi, stojących na wysokości cywilizacyi współczesnéj. Wszakże, powiada daléj, jeżeli niejeden doszedł samodzielnie do wniosków, jakie ja w mojéj pracy uzasadnić się starałem, to mało kto ma odwagę przyznać się do tego szczerze; tchórzliwość bowiem jest straszliwą chorobą epoki obecnéj. Myśl stoi w sprzeczności ze słowem, zasada z czynem. Ludzie oddają obłudną cześć przesądom, w które nie wierzą, szanują formy, z których treść dawno uleciała, jednem słowem popełniają na każdym kroku tysiące „kłamstw konwencyonalnych.“ I dla czego? Aby, jak powiadają, nie obrażać cudzych przekonań. — Fałsz! Nie tolerancya to zamyka nam usta, krępuje swobodę naszych postępków, ale obawa, tchórzostwo.

Czy taki stan rzeczy przysparza społeczeństwu szczęścia? Bynajmniéj. Nigdy chyba niezadowolenie powszechne nie objawiało się

tak silnie, jak dzisiaj, nigdy ludzkość, która jak Faust szuka ciągle prawdy i szczęścia, nie była równie oddaloną od tego, aby powiedzieć do chwili obecnéj: „wstrzymaj się—jesteś piękną!“ Świat cywilizowany podobnym jest do olbrzymiego szpitala. Zewsząd rozlegają się jęki, wszędzie tylko cierpienie, ból i łzy. Socyalizm, nihilizm, nienawiści polityczne i rasowe—to różne formy niezadowolenia z istniejącego porządku rzeczy. Toż samo niezadowolenie przebija się we wszystkich dziedzinach umysłowości ludzkiéj.

Romansopisarze i poeci, albo uciekają od rzeczywistości i wskrzeszają dawno zamarłą przeszłość, albo, jeżeli już zwrócą się do motywów współczesnych, malują teraźniejszość smutnemi, ponuremi barwami: z jednéj strony widzimy Ebersa i Taylora z drugiéj Zolę i jego adeptów.

W filozofii panuje pesymizm: Schopenhauer jest bogiem, a Hartmann jego prorokiem.

W polityce nikt nie pragnie utrzymania tego, co jest. Konserwatyści w ścisłém znaczeniu tego wyrazu nie istnieją wcale. Każdy chce iść naprzód albo w tył, dąży do rewolucyi postępowéj, lub reakcyjnéj. Cóż jest przyczyną tego okropnego stanu? Przepaść, rozdzielająca nasze poglądy na świat i życie od form, w jakie to życie odziewamy. Czas się już z tego otrząsnąć, czas nazwać kłamstwo—kłamstwem, a prawdę—prawdą. Dla tego uważałem za mój obowiązek napisać to, co napisałem. I gdyby wszyscy oportuniści, dyplomaci, kłamcy, obłudnicy poszli za moim przykładem, przekonaliby się, że liczba ich stanowi „legion“, że niepotrzebują już kłamać, gdyż są silniejszymi, i mogą, bez szkody dla siebie, postępować szczerze, uczciwie i konsekwentnie.

Po téj zwięzłéj, a śmiałéj charakterystyce przechodzi autor do krytyki pojedynczych stron życia społecznego. Najwpierw chłoszcze obłudę religijną. Ma on tutaj na myśli nie tę szczerą, naiwną wiarę mas, lecz ów konwencyonalny szacunek, ową kłamliwą cześć, jaką okazują ludzie inteligentni symbolom bez znaczenia. Tam nawet, gdzie nie istnieje przymus państwowy, uważają niektórzy za konieczność łączyć wszystkie ważniejsze momenta swojego życia z pewnemi tradycyjnemi obrządkami, które nie są ani lepsze, ani gorsze od ceremonii, opisywanych przez podróżników, zwiedzających kraje niecywilizowane; a jednak.... chociaż śmiejemy się z obrządków u dzikich, nie przeszkadza nam to zachowywać w analogicznych sytuacyach niewzruszonéj powagi. W tym samym uniwersytecie jeden profesor wykłada dzieje stworzenia zgodnie z poglądami Darwina i Haeckla, drugi zaś wygłasza teorye wprost przeciwne—i to nas bynajmniéj nie dziwi, ani nie śmieszy. A przecież nie może być

dwóch sprzecznych ze sobą, a jednak prawdziwych twierdzeń o jednym przedmiocie. Ba, gdyby na tém tylko kończyły się sprzeczności cywilizacyi dzisiejszéj! Monarchia konstytucyjna, nad którą autor w dalszym ciągu swéj pracy się zastanawia, do téj saméj kategoryi należy. Czyż istnieje coś więcéj nielogicznego nad określenie: „król z bożéj łaski i woli narodu.“ Władca z bożéj łaski nie potrzebuje dbać o „wolę“ narodu. Absolutyzm jest konsekwentnym, logicznym, konstytucyonalizm — kłamstwem. Do jakich rezultatów prowadzi stosowanie tego kłamstwa w praktyce? We Włoszech, w Anglii władza królewska jest tylko nominalną, w Niemczech równie nominalną jest władza parlamentu. Gdzież więc się podział konstytucyonalizm? Nigdy nie istniał, a jednak mówimy o nim w napuszonych frazesach, jak gdyby o czémś, co należy do krainy rzeczywistości.

Albo parlament, wrzekome wcielenie prawdziwych dążeń i woli narodu, czemże jest rzeczywiście, jeżeli nie areną egoistycznych walk o władzę i znaczenie, jeśli nie drabiną, po któréj szczeblach ambitni karyerowicze wdzierają się na wyżyny społeczne?

Nasze stosunki ekonomiczne stanowią także szereg kłamstw. Przemysł wzrasta kosztem rolnictwa. Źródłem wielkich bogactw jest wyzysk, spekulacya, a rzadko, bardzo rzadko praca osobista. Całe prawodawstwo, stworzone przez klasy posiadające, ich dobro, ich interes tylko ma na celu. Ubogi — to paryas społeczny; niedość że umiera z głodu, musi jeszcze w dodatku znosić pogardę ze strony uprzywilejowanych współobywateli. Mówi się wiele o tém, że praca uszlachetnia, lecz większość patrzy ze wstrętem, z lekceważeniem na zabrudzonych robotników, podczas gdy niejeden próżniak, pasorzyt, pieczeniarz niskie odbiera pokłony.

Tutaj autor przechodzi z dziedziny patologii w dziedzinę terapii społecznéj i rzuca kilka projektów poprawienia zła. Należy, podług niego, skierować część sił, zabsorbowanych obecnie przemysłem, ku rolnictwu, aby powiększyć ilość produktów spożywczych i zniżyć tym sposobem ich cenę. Trzeba podnieść poziom umysłowy robotnika. Państwo powinno urządzić zakłady, w których cała młodzież będzie kształconą i utrzymywaną do pewnego wieku bezpłatnie. Na cel ten posłużą pieniądze, wydawane dzisiaj na wojsko itd. itd. Wogóle autor, bardzo pesymistycznie usposobiony względem doby obecnéj, przeradza się w optymistę, skoro zacznie mówić o przyszłości i tworzy idealne plany, będące w niezgodzie z jego własnemi poglądami. Dla podniesienia moralnego stanu prasy np. proponuje, aby redaktorem mógł być tylko człowiek upoważniony do tego przez naród, a zapomina, co przed chwilą powiedział o wyborach i ich we-

wnętrznéj wartości, o głupocie i lenistwie wyborców, oraz o bezczelności wybieranych, którzy obiecują wprawdzie wiele, lecz nie dotrzymują nic.

Nordau jest na wskróś idealistą. Świadczą o tém nie tylko jego różowe poglądy na przyszłość. Idealizm przebija z poza namiętnych słów oburzenia, idealizm przenika całe dzieło, oparte na przypuszczeniu, *że* ludzie mogą i muszą być lepszymi, skoro tylko zrzucą z twarzy ohydną larwę kłamstwa, skoro zaczną poruszać się i rozwijać swobodnie. Przypuszczenie to wygłasza autor w rozdziale, którym, niby akordem nadziei, książkę swoją zamyka.

„*Paradoksy*“ stanowią jakby dopełnienie pierwszéj pracy Nordau'a. Autor rozbiera tutaj różne kwestye filozoficzne w sposób nadzwyczaj śmiały, bezwzględny, niedbając o uświęcone tradycyą zapatrywania. Stara się dociec, czém są w rzeczywistości utarte komunały, uznawane przez większość ludzi za pewniki. Walczy zatém nie z konwencyonalném kłamstwem, lecz z „konwencyonalną prawdą.“

Umysł ludzki, trawiony ciągle gorączką wiedzy, lecz posiadający ograniczone środki poznawania, lubi się łudzić i tworzy rozliczne teorye, hypotezy, systemy, które uchodzą za prawdę, chociaż są tylko jéj surogatem. Najciekawszym z pomiędzy tych wytworów człowieczego ducha jest *pesymizm*, owa nieubłagana, niszcząca krytyka wszystkiego, co istnieje.

Wszechświat, podług pesymistów, to nędzna, niedokładna machina, w któréj działaniu niepodobna dopatrzéć jakiegokolwiek celu i planu. Życiem ludzkiém rządzi brutalny przypadek. Moralność nie wpływa wcale na bieg, zarówno wielkich jak i drobnych wydarzeń. Zło tryumfuje nad dobrem; Aryman spycha Ormuzda ze schodów i śmieje się szatańsko, gdy ten ostatni złamie przytém rękę lub nogę. Dlaczego taki świat istnieje? Nie byłożby to zgodniejsze z rozsądkiem i moralnością, gdyby powrócił do nicości, z któréj się podobno wyłonił?

Jakaż naiwna zarozumiałość! Pesymizm przypuszcza, iż umysł ludzki jest najwyższym, najdoskonalszym tworem natury, że ogarnia on i pojmuje wszystko, że prawa jego stanowią zarazem prawa istnienia wszechrzeczy. Cóż nas jednak upoważnia do takiego twierdzenia, co nam daje prawo mierzyć zjawiska świata łokciem naszéj logiki? Mielibyśmy słuszność nazywać naturę głupią, gdybyśmy byli pewni, że ona dąży do jakiego określonego celu, ale już samo przypuszczanie celu wogóle jest zupełnie dowolném. Być może, iż tak *celowość*, jak i *przyczynowość*, to tylko procesy naszego myślenia, formy, które po za granicami ludzkiego mózgu nie istnieją wcale.

Doświadczenie uczy nas, że każdy akt myśli i woli ma swoją przyczynę. Wskutek tego przywykliśmy dopatrywać wszędzie i zawsze jakiejś przyczyny i stosujemy tę metodę nawet do zjawisk, które nie w naszém wnętrzu, lecz na zewnątrz nas się rozgrywają. Jeżeli jednak myśleniem ludzkiém rządzi prawo przyczynowości, nie wynika stąd jeszcze, aby rządziło ono wszechświatem. Gdyby młynek od kawy posiadał świadomość, wierzyłby święcie, iż przyczyną wszelkiego ruchu jest ręka kobieca, obracająca korbę. Pogląd ten byłby słusznym dla całego gatunku młynków, a mimo to błędnym w rzeczywistości. Taką samą wartość posiadają wszystkie nasze uogólnienia. Przyczyną wszelkich zjawisk w świecie może być sama materya, a celem samo zjawisko. Jeżeli natura innych celów i przyczyn nie zna, nie wolno nam jéj krytykować, nie wolno nazywać głupią.

Naiwniejszy jeszcze jest frazes o niemoralności przyrody. Zapewne, ze stanowiska etyki ludzkiéj może on się wydawać uzasadnionym i sprawiedliwym, ale przecież moralność nasza jest czémś ograniczoném w czasie i przestrzeni, wytworem dziejów, który zmienia swój kształt i barwę, na równi z sukniami i kapeluszami. Moralność nasza, to jedynie moralność białéj, chrześciańskiéj ludzkości XIX wieku. A nawet i w tych ciasnych granicach ileż sprzeczności i niekonsekwencyi! Potępiamy np. morderstwa popełniane przez indywidua, a chwalimy i uwielbiamy mordy masowe, jakich się dopuszcza naród względem narodu. Inne były zasady etyki przed nami, inne zapewne nastąpią po nas. I to, czego mój pradziad nie szanował, to, czego mój wnuk może nie uzna za słuszne, to ma być miarą moralności wszechświata? Wszystkie nauki dawno odrzuciły antropocentryczną teoryę kosmologii, wszystkie przestały uważać człowieka za główny, środkowy punkt przyrody, jedna filozofia trzyma się téj dziecinnéj zasady uparcie i twierdzi, że świat jest głupim, ponieważ w przyszłości zabraknie węgla kamiennego na opał, że jest niemoralnym, ponieważ Joanna d'Arc umarła na stosie. Jakże pesymistycznym musi być pogląd życiowy bakteryi, jeśli te umieją filozofować. Miotły, ścierki, gorąca woda, kwas karbolowy — ileż to plag, spadających zarówno na cnotliwą, jak i na występną bakteryę! A jednak to, co uprawnia pesymizm tych żyjątek, zwie się u nas pożytecznym postępem hygieny.

Nie, filozofii pesymistycznéj niepodobna traktować na seryo. Pesymizm, to tylko jedna z form niezadowolenia z ograniczoności ludzkiego umysłu. Pragnęlibyśmy pojąć mechanizm świata i, nie znajdując rozwiązania zagadki—bluźnimy. Uważamy się za panów stworzenia, a na każdym kroku spostrzegamy, że nasze panowanie nie

wiele warto. To nas wprowadza w zły humor. Ów zły humor, ujęty w ramy systematu filozoficznego zwie się pesymizmem. Dziecko, które wyciąga rękę do księżyca i płacze, nie mogąc go dosięgnąć, jest także pewnego rodzaju pesymistą; lecz pesymizm ten da się z łatwością ułagodzić cukierkiem.

Oprócz naukowego istnieje jeszcze pesymizm praktyczny, który nie rozumuje, lecz instynktownie odczuwa byt, jako coś przykrego, bolesnego. Źródłem tego objawu psychicznego bywa po największéj części chorobliwe zboczenie mózgowe. Umysł dotknięty podobném cierpieniem posiada zwykle złowrogi dar świadomości, fatalną zdolność analizowania swego smutnego stanu. Patrzy on ciągle na proces własnego rozkładu i zaabsorbowany tém okropném widowiskiem, traci do reszty zdrowy, spokojny sąd o rzeczach. Na mózgu takim, jak na oku oślepioném kataraktą, świat cały sprawia wrażenie czarnego, ponurego chaosu. Wszyscy wielcy poeci „Weltschmerzu“ byli organizmami psychopatycznemi. Lenau skończył w szpitalu waryatów, Leopardi cierpiał na zboczenie instynktu płciowego, a Heine dopiero wtedy sposępniał, gdy schnięcie mlecza pacierzowego zaczęło oddziaływać na mózg poety.

Ten rodzaj pesymizmu wkracza w dziedzinę szaleństwa, można go więc analizować, lecz niepodobna zwalczać argumentami logiki.

Bądź co bądź, pesymizm przedstawia jeden z największych tryumfów wyobraźni ludzkiéj nad rzeczywistością. Dowodzi on, że człowiek, pomimo silnego oporu ze strony natury, potrafi ją wepchnąć w kostyum odpowiedni do swego usposobienia. Jak ogrodnik przez obcinanie i wyginanie nadaje poczciwym drzewom dziwaczne kształty, tak filozof z faktów, nasuwających same wesołe myśli, wyciąga ponury pogląd na świat, i narzuca swój pesymizm naturze, która gardziołkami wszystkich ptasząt i kielichami wszystkich kwiatów wyśpiewuje i wydzwania *optymizm*. Aby to usłyszeć, nie koniecznie trzeba zbyt uważnie nasłuchiwać, dźwięk ten bowiem przenika nawet do uszu, zatkanych scholastyczną watą.

Tak, optymizm—to najpierwotniejszy instynkt, najgłówniejsza podstawa myśli i czynów ludzkich. Wszelkie staranie usunięcia z nas tego instynktu jest próżném, ponieważ stanowi on nieodłączną cząstkę istoty naszéj i tylko z nią razem zniszczonym być może.

Przypatrując się zblizka głównym skargom pesymizmu, dostrzeżemy łatwo, iż wypływają one z zuchwałéj pewności siebie i przypominają sobą owe troski, jakie wielkie bogactwo sprawia milionerowi. Gniewa nas brak celu we wszechświecie, albo raczéj niemożność poznania tego celu. Nie jestże jednak owo niezadowolenie

samo dowodem, do jak wysokiego stopnia rozwoju doszedł umysł ludzki? Jakże silną i zdrową musi być myśl, która może postawić sobie pytanie ostatecznego celu natury! A zanim człowiek dotarł do tego punktu, ileż radości, ileż rozkoszy duchowych doznał, rozwiązując po drodze coraz to trudniejsze problematy filozoficzne. Po co istnieje na świecie ból, pytają dalej pesymiści. Co za dzieciństwo, równające się prawie niewdzięczności! Gdyby bólu nie było, należałoby go wynaleźć. Ból—to jeden z najdobroczynniejszych, najużyteczniejszych darów przyrody! Przedewszystkiém, aby odczuć cierpienie, trzeba miéć wysoko rozwinięty system nerwowy, a przecież tylko za pośrednictwem tego systemu odbieramy wrażenia rozkoszy, których wcale zgładzić ze świata nie pragniemy. Zapytajmy histeryczki, dotkniętéj znieczuleniem całego ciała, czy jest ze swego stanu zadowoloną? Bynajmniéj. Nic ją wprawdzie nie boli, nic jednak nie sprawia jéj przyjemności. Znieść tego długo nie sposób, i nieraz chore witają okrzykiem szalonéj radości chwilę, w któréj zaczynają na nowo odczuwać ból. Prócz tego, ból odgrywa rolę naszego anioła stróża: on ostrzega o niebezpieczeństwie, on pobudza do walki, lub... do ucieczki. Ból jest także źródłem rozkoszy. Gdy cierpimy, staramy się uwolnić od cierpienia, wprawiając w działanie wszystkie, drzémiące w nas siły i zdolności, a proces ten, zwłaszcza kiedy dopniemy celu, rodzi nadzwyczaj przyjemne uczucia.

Ból i niezadowolenie—to główne czynniki postępu. Bez nich ludzkość stałaby wiecznie na jedném miejscu, bo ten tylko poprawia swoje posłanie, komu niewygodnie leżéć. Zresztą niezadowolenie stanowi argument raczéj na niekorzyść, niż na korzyść pesymizmu. Wszelka krytyka pesymistyczna jest rezultatem porównania rzeczywistości z ideałem i opiera się na milczącém założeniu, iż zło istniejące *może* przejść kiedyś w dobro. Czyż to nie optymizm najczystszéj wody? Prócz tego, każdy malkontent, tworząc w wyobraźni nowy, lepszy, idealny świat, cieszy się, pieści, szczyci swojem dziełem; tym sposobem niezadowolenie ze świata prowadzi do zadowolenia z samego siebie, czyli obdarza nas szczęściem. Słowem, zkądkolwiek wyjdziemy, gdziekolwiek podążymy—każda droga wiedzie do optymizmu. Nie znaczy to, aby świat nasz był, jak powiada dr. Pangloss, najlepszym ze światów możliwych, nie, ale najlepszy, czy najgorszy, wydaje on się ludzkości—dobrym.

O przykłady nietrudno.

Jakkolwiek poeta twierdzi, że życie nie jest najwyższém z dóbr, większość ludzi sądzi przeciwnie, mimo to jednak myśl o śmierci nikogo zbytecznie nie trapi. Dla czego? Bo śmierć jest złém koniecznem, a człowiek normalny łatwo się godzi z bezwględną konieczno-

ścią. Ale tam, gdzie pozostaje najdrobniejsza możliwość zmiany, lub usunięcia zła, gdzie lśni najmniejsza gwiazdka nadziei - tam optymizm ludzki wybucha z całą gwałtownością. Przypuszczenia, niedające się obliczyć nawet rachunkiem prawdopodobieństwa, wystarczają ludziom do budowania zamków na lodzie. Kto stawia na loteryi, sądzi że wygra, choćby szansa wygranéj była minimalną. Na 100 lekarzy jeden zaledwie zostaje znakomitością, a wieluż młodych ludzi wstępuje rok rocznie na wydział medyczny. Dla czego? Bo każdy z nich przy wyborze karyery ma na myśli tego jednego, któremu się udało, a nie owych 99-iu, którzy do niczego nie doszli.

Wszędzie i zawsze spotykamy to samo. *Dum spiro spero*—oto dewiza ludzkości. I tak być musi, gdyż optymizm jest objawem naturalnym, jedną z form, w jakich się uzewnętrznia tkwiąca w człowieku energia życiowa. Ruch, postęp, nadzieja, wytrwałość, życie—to tylko synonimy optymizmu.

Zarozumiałość wyradza pesymizm, zarozumiałość jest także przyczyną innego zjawska, a mianowicie pogardy, okazywanéj przez inteligentną *mniejszość* nieinteligentnéj *większości*. Kto tylko posiada szczyptę genialności, choćby taką tylko, jaka usprawiedliwia noszenie długich włosów—pomiata tłumem. Szkaradna niewdzięczność! Tłum to przecież uwydatnia swoją małością wielkość geniuszów, tłum wprowadza ich myśli w czyn. Tak, niewdzięczność, a zarazem niekonsekwencya. Każdy pragnie być oryginalnym, każdy chce się wyróżnić z motłochu i unika banalności, jak ognia, lecz w tym samym czasie każdy robi wszystko, co może, aby zyskać uznanie poklask tego pogardzanego tłumu i schyla kornie czoło przed jego potęgą. Czyż dążenie do popularności, poszanowanie opinii publicznéj itd. nie uświęca zasady: *vox populi, vox Dei*? Sprzeczność ta da się objaśnić biologicznie. W świecie organicznym działają dwa czynniki: bezwładność, zwana inaczéj dziedzicznością, i pierwotna siła rzutu, czyli energia życiowa. Pierwsza wytwarza gatunki, druga indywidua, pierwsza zaciera różnice, druga je rodzi.

Zdolność do spełniania funkcyi niezbędnych, funkcyi niższego rzędu, wspólnych całemu gatunkowi, otrzymuje organizm w spadku po przodkach, przeciwnie funkcye wyższe, wykonywane rzadziéj, jako mniéj potrzebne, nie podchodzą pod prawo dziedziczności i wymagają zdolności specyalnych. Zdolności te zależą od zasobu energii życiowéj danego indywiduum. Organizm obdarzony przeciętną ilością energii, może wykonywać tylko funkcye odziedziczone, czyli *banalne*, organizm bogaty w energię życiową zdolnym będzie do funkcyi nowych, *oryginalnych*. Ponieważ życie—to najwyższa funkcya materyi, przeto energia życiowa oraz jéj objaw zewnętrzny—orygi-

nalność, wzbudza mimowolny szacunek, imponuje wszystkim. Dla tego każdy pragnie uchodzić za milionera życiowości, a nikt za żebraka, każdy chce być oryginalnym, a nikt banalnym.

Z drugiéj strony znowu, najoryginalniejsze nawet indywiduum jest synem swego ojca, wnukiem swego dziadka itd., czyli należy do pewnego gatunku, od którego oderwać się nie może. Ta naturalna solidarność zmusza nas do ustępstw na rzecz większości, do liczenia się z jéj upodobaniem, jedném słowem do składania hołdów masie. Oryginalność, nieograniczona niczem subiektywnie, posiada obiektywne granice. Mój widnokrąg myślowy jest moją wyłączną własnością. Tutaj nie potrzebuję znosić niczego, co mi się nie podoba i mam prawo wyrzucić po za linię mego horyzontu bawełnianą szlafmycę sąsiada, która mi odbiera swobodny widok. Ulica jednak, miasto, kraj należy do wszystkich; tutaj, tyś moim bratem zacny filistrze, tutaj muszę się do ciebie stosować i robić tylko to, co ci nie sprawia przykrości, muszę być banalnym.

Faktycznym panem świata jest tedy filister. Głos jego decyduje we wszystkiém, co dotyczy stosunków rzeczowych, konkretnych, stanowi o formie urządzeń społecznych oraz o kierunku polityki. Czyż dla tego geniusz nie powinien wygłaszać myśli nowych, nie powinien dążyć do ich urzeczywistnienia? Przeciwnie. Tłum nie lubi wprawdzie nowości, odbiegających zbytecznie od przeciętnéj normy, gdyż przyswojenie ich sobie wymaga pewnego wysiłku, a ludzie są z natury leniwi. Systematyczny nacisk jednak zmiękcza twardą skorupę lenistwa, myśl nowa przenika powoli do mózgów i utrwala się tam przez częste powtarzanie. Funkcya początkowo trudna przechodzi wskutek ciągłego ćwiczenia w łatwą, automatyczną—i ludzkość robi jeden krok naprzód na drodze postępu.

Z tego nietrudno wyprowadzić wniosek, że tłum nie jest bezwzględnie głupim, bo choć nie dorównywa on inteligencyą najpotężniejszym umysłom epoki obecnéj, posiada jednak mądrość geniuszów epoki ubiegłéj, a jutro dopędzi geniuszów dzisiejszych. Oryginalność zatém i banalność mają tylko wartość względną. Wyjątek dąży do tego aby zostać prawidłem, typem. Geniusz tworzy modele, które ludzkość naśladuje, a które z chwilą kiedy przestaną być rzadkością, tracą cechę oryginalną. Banalność—to tylko znoszona oryginalność. Oryginalność—to, jak mówią Francuzi „pierwszy występ“ banalności. Uśmiechamy się litośnie, czytając jak poeta liryczny porównywa oczy swéj ukochanéj do gwiazd na niebie, a podziwiamy śmiałą obrazowość Lenaua, który mówi:

„Na swoich barwnych pieśniach
Skowronek pnie się w górę.“

A mimo to jednak pierwsze porównanie jest o wiele piękniejszém i głębszém od drugiego. Zestawienie oka z gwiazdą podnosi jego urok, urokiem jednego z najpiękniejszych fenomenów wszechświata, przypomina nieskończoność itd. Tymczasem przenośnia Lenaua daje nam tylko obraz barwnéj drabinki, po któréj pnie się skowronek, niby żabka zielona w słoiku, co może być ciekawém, ale nie jest ani pięknem, ani wzniosłém. Dla czegóż porównanie oczu z gwiazdami stało się banalném? Przez swą doskonałość. Metafora Lenaua, jako mniéj głęboka, nie spowszednieje nigdy. A więc banalność nie jest poprostu wczorajszą oryginalnością, ale jéj kwiatem, wyborem, szczytem. To, co było nietylko nowém, lecz zarazem pięknem, prawdziwém i dobrém—przeszło do potomności, jako wspólne dziedzictwo człowieczeństwa. Czołem przed banalnością!—to kwintesencya wszystkiego, co ludzkość po dziś dzień najdoskonalszego wytworzyć zdołała.

Opinia publiczna streszcza w sobie cały rozwój duchowy wieków ubiegłych, a dziki wrzask zgromadzeń ludowych składa się z głosów wielkich myślicieli, którzy przemawiają z głębi swych grobów przez zachrypnięte gardło szewca-polityka. Każdy utarty komunał, każdy bezmyślnie dzisiaj powtarzany frazes powstał ongi w głowie jakiegoś geniusza.

Geniusz, talent... te synonimy wielkości duchowéj, zasługują także, aby się przy nich zatrzymać. Co to jest geniusz, co talent? Jaka pomiędzy nimi zachodzi różnica? O ile się zdaje, następująca definicya będzie najdokładniejszą: talent, to *istota*, przewyższająca inne podobne istoty swoją biegłością w wykonywaniu pewnych znanych czynności; geniusz, to *człowiek*, który albo wynajduje nowe, albo téż zmienia, ulepsza, metodę wypełniania starych. Dlaczego dla określenia talentu użyto wyrazu „istota“, nie „człowiek.“? Ponieważ talent zdarza się i w świecie zwierzęcym. Kanarek, śpiewający lepiéj, niż inne kanarki, pudel, dający się lepiéj wytresować, niż reszta pudli—to wszystko talenta państwa zwierząt. Inaczéj rzecz się ma z geniuszem. Geniusz stanowi wyłączną własność ludzkości. Żadne zwierzęce indywiduum nie odkryje, nie utoruje—zwłaszcza świadomie—nowéj drogi dla rozwoju całego gatunku, a przecież na tém polega genialność. Różnica pomiędzy geniuszem i talentem jest więc raczéj jakościową, niż ilościową, bo chociaż ostatecznie jakościowość da się sprowadzić do ilościowości tj. do tego, że geniusz posiada to samo, co wszyscy, tylko w stopniu wyższym, doskonalszym, to jednak doskonałość owa odbiega tak znacznie od przeciętnego typu, iż wytwarza nietylko ilościową, lecz i jakościową różnicę. Wytrwała i usilna praca, w połączeniu ze sprzyjającemi okolicznościami, zrobi

z każdego normalnego człowieka—talent, geniusz swoją genialność przynosi ze sobą. Klawiatura jego umysłu posiada jednę oktawę więcéj, a tego żadna praca, żadna wytrwałość nie zastąpi.

Nie każdy organizm potrafi przerobić surowy materyał wrażeń na jasnookreślone myśli. „*Z pełni ludzkiego życia zaczerpnijcie tylko!*“ powiada Goethe w Fauście. Recepta jest dobrą, ale geniusz jedynie stosować ją może. Dla zwyczajnego człowieka owa „pełnia“ wydaje się „próżnią. Roztwiera on oczy i nic nie widzi, wyciąga rękę, aby zaczerpnąć—i nie chwyta nic. Inne oko, inną rękę posiada geniusz. Nietylko widzi on życie, ale je odtwarza, formując z wrażeń obrazy, które dają ludziom pojęcie o świecie. Człowiek przeciętny bowiem nie zna świata rzeczywistego, tylko jego odzwierciedlenie w oku geniusza. Jeżeli pewne zjawiska łączą się przed wzrokiem naszym w zamknięte grupy, to dla tego, że geniusz je tak ułożył i podzielił, jeżeli dostrzegamy pewien porządek w naturze, to dla tego, że geniusz ją usystematyzował. Rzeczy, objawy, których geniusz dotąd w swoim umyśle nie przetrawił, są nam zupełnie obce, przechodzimy koło nich nie widząc, nie czując i nie myśląc—nic. To wszystko dowodzi, że genialność ma źródło w zdolnościach wrodzonych, indywidualnych, wyjątkowych, których nabyć niepodobna. Zdolności te zależą, jak wiadomo, od rozwoju systemu nerwowego danéj osobistości. System nerwowy jest grupą organów, z których każdy spełnia właściwe sobie funkcye. Organy te zwiemy ośrodkami nerwowemi. Mówimy o wyższych i niższych ośrodkach, a klasyfikacya ta opiera się na charakterze wykonywanych przez nie funkcyi. Zdolności wspólne zwierzętom i ludziom uważamy za niższe, zdolności czysto ludzkie—za wyższe. Otóż, aby zostać geniuszem, musi człowiek posiadać, jeden lub kilka doskonale rozwiniętych ośrodków *wyższych*. Pamiętając o tém, łatwo uniknąć fałszywego stosowania epitetu „genialny,“ którym dzisiaj nad miarę szafują, obdarzając nim pierwszą lepszą osobistość, umiejącą zwrócić na siebie uwagę tłumu. Nazywają np. Liszta, Makarta, Dawisona geniuszami, a jednak każdemu z tych artystów do genialności daleko. Wyższość ich nad innymi polega na rozwoju bardzo nizkich ośrodków nerwowych. Aby się przekonać o tém, rozbierzmy pierwsze z tych pseudo-genialnych zjawisk.

Gra na fortepianie odbywa się za pomocą ruchu ramion, rąk oraz palców, wprawianych w działanie przez wolę, która ten ruch reguluje odpowiednio do wskazówek tak zwanego „słuchu muzykalnego.“ Dobry fortepianista zatém powinien posiadać następujące warunki: rozwinięty ośrodek słuchu muzykalnego, oraz ośrodek koordynacyi ruchów. Przewaga jednego lub drugiego ośrodka stanowi

o wartości artystycznéj muzyka. Wysoko rozwinięty słuch muzykalny, zdolny układać tony w nowe, oryginalne kombinacye, jest psycho-fizyologiczną podstawą genialnego kompozytora np. Beethovena. Takiż sam słuch w połączeniu z wysoko rozwiniętym ośrodkiem koordynacyi ruchów—tworzy indywiduum będące zarazem genialnym kompozytorem i bardzo dobrym wykonawcą, np. Mozart. Jeżeli pierwszy ośrodek jest doskonałym, lecz mimo to drugi przeważa—będziemy mieli jednego z tych muzyków, których kompozycye wtedy tylko całkowite sprawiają wrażenie, kiedy je wykonywa albo sam twórca, albo kiedy egzekutor stosuje się zupełnie do sposobu gry kompozytora. Do takich należą: Szopen, Rubinstein. Wreszcie, nadzwyczajnie rozwinięty ośrodek koordynacyi, przy słuchu, przewyższającym trochę przeciętną normę—daje znakomitego wirtuoza, lecz zaledwie miernego kompozytora, jak Liszt, nazywany niesłusznie geniuszem. Podstawę jego indywidualności artystycznej stanowi, jak powiedziano, silny rozwój ośrodka koordynacyi ruchów. Ośrodek ten jednak należy do niższych, gdyż spotykamy go i u zwierząt; zręczne ruchy i sztuki ekwilibrystyczne małp np. świadczą o wysoko rozwiniętéj koordynacyi. W świecie ludzkim znowu koordynacya w połączeniu z pewną odwagą i siłą daje akrobatę lub klowna cyrkowego, koordynacya ze zdolnością szybkiego oryentowania się daje fechtmistrza, a nakoniec koordynacya ruchów kończyn dolnych, przy niejakim słuchu muzykalnym—tancerza. I gdzież tu miejsce na genialność? Jeśli wirtuozom gry fortepianowéj nadamy miano geniuszów, to jak nazwiemy Beethovena?

Nietylko więc stopień rozwoju danego ośrodka, lecz i jakość jego decyduje o genialności. Nawet pomiędzy geniuszami istnieje hierarchia. Najwyższym darem ludzkiego umysłu jest zdolność wnioskowania, sądu, czyli zdolność tworzenia nowych pojęć i wyobrażeń przez odpowiednią kombinacyę starych. Do wprowadzenia w czyn, do urzeczywistnienia tych wyobrażeń potrzeba koniecznie *woli*. Człowiek zatém, posiadający doskonale rozwinięty sąd i wolę, będzie najwyższym geniuszem, jednym z tych, którzy zmieniają oblicze świata. Wola sama do gienialności nie wystarcza. Indywiduum, obdarzone jedynie silną wolą, tylko pod umiejętnym kierunkiem zdziała coś wielkiego. Herkules wykonał 12 prac, ale wykonanie ich polecił mu Eurysteusz. Przez wolę można zostać znakomitym ministrem genialnego monarchy, albo, jak to częściéj bywa, nieśmiertelnym władcą genialnego ministra, albo w najgorszym razie sławnym rozpustnikiem i złoczyńcą, jak np. Cezar Borgia. Przeciwnie, wysoko rozwinięty ośrodek sądu, daje geniusza, nawet przy słabéj lub średniéj woli. Filozofowie, matematycy i wogóle wszyscy wielcy myśliciele teoretyczni są geniuszami sądu.

Niższą kategoryę geniuszów stanowią poeci, malarze, muzycy, jednem słowem artyści. Dla czego? Aby odpowiedzieć na to pytanie musimy znowu zaczepić o psychologię. Nie wszystkie wrażenia zewnętrzne rodzą w naszym duchu jasne, wyraźne myśli, przeciwnie, większa część tych wrażeń dochodzi do świadomości w formie zamglonych, niepewnych obrazów i uczuć, czyli tak zwanych „wzruszeń.“ Wzruszenia są w rzeczywistości organizowanemi myślami, to znaczy myślami, które, czy to wskutek dziedziczności, czy téż wskutek częstego powtarzania zrosły się niejako z ustrojem, które powstają w człowieku nawpół-automatycznie, przy bardzo małém natężeniu z jego strony. Inaczéj się odbywa działalność zupełnie świadomego myślenia. Tutaj automatyczność nie wchodzi w grę; umysł musi pracować, i to pracować ze świadomością, od początku do końca procesu psychicznego tj. od przyjęcia z zewnątrz wrażenia, aż do zamiany go na jasno określone pojęcie. Mało kto bywa zdolnym do takiego wysiłku, dla tego téż większość przeciętnych ludzi nie zna wcale myśli, tylko wzruszenia.

Pomimo, albo może wskutek swéj niejasności, wzruszenia działają na świadomość naszą w sposób bardzo przyjemny, najpierw dla tego, że, jak powiedziano wyżéj, przychodzą one z łatwością, bez pracy, powtóre dla tego, że drażnią wyobraźnię, a wyobraźnia jest bez kwestyi najprzyjemniejszą funkcyą świadomości. O ile jednak rozkosznie działa wzruszenie, o tyle myślenie męczy. Otóż, sztuki piękne, których cel stanowi wzbudzanie uczuć przyjemnych, opierają się głównie na wzruszeniu. Przykład nam to objaśni. Poezya uważa starą średniowieczną ruinę za coś pięknego, a nową, porządnie zbudowaną fabrykę za coś brzydkiego, prozaicznego. Z jakiéj przyczyny? Ponieważ widok starego zamku rycerskiego wywołuje w fantazyi naszéj mnóstwo wyobrażeń, z któremiśmy się zżyli od dzieciństwa, do których mamy wrodzone, odziedziczone upodobanie, podczas gdy fabryka jest czémś względnie nieznaném, obcém, trudniejszém do pojęcia i osądzenia. Innemi słowy, ruina wywołuje w nas wzruszenie, fabryka—pobudza nas do myślenia. Na téj saméj zasadzie stary dyliżans i pocztylion z trąbką będzie sprawiał wrażenie poetyczne, lokomotywa i konduktor kolejowy—prozaiczne. Wogóle cały aparat poezyi, jéj język, metafory, porównania, wszystko to wypływa ze wzruszeń i rodzi wzruszenia; poeci chętniéj mówią, o zbrojach, niż o mundurach żołnierskich, chętniéj o straszliwym smoku, niż o bakcylusie cholerycznym. Kiedyś, w przyszłości, wyobrażenia myślowe staną się zapewne przez dziedziczność, wzruszeniowemi i przejdą do słownika poezyi. Dzisiaj jednak nie uzyskały one jeszcze pelni praw obywatelskich w krainie piękna.

Główne źródło wszelkich wrażeń estetycznych stanowi zatém wzruszenie, które jako czynność nawpół-automatyczna jest niższe od myślenia, czynności zupełnie świadoméj. Stąd łatwy wniosek, że geniusz-artysta stoi niżéj od geniusza myśli i czynu.

Pomiędzy artystami pierwsze miejsce zajmuje poeta, którego twórczość wymaga w znacznym stosunkowo stopniu działalności myślowéj, ostatnie—muzyk, jako geniusz przeważnie wzruszeniowy.

Kogo dziwi umieszczenie muzyki na stopniu najniższym, ten niech pamięta o tém, iż jest to jedyna sztuka, odczuwana, a nawet uprawiana przez zwierzęta. Kanarka, lub kosa można nauczyć jakiejś melodyi, ale niechże kto sprobuje wytłómaczyć mu piękności „Fausta“, albo „Madonny sykstyńskiéj!“

Mówiliśmy już wyżéj, że geniusz—to przewodnik ludzkości na drodze postępu. Wytwarza on nowe idee, nowe dążenia i cele, a masa go *naśladuje*. Indywidua normalne, czyli talenta, śpieszą krok w krok za geniuszem; indywidua, niedobiegające przeciętnéj miary, postępują wolniéj i z większą trudnością. Czy jednak wyraz „naśladuje“ dostatecznie objaśnia stosunek mas do geniuszów? Niezupełnie. Przykład i naśladownictwo, to przyczyna i skutek, lecz gdzież jest nić, która je łączy ze sobą? Rozbiór jednego z najnowszych odkryć psychologii, ułatwi nam odpowiedź na to pytanie. Chcemy tu mówić o zjawisku *poddawania myśli* (*suggestio*). Zjawisko to występuje najsilniéj w wypadkach chorobliwych, a mianowicie przy hypnotyzmie. Osoba hypnotyzująca może poddawać osobie hypnotyzowanéj myśli i uczucia, którym ta ostatnia najzupełniéj ulega. Myśl poddana działa niekiedy i po wyjściu ze stanu hypnotycznego. Jeżeli np. hypnotyzujący powie do medium: jutro, o téj a o téj godzinie, zrobisz to a to, i następnie zbudzi je ze snu, przebudzony nie będzie nic wiedział o rozkazie, lecz spełni go w oznaczonéj porze. Przyczyny tego objawu nauka dotąd nie wyjaśniła, możliwość jednak podobnych doświadczeń nie podlega wątpliwości.

W stanie hypnotycznym przybiera poddawanie myśli formę bardzo wyraźną, krańcową, w warunkach normalnych działa ono mniéj wyraźnie, ale zawsze działa. Londyńskie Towarzystwo Psychologiczne opublikowało rezultaty doświadczeń, które dowodzą, że jedna osoba może pobudzić drugą do czynów li tylko za pośrednictwem myśli, bez używania słów, lub innych znaków porozumiewania. Pewien człowiek np. obmyśla jakąś cyfrę, a drugi ją pisze na tablicy i t. p. Opierając się na tych faktach, czyż nie mamy prawa przypuścić, że poddawanie myśli odgrywa wielką rolę w życiu duchowém ludzkości? Bardzo prawdopodobnie myśli i czyny każdego człowieka są wynikiem myśli i czynów innych ludzi. Milion cichych,

niedosłyszalnych głosów przenika ciągle do wnętrza naszego ducha i wywołuje tam zmiany, rodzi uczucia, pragnienia.... Rzecz prosta, iż organizm silniejszy trudniéj będzie przyjmował cudze myśli, niż ustrój słabszy, dla tego téż pojęcia, zapatrywania umysłów silnych, czyli geniuszów nadają ton poglądom danéj epoki i tworzą to, co nazywamy „duchem czasu.“ Niekiedy jednak i geniusz nie zdoła się oprzéć jakiejś powszechnie uznanéj idei, jakiemuś dążeniu, które porusza serca całego narodu. Pochodzi to stąd, że suma tych słabych pojedynczo pobudek przewyższa największą nawet siłę indywidualną.

Naturalnie, obok nieświadomego, potężny wpływ na ludzkość wywiera również poddawanie myśli świadome, na które składają się czynniki wychowania, otoczenia, przykładu i t. d.

Teorya poddawania tłómaczy także wiele innych zjawisk życiowych.

Co to jest np. charakter narodowy? Ściśle mówiąc, naród nie posiada żadnego charakteru, gdyż każde nowe pokolenie niepodobném bywa do poprzedzających. Dowodów na to nie brak w historyi. Naród angielski około 1830 roku odznaczał się wyuzdaną rozpustą i cynizmem, dzisiaj jest on obłudnie pobożnym i moralnym, etykietalnym, sztywnym. Poprzednia generacya Niemców tonęła w romantyczności i sentymentalizmie, lubiła marzyć i wzdychać; Niemiec współczesny posiada wiele zmysłu praktycznego, ceni głównie siłę brutalną i chętnie jéj używa. Czyż „charakter“ może się tak zmienić w przeciągu kilku dziesiątków lat? Nie, bo téż charakter ten nie istnieje wcale. a to, co wyróżnia pewien naród z pomiędzy innych, jest skutkiem poddawania myśli przez jednostki, stojące na czele tłumu. — Konfucyusz stworzy naród tchórzów, Napoleon naród rycerzy i zwycięzców.

Tak samo da się objaśnić pewna jednostajność fizyognomii u mieszkańców wielkich miast. Paryżanin, Berlińczyk, Wiedeńczyk— są to skończone, określone typy. Typowość ta nie bierze źródła we wspólności pochodzenia, boć przecież na ludność miejską różne składają się pierwiastki. Nie, — to wspólne podleganie jednéj i téj saméj suggestyi wyradza owe zadziwiające podobieństwo moralne.

A olbrzymi wpływ literatury poetycznéj na życie, czyż nie dowodzi potęgi poddawania myślowego? Stosunek literatury do życia polega wprawdzie na oddziaływaniu wzajemném, bez wątpienia jednak pierwsza jest stroną dominującą.

Romansopisarz, czerpiąc nawet materyał z rzeczywistości. wybiera zawsze tylko fakty niezwyczajne, wyjątkowe. i nadaje im w opracowaniu poetyczném jeszcze bardziéj wyjątkowy charakter.

Na tém ogranicza się wpływ życia na beletrystykę; oddziaływanie w kierunku odwrotnym jest znacznie większém. Bo pomyślmy tylko w jak ciasnych, powszednich warunkach przebywa większość ludzi. Wielkie, potężne namiętności, wyczerpujące walki uczuć, straszliwe zwątpienia — wszystko to pozostałoby dla przeciętnego człowieka obcém na wieki, gdyby nie było na świecie romansów i powieści. Ale powieści istnieją, ludzie je czytają i, co gorsza, wierzą ślepo w to, co przeczytali. Jakiż stąd rezultat? Społeczeństwo wzoruje swoje ideały na postaciach bohaterów romansu i stara się im upodobnić. Naturalnie, indywidua słabsze, mało rozwinięte, jak młodzież, kobiety i t. d. podlegają temu popędowi naśladowniczemu łatwiéj, niż mężczyźni, jakkolwiek i tych ostatnich porywa niekiedy siła ogólnego prądu. Po ogłoszeniu „Cierpień młodego Wertera“ pojawiła się w Niemczech epidemia samobójstw. Byron obdarzył świat całym zastępem demonicznych młodzieńców, o bladéj twarzy i tajemniczym wzroku.

Gdyby te wzory były przynajmniéj zdrowe, prawdziwe! Niestety! Literatura poetyczna—to zbiór chorobliwych historyi, to spis zboczeń nerwowych, to muzeum rzadkości.

Ten patologiczny charakter przebija nawet w gazetach, które najchętniéj opisują mordy, pożary, procesy, trzęsienia ziemi i t. p. sensacyjne zdarzenia. Ktoby chciał sądzić życie z książek i gazet, musiałby przypuścić, że świat cały zamieszkują tylko zbrodniarze i waryaci. Zkąd to pochodzi? Po części z winy publiczności, która wymaga ciągle nowych, silnych i niezwyczajnych wrażeń, poczęści zaś z winy autorów, którzy obserwują głównie zepsutą, zdenerwowaną ludność wielkich miast i podług niéj kreślą figury swoich powieści.

W cóż się obrócił, pod wpływem téj nieszczęsnéj literatury, jeden z najważniejszych popędów naturalnych, jeden z najgłówniejszych czynników rozwoju społeczeństwa, w co się obróciła *miłość!* Żadne chyba uczucie ludzkie nie zostało tak skrzywioném, żaden objaw psychiczny nie podpadł takiemu zwyrodnieniu. Doszło już do tego, że społeczeństwo oburza się po prostu na ludzi, uważających miłość za zjawisko przyrodnicze. Kto, mówiąc o miłości, nie przewraca oczu z zachwytem, kto nie śpiewa na jéj cześć namiętnych dytyrambów, ten jest bezdusznym cynikiem i świętokradzcą. Nie wolno tego uczucia rozbierać chłodno, spokojnie, naukowo, nie— trzeba kochać, aby mieć prawo analizowania miłości. Za pozwoleniem! Wszak można mówić o głodzie, nie będąc głodnym, a o strachu, nie bojąc się niczego, można więc mówić i o miłości nie czując jéj wcale. Zresztą analizy zakochanych rzadko są dokładne, gdyż

tylko nieinteresowany obserwator może być zupełnie bezstronnym. Właśnie dlatego, że uczucie to należy do najpotężniejszych i najgłówniejszych, powinniśmy przystępować do jego rozbioru spokojnie, odsuwając na bok wszystko, coby na trzeźwość naszego sądu niekorzystnie oddziałać mogło.

Miłość jest funkcyą naturalną, zawisłą od właściwego ośrodka nerwowego. Ośrodek ów zaczyna swą działalność z chwilą dojścia danego indywiduum do dojrzałości płciowéj i wywiera mniéj lub więcéj silny wpływ na cały organizm. Wpływ ten objawia się subiektywnie jako popęd, albo tęsknota miłosna. Jeżeli dwie tak nastrojone osoby różnéj płci spotkają się z sobą, owa tęsknota może przejść w uczucie miłości. *Może przejść*, ale nie koniecznie *przechodzi*, gdyż przejściu temu muszą towarzyszyć pewne okoliczności. Każde zdrowe indywiduum ludzkie odczuwa nawpół bezwiednie, jakim warunkom powinno odpowiadać indywiduum płci odwrotnej, aby módz wzbudzić uczucie miłości, czyli, mówiąc krócéj, każdy człowiek posiada w umyśle mniéj albo więcéj jasny obraz swego ideału miłosnego. Otóż skoro ten ideał napotkamy w rzeczywistości, tęsknota miłosna przechodzi w miłość. Czasami jednak możemy się mylić, biorąc za nasz ideał to, co nim nie jest, wtedy zwykle następuje rozczarowanie i uczucie stygnie.

Celem miłości jest utrzymanie gatunku, a ponieważ każda z obu płci inną przytém odgrywa rolę, więc miłość kobiety musi się do pewnego stopnia różnić od miłości mężczyzny.

W pracy nad zachowaniem gatunku główny udział bierze matka, wskutek tego miłość ma dla kobiety nierównie większe, niż dla mężczyzny, znaczenie. Z téj przyczyny kobieta nie jest kochliwą, nie łatwo obdarza kogoś uczuciem, gdyż wszelka pomyłka może sprowadzić dla niéj szkodliwe skutki, ale jeżeli znajdzie odpowiedni ideał, przywiązuje się doń nadzwyczaj silnie, głęboko i trwale. Mężczyzna, ryzykując względnie nie wiele, kocha łatwiéj, słabiéj, częściéj popełnia błędy w wyborze i nie odznacza się stałością. Oto w krótkich słowach historya naturalna miłości, ale miłości zdrowéj, normalnéj.

Czyż jednak miłość podobna istnieje wśród ludzi, których umysł spaczonym został przez literaturę poetyczną? To bardzo wątpliwe. Uczucie nazywane pospolicie miłością nie z przyrodzonych wypływa popędów. Jest ono naśladownictwem niezdrowych i fałszywych obrazów, poddawanych publiczności przez romansopisarzy i autorów dramatycznych. Chorobliwy sentymentalizm, melancholia, kapryśność, ekstazy miłosne, a nawet rozpusta i zbrodnie, należą, w pojęciu większości do koniecznych akcesoryów tego uczucia. Kobieta,

istota skłonna z natury do uważania miłości za jedyny cel życia, utwierdza się jeszcze w tém mniemaniu, czytając opisy zaciętych walk o posiadanie ukochanéj. Jéj wrodzona zarozumiałość wzrasta wskutek tego do najwyższego stopnia i przechodzi w samoubóstwianie. Mężczyzna ma dla niéj wartość o tyle, o ile zdolnym jest do miłości i to miłości sentymentalnéj, chorobliwéj. Człowiek zdrowy i silny, który po za uczuciem inne jeszcze posiada cele, który nie traci zmysłów z miłości, lecz kocha spokojnie, uważanym bywa za prozaicznego, za sceptyka, egoistę, jednèm słowem za naturę niższą. W wyborze swoich ideałów kierują się współcześni nie potrzebą, tkwiącą w samym organizmie, lecz wyobrażeniami nabytemi z zewnątrz. Ztąd błędy, rozczarowania, smutki i t. d., a wszystko to odbija się w końcu na dzieciach, czyli na gatunku. Przez zwyrodnienie miłości, wyrodnieje człowiek, gdyż tysiące nici łączy to uczucie z najrozmaitszemi objawami fizycznego i duchowego życia ludzkości.

Że łączność podobna istnieje nawet tam, gdzie trudno ją było przypuścić, przekonywają o tém rezultaty najnowszych badań. Herbert Spencer np. dowodzi w swojéj „Biologii“, że tak zwane poczucie estetyczne można sprowadzić w części do objawów instynktu płciowego. To wszystko bowiem, co sprzyjało rozwojowi i zachowaniu gatunku sprawiało przyjemne, pociągające wrażenie i skrystalizowało się powoli w pojęcie piękna. W tych kilku wyrazach tkwi zarodek przyrodniczéj nauki o pięknie, czyli estetyki ewolucyjnéj.

Dotąd estetyka, jak i moralność była głównie przedmiotem badań metafizycznych, wychodzących z zasady stałości badanych objawów, nie troszcząc się, nie pytając o ich rozwój i początek. Ponieważ zmysł estetyczny w obecnym jego kształcie nie ma ani widocznéj przyczyny, ani wyraźnego użytecznego celu, stu filozofów, począwszy od Platona, a skończywszy na Maurycym Carrière, zaczęło szukać tego celu i téj przyczyny w świecie nadzmysłowym. Tymczasem cały aparat metafizyki raczéj zaciemnia niż rozjaśnia pojęcie piękna, które da się wytłómaczyć daleko prościéj na zasadzie teoryi ewolucyjnéj.

Wszystkie wrażenia estetyczne mają jednę wspólną cechę, a mianowicie działają na nas w sposób przyjemny. Pięknèm zatém jest to, co jest przyjemném, przyjemném zaś to, co *jest* lub *było* kiedyś użytecznem dla jednostki, lub dla gatunku. Istnieją więc dwa źródła piękna: instynkt zachowawczy indywiduum, oraz instynkt zachowawczy gatunku, czyli miłość. Stosownie do tego objawy piękna można podzielić na dwie kategorye: do pierwszéj należą wrażenia, potęgujące wewnętrzne poczucie naszéj świadomości, naszego „ja“, do drugiéj wszystko, co, czy to wprost, czy pośrednio, przez koja-

rzenie się pojęć, działa na ośrodek nerwowy popędu płciowego. Zamęt, chaos—są to wrażenia nieestetyczne. Dla czego? Bo, jako rzeczy niezrozumiałe, budzą w nas pewną nieśmiałość i obawę. Ład, porządek, działają przyjemnie, gdyż zjawiska te dadzą się łatwo ogarnąć umysłem i dla tego nie tracimy wobec nich pewności siebie. Ruch, światło, rozmaitość—to *piękne* objawy *życia*; spokój, jednostajność, ciemność — to *brzydkie* symbole *martwoty*, *śmierci*. Piękną jest młoda kobieta, pięknėm dziecko, pięknėm wszystko, co wywołuje lub przypomina uczucia miłosne. Wiosnę uważamy za najpiękniejszą porę roku, bo wtedy budzą się ze snu twórcze siły natury.

Przykładów podobnych możnaby znaleść niemało. A piękno artystyczne, a sztuka?—mógłby kto zapytać. Sztuka naśladuje tylko naturę, nic więcėj. Naśladownictwo ogranicza się wprawdzie czasem na symbolizmie, czyli na podaniu kilku najbardziėj charakterystycznych cech danego zjawiska, to jednak nie zmienia postaci rzeczy, wyobraźnia bowiem potrafi sobie resztę „dośpiewać.“ O, bo wyobraźnia widzi nawet to, czego niema! Estetyka mówi wiele o symetryi, a tymczasem ani jedno ciało w przyrodzie nie jest symetrycznėm. Żaden kryształ, żaden listek, żadne zwierze nie da się podzielić na dwie zupełnie równe i identyczne połowy. Zawsze i wszędzie istnieją mniėj lub więcėj znaczne zboczenia od planu, narzuconego naturze przez człowieka. Dla czegóż jednak człowiek narzuca przyrodzie swoje szematy i plany? Pochodzi to z niedokładności narządów myślenia i dostrzegania. W każdym zjawisku zwracają naszą uwagę tylko pewne wydatne rysy, i podług nich jedynie sądzimy o danym przedmiocie, nie dbając o to, że posiada on także inne, niemniėj ważne, choć pominięte przez nas cechy. Patrząc np. na kryształ soli kuchennėj, o trzech równych i trzech nieregularnych płaszczyznach, dostrzegamy przedewszystkiėm to, co jest w nim prawidłowego i, nie troszcząc się o resztę, nazywamy kryształ *sześcianėm*. Ależ on bynajmniėj sześcianem nie jest! Nic nie szkodzi, odpowiadamy, nie jest, ale *powinien* być. I owo „powinien“ zadawalnia nas najzupełniėj. Podobną metodę stosujemy na każdym kroku. Uogólnianie—to dowód słabości, lecz zarazem i siły naszego umysłu, gdyż obok złudzeń daje nam ono także wiedzę. Bądź co bądź, złudzenia przeważają, bo i wiedza nasza ma wartość tylko subiektywną, względną. Aby się o tėm przekonać, dość rozebrać pierwsze lepsze pojęcie, pierwszą lepszą naukową, lub życiową prawdę.

Istnieje np. cała szkoła uczonych i mężów stanu, którzy twierdzą z całą powagą, że *narodowość*—to wymysł mody, to „szwindel“, zawracający ludziom chwilowo głowy i niemający żadnėj wewnętrz-

néj racyi bytu. Jeżeli ludzie ci wierzą w to, co mówią, należy się litować nad ograniczonością ich umysłu. Kto jednak patrzy jasno i trzeźwo rozumuje, ten musi dojść do przekonania, że obudzenie się poczucia narodowego występuje w pewnych okresach rozwoju ludzkości, jako objaw zupełnie naturalny i konieczny. Przytłumić, zdławić, zniszczyć go niepodobna, jak niepodobna uspokoić wzburzonych fal morza, albo przygasić światła słonecznego.

Co jest podstawą narodowości? O tém mówiono i pisano wiele. Niektórzy kładą nacisk na pierwiastek antropologiczny, czyli pochodzenie Teorya ta nie wytrzymuje krytyki. Bo, jakkolwiek każda główna rasa ludzkości różni się znacznie od innych, pomiędzy podziałami jednéj i téj saméj rasy zbyt wielkich różnic dopatrzéć trudno. Próby wynalezienia przeciętnych typów narodowych nie mają żadnéj naukowéj wartości. W każdym narodzie rasy kaukaskiéj spotykamy indywidua o wąskich i szerokich czaszkach, o czarnych lub niebieskich oczach; blondyni i bruneci istnieją zarówno na południu, jak i na północy Europy. Przyrodnicze różnice zatém redukują się prawie do zera. Pozostają różnice wyrobione sztucznie przez wpływy wychowania, otoczenia, poddawania. Te jednak, jako zmienne, nie mogą tworzyć podstawy narodowości. Francuz wychowany pośród Niemców, stanie się Niemcem i odwrotnie. Jeden z najznakomitszych poetów niemieckich, Chamisso, urodził się we Francyi i w dzieciństwie swojém mówił tylko po francusku. Profesor berlińskiego uniwersytetu, Michelet, francuz z pochodzenia, posiada wszystkie cechy charakteryzujące filozofa niemieckiego. Kto się ośmieli powiedziéć, że Ulbach nie jest typowym francuzem, a Gabriel Rossetti typowym anglikiem? Słowem, pochodzenie nie robi jeszcze człowieka członkiem tego, lub owego narodu. A więc na czém opiera się narodowość? Na wspólnéj przeszłości historycznéj, na wspólnych prawach i rządzie, odpowiadają inni badacze.

Tak. A więc dla czegóż Rusin galicyjski nie chce być Polakiem, a Finn Szwedem, chociaż łączy ich od wieków wspólność historyczna i państwowa?

Nie, pochodzenie, historya, są to czynniki drugorzędne. Główną podstawę narodowości stanowi *język* i tylko *język*. On to milionem splotów, milionem ogniw wiąże, przykuwa nas do pewnego społeczeństwa. Za pośrednictwem języka poznajemy myśli, dążenia, cele naszych współbraci, przez język stajemy się spadkobiercami wielkich geniuszów, poetów, wodzów, nauczycieli narodu.

Język — to dusza, to umysł, to wiedza, słowem to cała wewnętrzna istota człowieka. Dla tego wspólność języka łączy ludzi stokroć silniéj niż wspólność krwi, niż wspólność praw i dziejów.

Ludzie, co spotykając się poraz pierwszy, zamieniają powitanie w ojczystéj mowie, są mniéj dla siebie obcy, niżeli dwaj bracia, którzy nie znają jednego języka. Anglicy i Amerykanie Północni wiedli nieraz ze sobą wojny, a jednak w stosunku do innych narodów uważają się oni za członków jednego plemienia. W 1870 r. Belgia sympatyzowała z Francyą. Norwegia długo jęczała pod duńskiém jarzmem, zrzuciła je w końcu z radością i nie miała żadnego obowiązku wdzięczności względem swych ciemiężycieli, a mimo to podczas wojny o Szlezwig-Holsztyn mnóstwo Norwegów śpieszyło na pomoc duńczykom, z którymi nic ich nie łączy oprócz języka.

To *nic* jest właśnie *wszystkiém*. — Kto, żyjąc spokojnie pośród współplemienników, nie potrzebował nigdy wyrzekać się ojczystéj mowy, ten nie ma wyobrażenia o bolesném uczuciu, jakie przytém pierś człowieczą ogarnia. Co znaczy pozbawienie praw i przywilejów wobec pozbawienia mowy? Czém są kajdany, na rękach i nogach, w porównaniu z więzami, krępującemi język? Człowiek chce mówić, a każą mu się jąkać, chce działać, a odbierają mu najważniejszy środek działania. Takie ubezwładnienie, taki przymus gorszym jest od śmierci. Dobrowolnie nikt się na coś podobnego nie zgodzi, nikt bowiem nie chce utracić swéj indywidualności, swojego „ja." Co warto życie bez jednego z najgłówniejszych jego atrybutów, bez mowy, bez możności uzmysławiania pojęć i uczuć wewnętrznych? Hindus, który się rzuca pod kamienne koła wozu Dżaggernaut, umiera, wierząc, że ożyje; człowiek zaś, który przyjmuje dobrowolnie obcy język, umiera, nie mogąc nawet liczyć na zmartwychwstanie. Jeżeli robi to przez słabość, tchórzostwo, głupotę — zasługuje na litość; jeżeli jednak wyrzeka się swojéj osobistości dla zysku — można nim tylko pogardzać!

Na szczęście, ci dezerterzy, ci rzezańcy moralni stanowią wszędzie mniejszość. Masy przywiązane są do swego języka, jak do życia.

Perswazya nie nakłoni nikogo do położenia głowy pod topór gilotyny; prawa nie odbiorą rozwiniętym duchowo narodom języka. I tu i tam namowę musi poprzéć siła, a na siłę odpowiada się siłą, gdyż walka o język, to jedna z form ogólnéj walki o byt. Naród, który zdoła uchronić swój język od zagłady, nie zginie; naród, nieumiejący, lub niemogący uczynić tego, musi się na śmierć gotować.

Ignacy Matuszewski.

ZE STOSUNKÓW EKONOMICZNYCH.

Szkic stosunków włościańskich w Księstwie Poznańskiém.

II.

Prawodawstwo agrarne, funkcyonujące obecnie w państwie pruskiém bierze początek w trzech edyktach królewskich, dotyczących reformy stosunków włościańskich, wydanych w latach 1807, 1811 i 1850.

Wprawdzie już w zeszłym stuleciu kilkakrotnie w sferach rządowych podnoszono konieczność ulżenia ciężarów pańszczyźnianych ludowi, oraz ukrócenia samowoli i nadużyć baronów niemieckich.

Tak nap. już w r. 1719 wyszło rozporządzenie o zniesieniu pańszczyzny w dobrach królewskich; w 1739 zakazano wypędzania włościan z osad, przez nich zajmowanych; w 1744 wzbroniono wcielania gruntów kmiecych do posiadłości rycerskich. Lecz wszystkie te rozporządzenia pozostawały martwą literą, gdyż potężna szlachta umiała zawsze ich wykonaniu przeszkodzić.

Pierwszym krokiem na drodze rzeczywistego wyswobodzenia stanu włościańskiego z niewoli średniowiecznéj był dopiero edykt królewski z dnia 8 października 1807 roku.

Oto są główne zasady edyktu tego:

„Z ogłoszeniem dzisiejszego rozporządzenia, opiewa § XI, ustaje dotychczasowy stosunek poddaństwa tych poddanych, którzy swe osady prawem wieczystém posiadają.“ § XII zaś stanowi: „Od dnia św. Marcina 1810 roku znosi się zupełnie poddaństwo w całém państwie. Po tym dniu niema już innych krom wolnych ludzi, którzy jednak, jak się samo przez się rozumie, wszelkie zobowiązania, jakie na nich jako wolnych, czy to wskutek posiadania ziemi, czy téż wskutek osobnych układów, ciężą—wypełniać powinni.“

Wreszcie § X stanowi: „od dnia ogłoszenia dzisiejszego edyktu nie mogą być stworzone żadne nowe stosunki poddańcze, skutkiem ożenienia, urodzenia lub kupna osady włościańskiéj.“—Jednocześnie zniesiono istniejące oddawna ograniczenia prawa władania ziemią, na mocy których włościanin ani mieszczanin nie mógł posiadać gruntów szlacheckich itp.

Jednak prawo z roku 1807, podobnie jak i poprzednie, pozostało po większéj części tylko martwą literą. Potężne wpływem u dworu i rozporządzające obfitemi środkami „szlachetne rycerstwo“ państwa pruskiego potrafiło wyjednać cały szereg ustępstw, które obracały w niwecz najpiękniejsze plany reform, w duchu demokratycznym podjętych. Prawodawstwo waha się ciągle to w tę to w drugą stronę. Nowe rozporządzenia ograniczają, lub wprost cofają dawniejsze. Oprócz tego, prawo z roku 1807 zdjęło z włościan tylko *de jure* średniowieczne więzy feudalizmu. Lecz nie zmieniło ono w niczém faktycznie istniejących stosunków rolnych. Prawo własności, tak zw. „dominium directum,“ pozostało nadal przy szlachcie.

W dniu 14 września 1811 wyszedł w Prusach drugi edykt królewski w sprawie włościańskiéj. Zawiera on rozporządzenie „o ustanowieniu prawidłowych stosunków między właścicielami a włościanami“ i drugie „o lepszéj uprawie roli.“ Na mocy pierwszego, włościanie posiadający ziemię na prawie dzierżawy wieczystéj (tj. w tych wypadkach, w których osady przechodziły z ojca na syna dziedzicznie) stawali się zupełnymi właścicielami gruntów po zapłaceniu panu ustanowionego wykupu. Jednocześnie miały ustać wszelkie prawa i służebności, z których włościanie korzystali na gruntach dominialnych. Dla polubownego uregulowania stosunków pozostawiono termin dwuletni, poczém miało być przeprowadzane z urzędu.

Edykt zaś o „lepszéj uprawie roli“ stara się wprowadzić w życie panujące podówczas w teoryi nauki ekonomicznéj doktryny szkoły manchesterskiéj.

Znosi więc wszelkie ograniczenia prawa własności, utrudniające przechodzenie ziemi z rąk do rąk, a to w nadziei, iż—zgodnie z teoryą ekonomiczną „laissez faire, laissez passer,“—ziemia trafi zawsze w ręce, najbardziéj uzdolnione do należytego jéj wyzyskania. Podzielając wstręt ekonomistów owoczesnych do wszelkiéj wspólności i do starodawnych urządzeń gminnych, prawodawca znosi służebności; daléj, stosując się do zasady nieograniczonéj własności indywidualnéj dozwala dzielenia ziemi do nieskończoności oraz swobodnego przekazywania jéj w drodze spadku, darowizny, posagu itd. Lecz z prawem tém powtórzyła się znowu ta sama historya,—co z poprzedniém; już w roku 1816, dnia 29 maja, pod wpływem reakcyi, wycho-

dzi nowe rozporządzenie, ograniczające moc prawa z roku 1811 tylko do większych osad włościańskich Jednocześnie szlachta pruska wymogła, ażeby załatwienie sprawy pozostawiono wyłącznie dobrowolnéj ugodzie stron; a następnie, ażeby wykup powinności przez włościan odbywał się bez wszelkiéj interwencyi ze strony rządu. Zrozumiano aż nadto dobrze, iż to ostatnie ustępstwo odwlecze reformę całą na długie lata. Ponieważ przytém władza patrymonialna pozostała nadal w ręku większych właścicieli (1), zachowali oni więc przy sobie głos decydujący jako rozjemcy i sędziowie w téj sprawie.

W takich warunkach lud oczywiście niewiele mógł się spodziewać od reformy. To też nic dziwnego, iż wlekła się ona prawdziwie żółwim krokiem. Dość powiedzieć, iż od czasu edyktów do roku 1838 w całém ówczesném państwie pruskiém zawarli włościanie z właścicielami zaledwie 42.702 umów; ziemia objęta temi umowami wynosiła 4.979.992 morgów magdeb., co stanowiło na ogólną ilość ziemi w Prusach, około 5,5%!

Dopiero pod wpływem wypadków z r. 1848 rząd ujrzał się zmuszonym do energiczniejszego wdania się w tę sprawę. W r. 1850 wydano ponownie prawo o wykupie robocizn i powinności, przyczém wykonanie wykupu ułatwiono przez ustanowienie tak zw. „Rentenbanków.“ Wypłata miała się odbyć listami zastawnemi banku, włościanie zaś spłacać mieli zaciągnięty dług w ciągu lat 41, lub 56 (zależnie od stopy procentu: 4$^1/_2$% lub 5%). Jednocześnie zakazano spłaty powinności włościańskich ziemią, co się przedtém praktykowało na wielką skalę. Chwila już jednak była spóźnioną. Przez lat kilkadziesiąt właściciele wielkich posiadłości, obawiając się ciągle interwencyi rządowéj, rozpoczęli na nowo proces wywłaszczenia włościan, praktykowany w całych Niemczech zarówno jak i w Polsce przez kilka wieków ubiegłych. Część ziemi już przedtém odeszła od włościan jako wynagrodzenie za powinności, służebności itd. Odebrano włościanom osady, które posiadali czasowo na pierwszą wieść o regulacyi (w Meklemburgu zniesiono w ten sposób około 10.000 gospodarstw włośc.). Słowem, kilka milionów włościan wyzutych z ojcowizny—taki był pierwszy rezultat reformy włościańskiéj w Prusach.

W księstwie Poznańskiém regulacyą stosunków włościańskich rozpoczęto w roku 1823, na mocy prawa z dnia 8 kwietnia tegoż roku. Ludność włościańska księstwa rozpadała się wtedy na cztery główne

(1) W Prusach ziemia podzieloną była na 2 części, Gutsbezirk,—dominium, oraz ziemie gminne. Na 1-em władzę sądową i administracyjną sprawował sam dziedzic. Na 2-ej sołtys dziedziczny, w imieniu i pod kontrolą właściciela.

kategorye. Przedniejszą część włościan stanowili tak zwani *kmiecie*, posiadający ślad całkowity czyli 75—100 morgów 300-prętowych. Daléj szli *pół-ślednicy*, (pół-chłopy i ćwierć—chłopy w powiecie Wschowskim) mający gruntu po 40—60 mórg. Trzecią kategoryą stanowili chałupnicy (30—25 mórg), wreszcie czwartą zagrodnicy (10—12 mórg). Liczba kmieci była już wtedy nader ograniczoną, wskutek poprzednich ciągłych uszczuplań gospodarstw włościańskich na rzecz folwarcznych. Zaledwie w dobrach duchowych kategorya ta posiadała jeszcze pewną liczbę przedstawicieli. W dobrach szlacheckich bywały osady półślednicze; lecz najliczniejszą była klasa *chałupników*. W myśl litery prawa, rozciągającego ustawodawstwo argarne na księstwo Poznańskie, wszystkie osady powyższe, jako pańszczyźniane i dziedziczne, uledz miały regulacyi i wykupowi powinności. Lecz w Księstwie zarówno jak i w państwie całém, sprawa pozostawiona dobrowolnéj umowie posuwała się powoli. Potrzeba było nowego rozporządzenia z d. 10 lipca 1836 aby ją przyśpieszyć. Postanowiono więc na początek poddać wykupowi obowiązkowemu wszystkie osady włościańskie, z których odbywała się pańszczyzna ciągła (sprzężajna), lub dla uprawy których potrzebną była przynajmniéj para wołów lub koni, a dopiero w roku 1850 rozpoczęto uwłaszczanie pozostałéj części ludu wiejskiego. Prawo poznańskie korzystnie wyróżniało się od funkcyonujących w innych częściach państwa, tém iż według niego uledz miały regulacyi wszystkie osady, zarówno posiadane dotąd prawem wieczystém, jak i czasowém, za piśmienną umową, lub nawet ugodą ustną, czy zwyczajową. Zresztą zasada ogólna regulacyi była ta sama co w reszcie państwa (§ 1, 107, 108, 109).

Przedewszystkiém ustanowiono prawidła dla ścisłego obliczenia wzajemnych praw i zobowiązań. Tak mianowicie ze strony dziedzica wzięto w rachubę:

1) prawo *dominium directum*;

2) czynsze dotychczas przez włościan uiszczane;

3) robociznę ciągłą lub pieszą, jaką włościanie odrabiali w ostatnich trzech latach, oszacowaną albo według liczby dni roboczych, albo według ilości roboty dokonywanéj;

4) wszelkie daniny, *osepy* i dziesięciny, obliczone na żyto;

5) służebności, jakie przysługiwały dziedzicom na gruntach włościańskich, pastwiskach, lub wodach (rybołówstwo);

6) *laudemia* czyli jednorazowe opłaty, pobierane od włościan przy obejmowaniu gospodarstwa lub zmianie właścicieli;

7) wreszcie 4% od wartości załogi czyli inwentarza dworskiego, mającego pozostać przy osadzie.

W ten sposób więc obliczano sumę praw rzeczowych dziedzica. Z tego potrącano na korzyść włościanina:

1) wynagrodzenia, jakie włościanie w pewnych okolicznościach otrzymywali od dworu;

2) zapomogi i ulgi w razie klęski;

3) podatki,—o ile je uiszczał dziedzic;

4) czysty dochód z ziemi, odebranéj włościanom przy regulacyi; wartość odjętych służebności pastwiska, opału, ściółki; ciężar naprawy budynków przez dwory ponoszony;

5) czysty dochód z ziemi, odebranéj włościanom przed regulacyą;

6) 4% od wartości inwentarza odebranego włościanom na rzecz dworu. Z porównania dwóch tych pozycyi wynikała różnica, którą mieli uiścić włościanie ziemią, inwentarzem, zbożem, lub pieniędzmi. Tak więc ściśle ocenione obowiązki dziedzica względem poddanego i odwrotnie, i wartość ich wyrażona w formie pieniężnéj—stały się podstawą likwidacyi i zupełnéj indemnizacyi obustronnéj. Widzimy więc, iż przytém wszystkiém włościanie nie doznali żadnéj ulgi faktycznéj. Było to na rachunku oparte rozwiązanie stosunków pańszczyznianych, bez zmiany faktycznéj strony rzeczy. Wszelkie ciężary, jakie dawniéj samowolnie na chłopów nakładano, teraz wypłacić musieli i uwolnić się od nich nie mogli inaczéj, jak wykupując się pieniędzmi. Przeciwnie zaś, policzono na *debet* włościanom wszelkie te ulgi, lub zapomogi, jakie dwór z konieczności rzeczy w stosunkach pańszczyznianych wyświadczać im musiał. Ekonomiści usprawiedliwiali naukowo postępowanie powyższe, tworząc *ad hoc* teoryą, mniéj więcéj następującego zakroju: lud nigdy własności nie miał; od czasów niepamiętnych osiedlany był już na ziemiach szlacheckich; wszelkie powinności, jakie odbywał obecnie, były przez niego dobrowolnie na się przyjęte; słusznie więc, jeżeli chce się od nich uwolnić, że wykupić się musi i całą ich wartość dziedzicom spłacić. Pytania zaś o faktyczném prawie ludu do ziemi ojczystéj nie podnoszono wcale (1).

I znowu umowa miała być dobrowolną; same strony powinny były określić wysokość wynagrodzenia i formę, w któréj miało być wypłaconém.

Jedyném ograniczeniem było postanowienie, by właściciel, wybierając wynagrodzenie ziemią, nie mógł w żadnym razie wziąć więcéj nad połowę gruntu i to tylko wtedy, gdy część pozostała była dostateczną dla zatrudnienia pary wołów. Również nie mogły uledz

(1) Przypomina to bardzo teoryą wygłoszoną u nas przed paru laty przez p. W. Przyborowskiego.

alienacyi zabudowania włościanina z domem i ogrodem. Zakazano też zachowania520 robociny, którą tylko czasowo, nie dłużéj jak na lat 24 (!) pozwolono zostawić, przy czém nie miała ona przenosić 3 dni z osady na tydzień, z wyjątkiem żniw, w czasie których mogła być podnoszoną do dni sześciu.

Dobrowolną umowę swoję strony miały przedstawił do zatwierdzenia pośredniéj władzy powiatowéj, złożonéj z 1 obywatela, wybranego przez dziedziców okolicy i 1 biegłego wyznaczonego przez landrata (naczelnika powiatu) z liczby 3-ch kandydatów przedstawionych przez włościan.

Gdyby zaś umowa nie mogła dojść do skutku, wtedy sprawa przechodziła z urzędu do władzy wyższéj. Władzą tą były ustanowione przez rząd już w r. 1817 komisye generalne, składające się z komisarza generalnego, jego zastępcy, prawnika i innych urzędników częścią sądowych, częścią administracyjnych, mianowanych przez ministeryum spraw wewnętrznych. Od komisyi generalnéj służyła apelacya do komitetu rozpoznawczego, składającego się z członka sądu wyższego jako prezesa, dwóch radców tegoż sądu i dwóch radców regencyi; komitet ten posiadał władzę sądową i zarazem administracyjną, co do wykonania powziętych uchwał na gruncie.

Po oznaczeniu przez biegłych, według prawideł opracowanych dla każdéj okolicy, wartości zobowiązań zobopólnych, które wyżéj wyszczególniliśmy—przedstawiano stronom rezolucyę komitetu i nie wprowadzano jéj w wykonanie dopóki nie nastąpiła zgoda. Każdy mógł żądać sprawdzenia mapy i szacunku drogą sądu polubownego. Koszta zaś separacyi ponosiły strony.

Taką to drogą dawne urządzenia pańszczyzniane w Księstwie ustąpiły miejsce nowożytnéj liberalnéj organizacyi stosunków rolnych. Przywrócona swoboda osobista i swoboda własności stały się podstawą nowéj ery. Włościanin uzyskał prawo żenienia się bez pozwolenia dziedzica, prawo przenoszenia się z miejsca na miejsce, prawo dzielenia i przekazywania własności, wreszcie prawo kupowania gruntów dominialnych; lecz za te wszystkie „prawa“ utracił część ojcowizny, został pozbawiony całkowicie wszelkich służebności leśnych i pastwiskowych, wreszcie część pozostałą ziemi i zniesione powinności pańszczyzniane ciężko opłacić musiał.

Jeżeli więc teraz przypomnimy sobie, jakie mianowicie strony ujemne organizacyi stosunków rolnych w Księstwie uderzyły nas w poprzedniém badaniu, to dla każdéj z nich łatwo nam będzie wskazać źródło w sposobie przeprowadzenia reformy włościańskiéj, który poznaliśmy.

Tak, przedewszystkiém widzieliśmy wyżéj, iż lud poznański cierpi najmocniéj na niedostatek ziemi, że uposażenie jego gruntowe jest w ogóle szczupłém, że wreszcie nawet kategorya lepiéj pod tym względem postawiona, znajduje się w jakiejś dziwnéj zawisłości ekonomicznéj, fatalnie popychającéj ją do ruiny. Zapytajmy teraz, czy rezultat mógł być innym tam, gdzie włościanie stracili znaczną część ziemi jako wynagrodzenie i wykup za powinności pańszczyzniane; gdzie odbierano ludowi oprócz tego drugą część téj ziemi za długi i zobowiązania, zapomogi dworskie, *laudemia*, służebności, wreszcie za wszelkie przewinienia i pod pozorem nieumiejętnego prowadzenia gospodarki (1).

Do uszczuplenia gruntów kmiecych przyczyniły się oprócz tego niektóre postanowienia prawodawcze, dotyczące podziału gruntów gminnych, komasacyi, usunięcia szachownic itd. Budowle włościan przenoszono z miejsca na miejsce, często na grunta niewykarczowane i nieuprawne. Zagospodarowywanie się na nowo, przeprowadzanie rowów, płotów itd. wszystko to pochłonęło masę sił i kosztów. Wielu obywateli posiadało na gruntach włościańskich służebności, za które również zostali niezwłocznie wynagrodzeni (2). To téż w tym okresie własność wielka zwiększała się ogromnie kosztem włościańskiéj (3).

Nie bez słuszności więc pewien badacz stosunków pruskich wyrażał w tym czasie obawę, „iż z obecném prawem naszém po kilku pokoleniach zniknie klasa włościańska, a kraj cały podzielony zostanie na wielkie folwarki i zaludniony ubogą ludnością wyrobniczą“ (4).

Drugą ujemną stroną obecnego położenia ludu w Księstwie jest, jak widzieliśmy, znaczna stosunkowo ilość ludności bezrolnéj. I ten fakt także nie trudno nam zrozumiéć i przyczynę jego wskazać. Najprzód, jak wiemy, reforma w Prusach klasy téj nie dotknęła wcale.

---

(1) „Zwłoka regulacyi stosunków włościańskich naprowadziła wielu dziedziców na myśl wyzyskania jéj na swoją korzyść. Pod ladajakim pozorem spędzali włościan, z gruntów, żeby tém mniéj stracić obszaru, skoro chwila regulacyi nadejdzie.“ (Dr. Łebiński: Kółka rolniczo-włościańskie w księstwie Poznańskiém, str. 9).

(2) Ustanowiono nawet w Prusach specyalną komisyą dla wykupu służebności dworskich (Auseinanderversetzungcomission). Że operacya ta dużo kosztowała włościan, widać z tego, iż w królestwie pruskiem skutkiem działalności téj komisyi uwolnionych zostało od służebności 1.500.000 włościan i 14 mil. hektarów. (Laveleye: La Prusse Contemporaine).

(3) Adam Krzyżtopór: l. c. str. 221. W całém państwie własność wielka wzrosła w ciągu lat 1836—58 o 2.503.063 morg.

(4) Lavergue-Peguilhen: Die Landgemeinde in Preussen.

Natomiast szeregi jéj wzrosły wskutek nowego wywłaszczenia. Szczególnie zaś szkodliwém dla ubogiéj ludności wiejskiéj okazało się obowiązkowe znoszenie wszelkich wspólnot gromadzkich, łąk i pastwisk (1). Często bardzo prawo utrzymania krowy na łące wspólnéj lub pary owiec na gromadzkiém pastwisku było ważnym środkiem utrzymania licznéj klasy komorników, zagrodników itd. Z pozbawieniem téj dogodności warstwa ta powiększyła szeregi proletaryatu i ludności najemnéj.

W istocie, jak już wspomniano, właśnie od roku 1850 rozpoczyna się wzrost ludności bezrolnéj Księstwa. Cena najmu w tym czasie znacznie spadła, przytém ogólne warunki pracy parobków i najemników uległy pogorszeniu (2).

Następnie, jak widzieliśmy, trzecią biedą ekonomiczną włościan w Poznańskiém jest straszne zadłużenie ich własności rolnéj. I znowu zapytajmy, czy mogło być inaczéj, jeżeli państwo, pozostawiając wykup powinności samym włościanom, nie postarało się jednocześnie o stworzenie odpowiednich instytucyi i o szerokie uprzystępnienie kredytu. W braku zaś takowego brał chłop u żyda na spłatę ziemi, przy któréj chciał pozostać; brał na zagospodarowanie się, gdy mu skutkiem separacyi przyszło przenosić chatę na nowe miejsce; brał wreszcie na najem łąk, lub kupno drzewa, których mu raptem zbrakło po zniesieniu służebności. I odtąd też zakwitła w Księstwie działalność téj „*Wechselreiterei*“, któréj czyny bohaterskie poznaliśmy wyżéj.

Zupełne pominięcie zasady samorządu gminnego przy przeprowadzeniu reformy w Prusach, było również błędem kardynalnym a dla włościan w skutkach fatalnym. Władza policyjna i administracyjna pozostała w ręku dziedziców. Nie pomogło nawet ustanowienie w Poznańskiém wójtów rządowych, gdyż jak słusznie twierdzi T. Potocki: „niewłaściwie, żeby dziedzic sam był sędzią w swéj spra-

---

(1) Dziś zaledwie ślady tych wspólności gdzieniegdzie się przechowały. Nathusius wspomina o łąkach i pastwiskach wspólnych w Ostrzeszowskiém. W posiadaniu gmin pozostają jedynie kawałki roli, przeznaczone dla szkoły, kowala, stróżów nocnych i in. urzędników.

(2) „Z kawałka ogrodu i komory w budynku dworskim odrabia komornik dziś tyle lub nawet więcéj niż dawniéj gospodarz z zagrody“—pisał T. Potocki w r. 1859 (l. c.). Dzisiaj położenie parobków dworskich uległo pewnéj zmianie na lepsze, jeżeli wierzyć danym, jakie przytacza p. Śniegocki w artykule o księstwie Poznańskiém w Encyklopedyi Rolniczéj (Tom III, str. 899—910). Parobek taki pobiera rocznie: 12 szefli żyta, 6 jęczmienia, 4 grochu, 2 gryki, 2 owsa; dostaje prócz tego pół morgi ogrodu, morgę w polu pod kartofle, dwa zagony pod len i dwa pod kapustę; wreszcie trzyma krowę na pastwisku dworskiém.

wie, lecz stokroć gorzéj kiedy sędzią jest człowiek, będący w kieszeni dziedzica. W pierwszym razie sama przyzwoitość, sam wstyd zmusza go przynajmniéj do umiarkowania; w drugim może bezkarnie puścić wodze namiętnościom i chciwości." — Sejmy prowincyonalne, — pozbawione w Prusach wszelkiego znaczenia i których uchwały zmieniać może każdy landrat, — nie mogły też wziąć włościan w opiekę; zresztą sejm poznański na 50 posłów posiada tylko ośmiu od włościan. Solidarność gminna, samorząd włościański nie tylko nie zostały stworzone, lecz cały charakter reformy utrudnia na długie lata w przyszłości wytworzenie tych cennych pierwiastków wśród ludu. Widzieliśmy, iż charakterystyczną cechą stosunków włościańskich w Księstwie jest ogromna różnolitość klasy włościańskiéj. Istniejące w niéj dawniéj różnice zamożności przez reformę zostały jeszcze powiększone i utrwalone. Dziś oczywiście mało być może wspólnego pomiędzy właścicielem osady 300 morgowéj, a bezrolnym najemnikiem przerzucanym z miejsca na miejsce. Tworzą się więc wśród włościaństwa kasty, odgraniczone ściśle sposobem życia, zamożnością, nawyknieniami. Wyrabia się antagonizm, niezmiernie szkodliwy dla przyszłego rozwoju społecznego; wnosi to pierwiastek waśni i niezgody do stanu, który w przyszłości jeszcze tyle solidarności i ducha społecznego potrzebować może. I ten więc nabytek — w innych krajach polskich mało jeszcze uczuwać się dający — reformie pruskiéj zawdzięczać musimy.

Zauważmy w końcu, że chociaż skutkiem pewnych specyalnych okoliczności, w których księstwo Poznańskie rozwijać się musiało, upadek gospodarstw włościańskich występuje w niém być może jaskrawiéj, niż w innych częściach monarchii pruskiéj, niemniéj przeto jest on powszechnym, a więc już dlatego jednego nie może być wyłącznie przypisywanym ani rasowym, ani religijnym właściwościom naszego ludu. Cyfry dowodzą, iż zwiększanie się obszaru własności wielkiéj, ubytek gospodarstw sprzężajnych, zadłużanie własności włościańskiéj — wszystko to ma miejsce w całych Prusach (1).

---

(1) Oto niektóre dane: w r. 1836 było w Prusach dóbr rycerskich 12.015, obszar wynosił 25.046.936, przeciętnie 2.083 morgów; w roku 1858 dóbr: 12.827, obszar wynosił 27.550.000, przeciętnie 2.148 mor. W ciągu więc lat 20-stu własność wielka wzrosła o 2.503.063 morgów. W latach od 1816 do 1859 ogólna ilość gruntów włościańskich zmniejszyła się w Prusach o 1.760.000 morg. Gospodarstw sprzężajnych liczono:

w roku 1816 — 354.607, obszaru 34.425.731 morgów,
„ 1859 — 344.737 „ 33.498.433 „

W czasie tym ubytek więc wynosił 6.820 gospodarstw o 927.198 morgach. Jednocześnie — zupełnie jak w Księstwie — rosła ilość niesprzężajnych! Czyż wobec tego nie moglibyśmy z równém prawem wyśmiewać się z „deutsche Wirthschaft"?

Sądzimy więc, iż myśl naszę wyrażoną wyżej: *że główną przyczyną upadku gospodarstw włościańskich w Poznańskiém, jest niepomyślny dla ludu obrót reformy agrarnéj w Prusach* — mamy prawo po tém wszystkiém uważać za udowodnioną. Swoją drogą, trudno zaprzeczyć, iż niektóre przyczyny miejscowe — które tak chętnie podnoszą Niemcy — wpływają również ujemnie na gospodarkę naszego chłopa. Do takich należą niektóre obyczaje naszego ludu, zakorzenione nałogi i nawyknienia, będące skutkiem ciężkich warunków jego życia. Zatrzymamy się nieco nad rozpatrzeniem tego przedmiotu.

III.

W liczbie przyczyn upadku gospodarstw włościańskich często wystawiają, jako jednę z główniejszych, nieumiejętność gospodarczą naszego chłopa, jego pierwotne sposoby gospodarowania, brak wiedzy i niezaradność. Jednakże wszystkie te wady — chociaż w pewnéj mierze ich istnieniu przeczyć nie myślimy—nie mają w tym razie tak doniosłego znaczenia, by niemi tłómaczyć było można niepomyślny rozwój gospodarstwa włościańskiego. Ziemia w księstwie Poznańskiém, jak wiadomo, nie należy do najurodzajniejszych. Obfitość bagien i zarośli, znaczna ilość gruntów piasczystych, które w pewnych powiatach do 60% ogólnéj przestrzeni dochodzą, — wszystko to obniża stopień ogólnéj produkcyjności rolniczéj Księstwa (1). Jedne tylko Kujawy do okolic prawdziwie urodzajnych zaliczone być mogą. Mimo to jednak przeciętne plony dla Księstwa przedstawiają się dość pomyślnie. W okresie od r. 1867 do 1870 wynosiły one:

	dla pszenicy	żyta	jęczmienia	owsa	grochu
maximum szefli z morga . . .	10,28 —	8,08 —	10,18 —	8,68 —	7,37
minimum „ „ . . .	7,16 —	6,78 —	7,26 —	11,43 —	5,15

[szefel = 0,4294 korca naszego].

W porównaniu z innemi prowincyami państwa nie widzimy w tém wielkiéj różnicy na niekorzyść Księstwa. Tak plon pszenicy z morgi wynosi w szeflach:

w Saksonii.	11,53
w Szlezwig-Holsztynie.	12,13
na Szląsku	10,67
w Brandeburgii . . .	10,13
w Prusach	8,98

---

(1) W Księstwie liczą: gleby gliniasto-piasczystéj 48%, piasczystej 33,6%, gliniastéj 9,4%, błotnistéj 7,0%, wód 2,0%. — (*Enc. Rol.*).

Co się zaś tyczy gospodarstw włościańskich, ogólna ich wydajność nie jest także o wiele niższą od przeciętnéj dla Księstwa. Przekonać nas o tém mogą opisy pojedynczych gospodarstw włościańskich, jakie znajdujemy w Encyklopedyi rolniczéj (T. II, str. 1113—1169) i w dziele „Baüerliche Zustände in Deutschland.“ W jednym z przykładów (gospodarstwo Macieja Musielaka we wsi Rombinie w pow. Kościańskim) znajdujemy plony stosunkowo dość wysokie (10 szefli dla pszenicy, 7 żyta, 10 jęczmienia, 12½ owsa, 80 kartofli). W gospodarstwach Niemców, opisanych u Nathusiusa, są one nieco niższe (dla żyta 6,4 i 5.5; dla jęczmienia 6,8 i 5 i t. d.) Gospodarstwa włościańskie sprzedają żyto, owies, kartofle, a w okolicach żyźniejszych jeszcze jęczmień i pszenicę, rzepak i w ostatnich czasach buraki. Wogóle co do kwestyi stosunkowéj produkcyjności gospodarstw wielkich i małych, niewątpliwy znawca téj kwestyi—Nathusius, wyraża się stanowczo na korzyść ostatnich. Dają one, wogóle biorąc, wyższy dochód czysty. Wprawdzie przyczynę tego upatruje on przedewszystkiém w korzystnym stosunku wartości pracy właściciela i jego rodziny w gospodarstwie włościańskiém; im posiadłość jest mniejsza, tém większą stosunkową wartość w ogólnéj sumie dochodu stanowi praca; ta więc okoliczność przeważa szalę na korzyść własności drobnéj, pomimo iż gospodarstwa wielkie wogóle lepiéj są prowadzone, pod względem intensywności kultury, dobroci inwentarza i t. d. Oprócz tego właściciel wielki podnosi wartość swéj posiadłości przez zakłady przemysłowe, cegielnie lub gorzelnie, ma on możność prowadzenia bardziéj nakładowéj gospodarki, — czego chłop, pozbawiony kredytu, uczynić nie jest zdolny.

Chociaż więc bez wątpienia gospodarstwo naszego ludu wiele jeszcze pozostawia do życzenia, widzimy z danych powyższych, iż na karb niegospodarności kłaść upadku jego nie można. Przeciwnie, z opisów powyższych przekonywamy się, że ile razy posiadłość rodziny włościańskiéj jest dostateczna dla jéj zatrudnienia, gdzie nie jest zbytnio obciążona długami, — tam chłopi oszczędzają, przykupują gruntu i powoli dochodzą do pewnéj zamożności. Sądzimy więc, iż owe „Slavischer Leichtsinn, Trunksucht und Indolenz“, o których chętnie rozprawiają pisarze niemieccy, mało znaczą w porównaniu z bardziéj ogólnymi przyczynami upadku.

Niektórzy wskazują daléj na szkodliwe następstwa zupełnéj wolności w rozporządzaniu własnością ziemską, jaka istnieje w Prusach od czasu reformy. W istocie przechodzenie ziemi z rąk do rąk spotyka się tam często i niezawsze pomyślnie dla gospodarstwa krajowego. Według obliczeń przybliżonych, przypuszczalnie około ⅕ obecnych posiadłości sprzężajnych dostało się do rąk właścicieli dzi-

siejszych drogą kupna, a $^{4}/_{5}$ drogą spadku. Pozbywanie się gruntów jest szczególnie częstém wśród ubogich włościan, przyciśniętych długami. Pochop do sprzedaży wzrósł w ostatnich czasach tam zwłaszcza, gdzie ceny ziemi się podniosły, jak to ma miejsce na Kujawach np., gdzie dochodzą one do 500 marek za morgę. W okolicach, w których rozwinął się popęd do wychodźctwa, wyprzedają grunta emigranci, by uzyskać środki na podróż do Ameryki. Z drugiéj znów strony, to sprzedawanie gruntów podnosi znacznie obdłużenie ziemi. Często bardzo, przystępujący do kupna posiada w gotówce zaledwie małą część wartości osady, np. trzecią lub piątą nawet. Reszta więc, jako nowy dług zapisuje się na posiadłości. Sprzedający zaś ze swojéj strony stara się już poprzednio o zadłużenie osady do możliwie największych granic. Zdarzały się wypadki, iż zamożny gospodarz, kupując nową osadę zadłużoną do ostatniego stopnia, tracił wkrótce na niéj cały własny majątek (w Inowrocławskiém). Obyczajem, niekorzystnym pod względem ekonomicznym i przyczyniającym się w silnéj mierze do zadłużania gospodarstw włościańskich jest panujący zwyczaj równego działu pomiędzy rodzeństwo. Częste są wypadki dzielenia gospodarstw w naturze; tak np. w powiecie Bukowskim powstało tą drogą w ciągu lat 20 nowych gospodarstw 297 z liczby 178, poprzednio istniejących; w gminie Bolewice w ciągu lat pięćdziesięciu z 25 gospodarstw utworzyło się nowych 110. W téj ostatniéj miejscowości znaczne rozdrobnienie własności włościańskiéj wynikło z powodu rozwiniętéj uprawy chmielu, która nawet na małych działkach okazuje się korzystną. Częściéj jednak osada pozostaje przy jednym ze spadkobierców, który spłacać musi innych gotówką. Tylko w zniemczonych okolicach Księstwa (w pow. Międzychodzkim, Czarnkowskim, Wyrzyskim) działy nie są równe i odbywają się zwykle z uprzywilejowaniem tego członka rodzeństwa, który zostaje przy osadzie (majoraty i minoraty); lecz poczucie równości u naszego chłopa pogodzić się z tém nie może, i ostatnio lud poznański wystąpił dość energicznie przeciw projektowanym majoratom włościańskim.

Drugim obyczajem, dokuczającym gospodarstwu włościańskiemu, jest tak zwany u ludu naszego „wyderek“ czyli dożywocie starych. Powszechne są skargi, iż „starzy“ zbyt wcześnie usuwają się od pracy i zdając wszystko na dzieci, każą sobie płacić stosunkowo bardzo wysokie renty dożywotnie. Ztąd powstają częste waśnie i kłótnie pomiędzy rodzeństwem; a gdy się w to wdaje żyd pośrednik, przejmujący nieraz na siebie dożywocie starych i egzekwujący je na posiadaczu—wtedy i jednym i drugim grozi utrata mienia. Parę przykładów wskaże nam, jak są nieraz wysokie te wyderki i doży-

wocia włościańskie: na posiadłości, wartującéj 2600 marek, ciążyło dożywocie, składające się z 15 rozmaitych pozycyi, a mianowicie: było tam trzy tłuste gęsi, z których każda ważyć miała 11 funtów; 10 fun. masła, w ratach tygodniowych; ½ kwarty mleka słodkiego i ½ kwaśnego — dziennie; 12 funtów słoniny i t. d. Wszystko to razem czyniło przy bardzo umiarkowaném oszacowaniu 185 marek, czyli 7% wartości osady. Inny przykład: na osadzie 9-cio hektarowéj ciążyło dożywocie, składające się z wolnego mieszkania, 11½ szefli rozmaitych zbóż, 2 kwart prosa, 9 zagonów ziemi, używalność ogrodu, 3 fur drzewa, krowy i świni, wreszcie dodanym był 1 talar na sól. Z dożywociem tém osada sprzedaną została. Nowonabywca, widząc, iż nie da sobie rady, pozwolił na zaciągnięcie na osadzie drugiego dożywocia, składającego się z wolnego mieszkania, 17-stu szefli zboża, ½ szefla prosa, kartofli z 30 zagonów roli, krowy i świni— i odprzedał posiadłość. Drugi nabywca zupełnie na niéj zbankrutował, straciwszy przytém w dodatku własne swoje gospodarstwo. Słusznie więc podnoszą się obecnie głosy, żądające zakazu zaciągania podobnych zobowiązań do ksiąg hypotecznych.

W końcu musimy wspomniéć i o pijaństwie, które w oczach wielu stanowi główne źródło biédy naszego ludu. Jeżeli wierzyć Niemcom — pije chłop poznański dużo i często. Tak np. w powiecie Obornickim na 50.000 ludności wypija się rocznie około 700.000 litrów wódki, na sumę 300.000 marek. Przyczynia się do tego znaczna ilość targów i jarmarków w Księstwie. Miast i miasteczek jest w Poznańskiém więcéj niż w innych częściach monarchii pruskiéj (w Prusach miast 1001 na 20 mil. ludności, jedno więc na na 20.000; w Poznańskiém na 1,5 miliona miast 138, a więc 1 na 10.000). Te 138 miast mają w ciągu roku 550 jarmarków. Znaczna ilość świąt katolickich (około 75 dni świątecznych w roku) powiększa także sposobność do picia i próżniactwa. Jeżeli jednak wspomnimy, jak jest niedostateczném odżywianie się chłopa polskiego, który żyje kartoflami, kapustą, grochem, kaszą; chléb widuje rzadko, a mięso tylko wyjątkowo, wtedy oburzenie nasze na pijaństwo ludu straci nieco na sile. Pociąg do wódki jest niemal koniecznym dla organizmu zmuszonego do ciężkiéj pracy fizycznéj, przy braku pokarmów odpowiednich i pożywnych. Również pięknem jest oburzanie się na większą ilość jarmarków, świąt katolickich, odpustów i t. d., lecz należy pamiętać, iż przy téj sposobności jedynie włościanin nasz styka się z szerszym światem, tu znajduje towarzystwo i rozrywkę, niezbędną dla każdéj jednostki ludzkiéj. Nim więc za to wszystko lud gromić zaczniemy, należałoby się wprzód postarać o stworzenie jakiegoś szlachetniejszego sposobu zaspakajania tych moralnych po-

trzeb natury ludzkiéj, o udoskonalenie jego rozrywek i zabaw itd. Póki zaś tego niema, wszystko musi pozostać w tym stanie, w jakim jest dzisiaj.

Mimo to jednak, nawet niemieccy pisarze odzywają się dość pochlebnie o zaletach chłopa polskiego, podziwiają jego zręczność w rozmaitych robotach związanych z rolnictwem (nap. w garncarstwie, budowaniu, kowalstwie, kołodziejstwie); Nathusius wspomina nap., iż tamtejsi obywatele wolą nawet robotnika polskiego od miejscowego niemieckiego i dodaje w końcu, iż „der posensche Bauer und seine Familie ist ein kräftiger, arbeitsfähiger Menschenschlag.“

Słowem, wszystkie te strony ujemne, które w rozdziale niniejszym zaznaczyliśmy, nie są to żadne wady zasadnicze, trudne do uleczenia. Przeciwnie, usunięcie ich daje się łatwo pomyśléć, czy to drogą rozumnie skierowanego prawodawstwa państwowego, któreby ograniczało pole nadużyć i wyzysku, czy to wreszcie na drodze ogólnego postępu w kulturze i obyczajach ludności.

W pierwszym kierunku przyznać potrzeba, iż prawodawstwo pruskie stara się zaradzić złemu. W ostatnich czasach powzięto kilka uchwał, które dobroczynnie oddziałać powinny na dobrobyt ludu. Weszła już w życie ustawa przeciw lichwie; domagają się ograniczenia prawa propinacyi i w ogóle handlu trunkami; na sejmie 1880 roku postanowiono zbadać środki, zapobiegające dalszemu rozdrabnianiu posiadłości włościańskich. Na zgromadzeniu Towarzystwa rolniczego, na wniosek Henryka Szumana, postanowiono domagać się od rządu ograniczenia wolności wystawiania weksli; w ostatnich czasach wreszcie podniesiono kwestyę spadkobierstwa itd.

Gorzéj daleko ma się rzecz z ogólnym kulturno-obyczajowym postępem ludności, któremu nie sprzyjają wcale warunki życia ludu polskiego w państwie pruskiém. Gdzie w szkołach gwałcą na każdym kroku najelementarniejsze zasady pedagogiki, gdzie przez wykład w języku niemieckim utrudniają naukę, — tam urąganie brakowi oświaty ludu polskiego, jego zacofaniu, jest co najmniéj nie na miejscu. To samo da się powiedziéć o sądach i urzędach wszelkich: masa ludności polskiéj jest zupełnie ciemną wobec niezrozumiałych dla siebie praw i przepisów administracyjnych,—a w warunkach podobnych postęp uspołecznienia nie może być znacznym.

W końcu brak życia gminnego staje na przeszkodzie rozwojowi tych uczuć, od których zależy przedewszystkiém rozwój społeczny każdego narodu. Wszystkie te przyczyny miejscowe pogorszają więc bez wątpienia położenie ekonomiczne naszego ludu w Poznańskiém.

Po za tém jednak kwestya upadku stanu włościańskiego w krajach polskich jest dziś w głównych zarysach zupełnie taką samą jak wszędzie, we wszystkich państwach Europy. Kwestya agrarna powstaje na nowo w całéj Europie zachodniéj i z coraz większą siłą domaga się rozwiązania. Zarówno rządy i mężowie stanu, jak uczeni ekonomiści i myśliciele zmuszeni są pracować nad tém—zdaniem niektórych, najważniejszém—zagadnieniem ekonomiczném chwili bieżącéj. A wyszukanie nowych dróg polityki ekonomicznéj staje się tém konieczniejszém, iż wszelkie środki agrarne, które dotąd powszechném cieszyły się uznaniem zawiodły srodze nadzieje, jakie w nich pokładano—i sprawa stoi dzisiaj na tym samym punkcie, na którym znajdowała się przed laty kilkudziesięciu. Liberalizm jéj nie rozstrzygnął. „Pod jego to panowaniem“—jak pisze jeden ze znawców téj kwestyi—„zamiast spodziewanéj wolności dla stanu włościańskiego, wynikła nowa pańszczyzna; zamiast dobrobytu i zamożności wolnych włościan—powstała bieda ogólna, dochodząca aż do zupełnéj utraty własności; zamiast postępu w zakresie gospodarstwa rolnego—ujrzeliśmy straszny wyzysk słabszych przez silniejszych; wreszcie pragnęliśmy na podstawie swobody i równości zbudować nowy porządek społeczny—a wynikło ztąd niebezpieczeństwo zupełnego rozbicia społeczeństwa“ (1).

Miejmy nadzieję, iż nowe teorye ekonomiczne będą w tym względzie szczęśliwsze.

Adam Zakrzewski.

---

(1) Karl Preser: Die Erhaltung des Bauernstandes. Leipzig. 1884.

DUMY UKRAIŃSKIE.

RZECZ O EPOSIE KOZACKIM RUSINÓW.

II.

Przechodząc do rozbioru treści kozaczego eposu, musimy tu zaznaczyć jedną ważną okoliczność. Etnografowie rusińscy i historycy, jak Maksimowicz, Kulisz, Kostomarów, Antonowicz i Dragomanow, którzy pracowali nad historycznym eposem Rusi, wszyscy dotąd, o ile wiem, jednakowo traktowali i dumy kobzarskie i historyczne pieśni ludowe, przyznając im jednakowe znaczenie, jako utworów ludowych i łącząc je w jedną całość eposu Rusinów. Znam nawet zdanie jednego z bardzo poważnych znawców rzeczy rusińskich, że dumy jakkolwiek z formy mogą się różnić od pieśni, w treści wszelako są zupełnie do nich podobne. Takie zapatrywanie uważam za zupełnie błędne z następnych powodów.

Sfery, w których powstały, żyły i rozwijały się pieśni ludowe i dumy kobzarskie są zupełnie różne. O tém, że lud dum wcale nie śpiewa i nie śpiewał, bo były dlań już z saméj formy niedostępne— czasami tylko słyszane przezeń były, — o tém nikt dziś nie wątpi. Niewątpliwém jest także, że kobzarze, ci wyłącznie śpiewacy dum, pieśni historycznych ludowych nie śpiewają wcale. Przepatrując starannie repertoar każdego bandurzysty, (jak *Neczaj*, *Morozenko*, *Perebyjnis*, *Czały* i t. d.) nie znalazłem w nim ani jednéj pieśni historycznéj. Masa waryantów, np. pieśni o Neczaju, z których 40 zamieszczono w zbiorze pp. Antonowicza i Dragomanowa, śpiewanych na całym obszarze kraju, dowodzi, że pieśń ta znaną jest powszechnie i przez lud lubioną, jednakże ani jeden kobzarz jéj dotąd nam nie zaśpiewał. Okoliczność ta wcale nie jest przypadkową i z łatwością da się wytłumaczyć tém, że kobzarze, będąc wyłącznie piewcami kozackimi, tworząc rapsody epiczne, nie mogli nawet znać pieśni

pospolitych ludowych, gdy żyjąc głównie w obozach i w Siczy, mało mieli wspólności z ludem, chyba w czasie wielkich ruchów i to tylko chwilowo.

Porównywając treść dum i pieśni, z konieczności wypadnie zaznaczyć ogromną między niemi różnicę. Repertoar nawet jest zupełnie różny. Niema ani jednéj pieśni historycznéj, która by opiewała ten sam fakt dziejowy, co duma, ztąd śmiało możemy wnosić, że ani lud od kobzarzy, ani kobzarze od ludu nie zapożyczali tematów twórczości; wzajemnego oddziaływania i wpływów nie było wcale, dwie te twórczości żyły zupełnie samodzielnie i niezależnie, mając wspólny tylko język i charakter obrazowania.

Co do sposobu traktowauia faktów dziejowych, pieśń i duma także różnią się znacznie. Pieśń ludowa historyczna bywa albo liryczną, nacechowaną tylko obrazami treści historyczno-obyczajowéj z téj lub innéj epoki, lub téż epiczną—dziejową, opiewającą jakiś wypadek historyczny. Te ostatnie, t. j. pieśni ludowe epiczne (które same jedne bywają porównywane z dumami) mają zwykle za treść jakieś jaskrawe zdarzenie, które zdołało obudzić i zająć wyobraźnią ludową. Oprócz obiektywnego opisania wypadku samego, pieśń nic nie mówi ani o pobudkach, ani celach bohatera; szersza dziejowa tkanka, na któréj się fakt wysnuł, nie zajmuje pieśni wcale. Tak np. pieśń o Neczaju opowiada o tragicznéj śmierci tego bohatera, nie wdając się wcale w kwestye: kto to był Neczaj, dla czego walczył, czy to był prosty rozbójnik, czy bohater narodowy; — takie pytania są zupełnie dla pieśni obojętne. Toż samo prawie widzimy w pieśni o Sawie Czałym i innych. Pod tym względem pieśń historyczna nadzwyczaj przypomina ogólny charakter wszystkich balad ludowych, opiewających w formie epicznéj rozmaite nadzwyczajne, uderzające wyobraźnię wypadki życia powszedniego. Zupełnie inny charakter posiadają dumy. Znacznie wogóle dłuższe od piosnek, są to prawdziwe poemata opisujące nie pojedyncze, nagie fakty, nie samą akcyę wypadku, lecz całe przejście ze szczególném uwzględnieniem stosunków społecznych, narodowych, religijnych i t. p. Bohater *pieśni* walczy, zwycięża, lub ginie niewiadomo dla czego, na co, poco i z jakich pobudek; bohater zaś *dumy* zawsze jest wyrazicielem pewnéj idei; rzadko bardzo działa z pobudek prywatnych, a zwykle przedstawia się jako jednostka społeczna, narodowa.

Zaznaczywszy powyższą różnicę dumy od pieśni, przypatrzmy się bliżéj treści znanych nam dum. Nazwaliśmy te utwory eposem kozackim; jest ten epos takim w rzeczy saméj, odnośnie do dum nam znanych. Że mogły być dumy sięgające czasów daleko dawniejszych od kozaczyzny, o tém, jak późniéj się przekonamy, wątpić nie

należy; znane wszelako 28 dum świadczą tylko o czasach kozactwa i z niego téż tylko czerpią swą treść. Epos ten, ze względu na swój charakter zarówno jak na treść, da się podzielić na dwa główne okresy, znacznie się pomiędzy sobą różniące, a mianowicie na *okres turecko-tatarski*, sięgający do czasów Chmielnickiego i *okres polski* od czasów Chmielnickiego do upadku kozaczyzny.

1. *Okres turecko-tatarski* obejmuje 6 dum poświęconych walce z bisurmanami, 6 dum o niewoli tureckiéj i tatarskiéj i jeden krótki urywek, malujący rozbicie wśród burzy okrętu wojennego tureckiego. Wszystkie te dumy opisują rozmaite wypadki na tle epoki historycznéj, pozbawione są jednak cech czysto dziejowych, mówiących o wypadkach konkretnych. Są to czasami świetne obrazy stosunków historycznych z masą cennych szczegółów treści obyczajowéj, lecz żaden prawie bohater tych dum nie jest osobistością dziejową, jak w dumach późniejszych. Rozmaite osobistości, malowane i nazywane przez dumy, noszą, być może, imiona osób dziejowych, lecz obecnie występują przed nami, jako typy tylko, których cechy indywidualne zupełnie już przez czas się zatarły.

Z sześciu dum *o walce* dwie tylko opiewają zwycięstwo. Duma o pojedynku kozaka *Hołoty* z Tatarem przedstawia nam dwóch awanturników kozaka i Tatara, polujących w stepie jeden na drugiego. Kozak jest prawdziwym hołotą, obszarpańcem; duma ze szczególnym humorem opisuje strój jego nędzny, nie odmawiając mu jednak rysów sympatycznych i junactwa, odwagi i zamiłowania w swym zawodzie kozaczym. Tatar zaś stary, brodaty, a na rozum nie bogaty, jest zamożnym i przepysznie ubranym. Obaj na siebie polują w nadziei zysku. Hołota pragnie odebrać przeciwnikowi konie, oręż i bogatą odzież. Tatar naprzód liczy pieniądze, które za takiego jeńca wziąć się spodziewa. Walka wszakże kończy się tryumfem kozaka, który zwyciężywszy zarozumialca, dzieli się zdobyczą z towarzystwem, pije, hula i pole walki wychwala. Jest to nadzwyczaj żywy i charakterystyczny, pełen humoru obrazek tak zwykłych niegdyś harców na stepach kresowych.

Zupełnie inny obrazek mamy w dumie o *atamanie Matiaszu*. Rzecz się dzieje w Semenowym Kozackim Rogu, przy ujściu Sawrani do Bohu, w Bracławszczyznie, niedaleko granicy tatarskiéj. Obozując młodzi kozacy bracławscy, niedoświadczeni i niebaczni na przestrogi jakiegoś doświadczonego atamana Matiasza, puścili po polu konie na paszę, siodła złożywszy daleko od siebie, a długie piszczele po kątach pochowali. Wtém Turcy z pola na dolinę wpadają i bezbronnych chwytają do niewoli. Matiasz na konia wsiada, *sześć tysięcy* Turków zwalcza, jeńców wyzwala; ci dopadłszy koni, śpieszą

w pomoc Matiaszowi i resztę *cztery tysięce* bisurmanów zwyciężają, zabrawszy łup bogaty. Po bitwie wracają do Siczy, tam dzielą zdobycz i Matiasza wysławiają.

Dumy o *klęsce* nacechowane są głębokim liryzmem i współczuciem dla nieszczęśliwych bohaterów. Dwie krótsze, o *Fedorze Bezrodnym* i o *trzech braciach nad rzeczką Samarą*, opisują tylko śmierć bohaterów na polu walki. W pierwszéj z nich Fedor Bezrodny, jakiś nieznany ataman kurzenny, śmiertelnie raniony na pobojowisku nad zatoką Dnieprową; przy nim, mały giermek Jarema opatruje mu rany. Fedor przed śmiercią darowuje Jaremie w spuściźnie drogie swe konie, kosztowne szaty i zbroję, i posyła go po kazaków, by mu wyprawili pogrzeb po kozacku. Bat'ka koszowy, ataman wojskowy wysyła w tym celu 50 kozaków, którzy ciało obmyli, na czerwoną kitajkę złożyli, szablami głęboki suchodół wykopali, czapkami i połami zwir wynosili, pochowali zmarłego, usypali wysoką mogiłę, nad głową proporzec zatknęli i uczcili ten pogrzeb skromną stypą, składającą się ze spleśniałych sucharów. Duma o śmierci trzech braci daleko jest bledszą i ubogą w szczegóły obyczajowo historyczne. Trzej rodzeni bracia śmiertelnie ranni konają na polu walki. W rozmowie ich oprócz utyskiwania na cierpienia, wyraża się rozpacz, że ciała ich nie zostaną pogrzebane, a młodszy wspomina rodziców i modlitwę.

Daleko obszerniejszych rozmiarów jest duma o *Iwasiu Konowczence-Wdowiczence*. Pułkownik Chwyłonenko zwołuje ochotników dla powiększenia zastępów kozackich na wyprawę przeciwko Tatarom. Syn jedynak u wdowy Konowczychy w Czerkasach prosi matkę, by go także wyprawiła; lecz ta, choć szanowała kozaków, nie chciała wszakże jedynego syna na niebezpieczeństwo narażać i zezwolenia nie dała. Iwaś słyszy głosy werbunku, słyszy drwiny z tych, co iść na wyprawę się boją, i dawne marzenia o sławie kozackiéj skłaniają go do wykradzenia zbroi ojcowskiéj i udania się za wojskiem tajemnie przed matką. Gdy matka o tém się dowiedziała, z rozpaczy rzuciła mu przekleństwo, by zginął w trzeciéj potyczce. Ochłonąwszy nieco, zdobywa się na kupno konia i posyła go synowi. Duma w dalszym toku prowadzi nas na Czerkeń-dolinę—pole walki; obrazowo maluje bohaterskie zapasy Iwasia i śmierć jego w trzeciéj potyczce. Kozacy już wrócili, starszyna przejeżdżając koło Konowczychy, zostaje przez nią zaproszona, lecz nie mają serca prawdy jéj powiedzieć, oznajmują więc, że Iwaś się wsławił i bogato ożenił. Wyjechawszy od uszczęśliwionéj, dali jéj potém znać, że Iwaś za żonę pojął mogiłę. Obszernych rozmiarów ta duma należy do bardziéj upowszechnionych; jest to jedyna duma historyczna, śpiewana

przez lirników. Bogatą jest ona w szczegóły obyczajowo-historyczne, ma nawet pewne cechy dziejowe, z powodu których zwykle ją odnoszono do bitwy z Tatarami białogrodzkimi w 1684 r.; Kostomarów wszelako ze względu na szczegóły obyczajowo historyczne słusznie ją zalicza do okresu z czasów przed Chmielnickim. Półkownik Chwyłonenko znany jest w dziejach pierwszéj połowy XVII w.; należał do powstania przeciwko Polakom razem z Hunią i Ostranicą (1). Odrębne zupełnie miejsce zajmuje duma o *Burzy na Czarném morzu* i *Ołeksiju Popowiczu.* W końcu XVI w. ataman koszowy Samuel Zborowski (w dumie: hetman Hryćko Zborowśkyj) wraca z flotą kozacką z wyprawy morskiéj. Burza rozbija flotę na trzy części, jedną zanosi do ujścia Dunaju, drugą do ziemi białoarabskiéj, trzecia zaś na falach ma ginąć. Starszyzna wzywa kozaków do modlitwy i spowiedzi. Wtém pisarz Ołeksij Popowicz z Piratyna wyznaje, że jego to grzechy gubią flotę kozacką. Spowiada się ze swych grzechów, a w téj chwili burza uśmierzać się poczęła i fale do lądu szczęśliwie statki przyniosły. Treść dumy jest raczéj moralną niż historyczną; najgłówniejszą w niéj rolę gra wyjaśnienie ciężaru grzechów, z których za najważniejsze uznaje nieuszanowanie rodziców, bliźnich i religii. W wielu waryantach pieśń nie wspomina Ołeksija Popowicza, który dziwną tożsamością imienia przypomina bylinę wielkorosyjską o Aloszy Popowiczu, lubo nie ma z nią żadnego związku. W tych odmiennych waryantach rolę grzesznika odegrywa jeden z trzech braci, nazywany, niewiem dla czego, „*bezpleminnym.*“

Dumy o niewoli, zwane przez bandurzystów „*newolnyćkymy*“, stanowią cykl zupełnie samodzielny. Główną ich cechą jest serdeczna rzewność i liryczny nastrój, przerywany namiętném wystąpieniem przeciw nienawistnym ciemiężycielom, Turkom.

Do szeregu tych dum zaliczam jedną, wyjątkową co do charakteru, „*Sokolę.*“ Jest to historya sokoła i sokolęcia. Z dalekiéj krainy przyleciały sokoły, uwiły gniazdo szkarłatne, zniosły jajko perłowe i wypieściły sokolątko bez doli, nieszczęśliwe. Raz przyleciał sokół z wycieczki po zdobycz i nie zastał w gnieździe sokolęcia, więc brata orła się dopytuje. Ten mu odpowiada, że szli strzelcy Bułachowcy, zakuli sokolę w srebrne pęta, perłami oczy zawieszali i ponieśli do Carogrodu do Iwana Bohosłowca, i radzi mu śpieszyć tamtędy, siąść na wale i żałośnie zakwilić. Gdy sokolę to posłyszy i ze smutku główkę skłoni, a skrzydełka opuści, to może Iwan Bohosłowiec zdejmie srebrne pęta i perły z oczu pozbiera i pozwoli je

(1) Russkaja Myśl, 1880, II, str. 29.

na wały wynieść. Sokół postąpił według téj rady i tak się téż, jak orzeł mówił stało. Wtedy sokół porwał swe dziecię na skrzydła, uniósł na wyżyny i tak doń przemówił: lepiéj będziemy swobodnie po polu latać, niż u panów zostawać; u panów chociaż dostatek, lecz niewola cięży. Duma kończy uwagą, że jak ptak się kłopota o ptaka, tak ojciec i matka kłopota się o swą krewną dziecinę. Dwojako można tę dumę tłómaczyć. Może to być upostaciowanie niewoli i wykupu, lecz może ona mieć i pewne dziejowe znaczenie, gdy zwrócimy uwagę na „Bulachowców“ i „Iwana Bohosłowca.“ Ze względu na te nazwy należało by ją odnieść do XIII w. i związać z historyą Iwana Rościsławicza Berładnikiem zwanego, który w swych zatargach z udzielnemi książętami posługiwał się Bułachowcami i uciekłszy wreszcie za granicę na usługach cudzoziemcom żywot zakończył. Że przezwisko „Berładnik“ (także od miasta pochodzące) mogło się z czasem zamienić na więcéj znane *Bohusłowiec*, a następnie na *Bohosłowiec*, temu dziwić się nie należy, gdyż podobne zamiany często w utworach ludu napotykamy. Mógł Iwan Berładnik zaciągnąć jeńca do swéj drużyny; los jednak taki dla wolnego syna stepów mógł się przedstawiać niewolą, chociaż w perłach, lecz w srebrnych kajdanach. Duma ta przedstawiając od początku do końca upostaciowanie obrazowe, alegoryę tylko, stanowi wyjątek ze wszystkich dum. Wszystkie inne nigdy alegoryi nie używają w takich rozmiarach. W obec więc téj wyjątkowéj formy, za którą znikły szczegóły obyczajowo dziejowe, rzucające światła na epokę, nie odważamy się obstawać ani przy pierwszém, ni téż przy drugiem wyjaśnieniu; zaznaczyć tylko musimy, iż utwór ten nie daje najmniejszych wskazówek żeby pochodził z czasów kozackich i w obec dum charakteru nie wątpliwie kozaczego zajmuje zupełnie odrębne stanowisko. Jeśli więc początkiem swym sięga on rzeczywiście XIII w., to może dawać nam powód jeden więcéj do wyprowadzania dum z czasów bardziéj niż powstanie kozaczyzny odległych. Słowa dumy o niewoli złotéj u panów mogą zarówno się odnosić do drużyny Berładnika, jak téż tłómaczyć się późniejszém wspomnieniem z czasów poddaństwa, chociaż to ostatnie przypuszczenie łatwiéj da się pojąć w pieśni gminnéj, wciąż rozwijającéj się pod wpływem nowych warunków społecznych, niż w kobzarskiéj dumie, noszącéj zwykle cechy pieśni skończonéj.

Reszta dum niewolniczych nosi wyraźne cechy kozaczyzny. Dwie krótkie dumy: *Płacz niewolników* na galerze tureckiéj i *Płacz jeńca o wykupie* malują nam rozpaczliwe położenie niewolników, przykutych rzędami do wioseł. Kajdany im do kości ciało na nogach i rękach pościerały. Nie widząc żadnego wyjścia ze swego po-

łożenia, błagają Boga, by zesłał burzę, kotwice pozrywał, statki rozbił; tylko więc ze śmiercią męki ich by się zakończyły. Podsłuchani przez baszę, dostają plagi; pozostaje im jedno: przeklinać ziemię turecką, wiarę bisurmańską. W niewoli oprócz ciepień fizycznych, odczuwają i tęsknotę za miłemi sercu osobami, za krajem rodzinnym. Taki niewolnik, nie mając innego środka, prosi sokoła, by ten choć zaniósł wieść do rodziny, pokłon i prożbę o wykup, lecz i ta nadzieja musi się rozwiać; gdyby rodzice nawet wiedzieli o ich położeniu, to czyż ich odnajdą, czyż można wiedzieć w którym z licznych portów się znajdują; nie ma żadnego ratunku, pozostaje tylko albo przekleństwo, albo modlitwa do Boga.

Rzadkie wypadki wyzwolenia ucieczką z niewoli wyraziły się w dumach, jako wydarzenia szczególne. Tak *Marusia*—dziewka branka, popówna *Bohusławka*, zaskarbiła serce baszy, poturczyła się i została wszechwładną żoną jego. W przeddzień Wielkiéj Nocy podsuwa się ona ku więzieniu, gdzie zdawna biednych niewolników po całodziennym trudzie na noc spędzano, i zapytuje ich, czy wiedzą, jaki to dzień dzisiaj. Niewolnicy stracili już rachunek czasu, nie mogą więc przypomnieć. Marusia im objawia o uroczystości, któréj przypomnienie przez renegatkę wydało się im obelgą. Poczynają więc kląć ją. Lecz Marusia uprzedza ich, że nazajutrz, gdy basza do meczetu się uda i klucze jéj zostawi, postara się ich wypuścić. czego téż dotrzymuje i na pożegnanie prosi, by jéj rodzicom donieśli, iż nie mają poco starać się o jéj wykup gdyż została renegatką, poturczyła się dla bogactwa wielkiego, dla łakomstwa nieszczęsnego.

Inna znów duma, należąca do najpiękniejszych i najpoetyczniejszych, rysuje nam ucieczkę przez stepy *trzech braci* z *miasta Azowa* ku grodom chrześciańskim, które się dopiero za rzeczką Samarą (dopływ Dniepru) poczynały. Dwaj starsi braci konni, trzeci pieszapiechura. Najstarszy brat umykał z bogatym nawet łupem, średni miał tylko jeden ładny kaftan turecki, najmłodszy zaś nie mógł nic zabrać. Goni on za braćmi, prosi by go z sobą na koń wzięli, lecz starszy odmawia: żal mu porzucać łupu i boi się pogoni. Wtedy piechura prosi by go lepiéj zabili, a nie zostawiali jego ciała na zniewagę zwierzętom. Średni brat obiecuje mu oznakę po drodze rzucać, ścinając gałązki cierniowe. Wszystko szło dobrze, pokąd bracia przejeżdżali przez bajraki i doliny rzeczki Mijusa, lecz gdy na szczere stepy, na szlak Murawski wybiegli, nie mogli już daléj gałązek na oznakę zostawiać, więc pomimo drwin brata starszego, średni rwie swój kaftan kolorowy i po szlaku rozrzuca. Młodszy brat zobaczywszy szczątki odzieży, przychodzi do wniosku, że bracia zostali albo zabici, lub żywcem do niewoli ujęci. Dobiega jednak do Sawór-mo-

giły, niedaleko już kresu podróży, lecz zmęczenie, głód i pragnienie, a dziewięć dni jak nie jadł i nie pił, wreszcie nieświadomość drogi, zwalają go z nóg. Wilki i orły gromadzą się koło niego, śmierci jego oczekują, pragnąc za życia pogrzeb kozacki mu sprawić; dobywa tedy resztek sił i strzela do nich. Po tym ostatnim wysiłku pada, ręce i nogi odmawiają mu posłuszeństwa, wreszcie czarna chmura okryła horyzont, powiał wiatr silny i dusza z ciałem się rozstała. Wtedy to orły oczy mu wydzierały, wilki kości od stawów odrywały, a drobne ptaki ciało od kości oddzierały, tak wspólnie pogrzeb odprawiały. Późniéj wionął wiatr, i zakrył resztki kości komyszami i piaskiem. Zgodne dotąd waryanty ślicznéj téj dumy, w epilogu opowiadającym o losach starszych braci, dzielą się na dwie różne wersye. Epilog pierwszéj mówi, że bracia przybywszy do Samary poczuli wyrzuty sumienia; starszy jednak zabrania średniemu przyznawać się przed rodzicami, i każe mu zmyślić, jakoby najmłodszy brat w nadziei lepszego losu pozostał w Azowie dobrowolnie. W tém Tatarzy z za mogił wypadli i posiekli ich; szczątki ciała po stepie porozrzucali. Druga wersya doprowadza starszych braci do domu rodziców, średni brat wydaje starszego, którego rodzice wypędzają a całą swą miłość zlewają na średniego; to téż i Bóg jednego prześladuje, drugiemu zaś błogosławi we wszystkiém.

Do najpiękniejszych wszelako dum bez wahania odnieść musimy dumę o *Samijle Kiszce*, Hetmanie Zaporoskim i *Ałkanie paszy* z Trebizendy: treść jéj następująca Samijło Kiszka z 350 kozakami pojmany został do niewoli tureckiéj. Niewolnicy na paradnéj galerze wiosłują przykuci po dwóch do wiosła i do ławek. Klucznikiem i mającym nadzór nad niewolnikami jest Lach Buturłak, sotnik Perejasławski, klucznik galerski, który poturczył się, pobisurmanił się dla „państwa wełykoho, dla łakomstwa neszczasnoho“ i znęca się nad biednymi niewolnikami i nad Samijłą. Ałkan pasza przybył na téj galerze do m. Kozłowa w zaloty do córki miejscowego gubernatora; w Kozłowie wystawnie go przyjmą i posyłają na statek jadła i napoje. Lach Buturłak, gdy podpił, wspomniał dawne czasy, chciał o nich, o stronach rodzinnych, o wierze chrześciańskiéj pogwarzyć z Samijłą i w przypływie uczuć, winem wzbudzonych, częstuje go także. Lecz Samijło udaje tylko, że pije, a spoiwszy ostatecznie Buturłaka, wykrada mu klucze od kajdan. Późno wrócił Ałkan na statek a zastawszy wiernego sługę śpiącym, nie kazał go budzić i sam do snu się ułożył. O północy niewolnicy wrzucili do morza kajdany, uśpionym Turkom pocichu oręż zabrali, wszystkich wymordowali, pozostawiwszy tylko Buturłaka. Z rady tego ostatniego część kozaków przebrała się w stroje tureckie, by przy spotkaniu z okrętami

tureckiemi nie wzbudzać podejrzeń. W taki sposób wyzwoleni wrócili do ujścia Dniepru, do swoich.

Jest to najdłuższa, najpełniéj zachowana duma. Ona może dać nam pojęcie o bogactwie epicznéj twórczości dawnéj Rusi, zatraconém gdzie indziéj z powodu opóźnienia w zapisywaniu jéj pomników. Razi ona może więcéj od innych archaizmami i naleciałościami cerkiewno słowiańskiemi, z powodu indywidualnych cech piewcy kobzarza, który przeważnie religijne śpiewał pieśni. Do zdumienia realnie prawdziwą jest ta duma pod względem treści. Opisanie paradnéj galery tureckiéj nadzwyczaj jest blizkiém rzeczywistości. Położenie na niéj niewolników wioślarzy potwierdza w zupełności historya. Postać Lacha Buturłaka jest zupełnie typową. Jak i Marusia Bohusławka jest on renegatem, lecz jako mężczyzna i karyerowicz odmiennemi barwami w dumie odmalowany. P. Antonowicz mówi: „chrześciańscy renegaci u Turków pozyskali sobie szeroki rozgłos między innemi okrutném obejściem się z chrześcianami. Tak, znakomity korsarz arnaucki, Mami, pan Cerwantesa, któremu się dostał wielki poeta, wzięty w 1575 r. do niewoli, był renegatem; dej Algieru, który późniéj kupił Cerwantesa, był także renegatem,—a obadwa odznaczali się niesłychaném okrucieństwem względem chrześcian-niewolników. Poseł wenecki Treviziano, opisując flotę turecką 1554 r. opowiada o licznéj usłudze „biednych niewolnikach,“ którzy stają się Turkami, nie będąc w stanie znieść plag i głodu, ni téż ciągłych gróźb śmiercią“. Do takich należy Lach Buturłak, co przebywszy długo w niewoli, poturczył się i został wyniesiony na klucznika galery. Historya daje nam kilka przykładów renegatów polskich i ruskich, a niektórzy z nich piastowali wysokie urzędy. Ałkana paszę duma przedstawia, jako człowieka umyslu dość ograniczonego a okrutnego dla chrześcian; to najpowszechniejszy typ w tureckiéj administracyi. Będąc naczelnikiem ejaletu Trebizonckiego, przyjechał w zaloty do córki podwładnego sobie gubernatora sandżaku (okręgu) Kozłowskiego. Kobzarz rusiński maluje tę „diwkę sandżakiwnę“ może zbyt po swojemu, lecz dostojne turczynki, szczególniéj na prowincyi, mogły używać więcéj swobody, niż ta, jaką im wyznaczała etykieta muzułmańska.

Na zakończenie duma przedstawia opis zwyczaju, jaki zachowywano w Siczy po szczęśliwym pochodzie na muzułmanów. Bogatą zdobycz dzielono na 3 części: jedną oddawano na cerkwie i monastery kozackie, druga szła pomiędzy starszyznę i kozaków, a trzecią poświęcano na wspólną ucztę. Szczegóły o tym zwyczaju można sprawdzić z opisu powrotu koszowego Sirka z Krymu w 1651 r. (Letopiś Wieliczka. Kijów, 1851 r. II, str. 377). Hetman Samijło Kiszka

jest postacią dziejową z końca XVI i początku XVII w., zostawał on długo w niewoli tureckiéj, lecz nie posiadamy dotąd danych historycznych o jego powrocie. Prawdopodobnie jednak imię tego hetmana tylko wypadkowo z fabułą téj dumy zostało przez piewców związane. Zdarzenie, opisane w dumie, jest faktem dziejowym lecz w odmiennéj nieco formie. W Bibliotece Ossolińskich znajdują się dwa przekłady na język polski (rkpsy. N. 6 i 967) włoskiéj broszury nieznanego autora, wydanéj w Rzymie w 1643 r. o nadzwyczajném wydarzeniu, w którém jakiś dostojny oficer Simonowicz, pozostający w niewoli wraz z 207 niewolnikami z polskiéj Rusi, zdołał zamordować naczelnika Anti-paszę Marjola i jego załogę i umknąć wraz z łupem bogatym i galerą do Włoch. Galera była jedną z najbogatszych; wypadek miał miejsce na morzu Marmora, lecz spisek został uknuty jeszcze w Azowie. Do wykonania spisku przyczynił się wiele renegat Sylwester z Liworno. W głównych zarysach broszura i duma bardzo są zgodne. Prawdopodobném jest przeto, że opisują jeden i ten sam wypadek, lecz z czasem imiona, miejsce i szczegóły zostały zmodyfikowane, jak się to często wydarza w literaturze ustnéj, i całe zatém opowiadanie o zapomnianym Simonowiczu zostało zastosowane do Samijły Kiszki, który także był długo w niewoli, lecz zakończył życie na Ukrainie i tam téż pogrzebiony (1).

2. *Chmielniczyzna. Wiek XVII.* — Z owéj epoki posiadamy w zbiorach tylko cztery dumy o Chmielnickim i jego czynach, dwie dumy o uciemiężaniu ludu przez żydów i Polaków i dwa urywki zapomnianych dum o Weremiju Wołoszynie i o Iwanie Bohunie. Dwa te urywki tak są krótkie, iż mają tylko znaczenie wskazówki, że istniały niegdyś dumy o tych osobistościach. Właściwie więc zachowało się tylko sześć dum z tego czasu. Różnią się one zupełnie od dum poprzedniego okresu. Osobistości tu i wypadki czysto dziejowe; ton więcéj namiętny niż liryczny, częstokroć nacechowany ostrym sarkazmem. Oprócz opisu wypadków i zdarzeń, dumy te posiadają szczególną jeszcze cechę: wszystkie one uwzględniają interesy społeczne kozaczyzny i ludu, i nacechowane uczuciem szczególnego patryotyzmu kozackiego, który występuje w walce z Polakami. We wszystkich, z wyjątkiem może dumy o wyprawie na Wołoszczyznę, na pierwszy plan występuje nie bohaterstwo, lecz kwestya swobody i przywilejów kozackich, uciemiężania ludu, praw nawet terytoryalnych rusińskich. Nie są to już spokojne rapsody o faktach i osobistościach dziejowych, lecz namiętne okrzyki namiętnéj walki, pełne

(1) Kijewsk. Starina VI str. 212–232.

z jednéj strony nienawiści dla wroga, z drugiéj przesadnych może pochwał dla własnych bohaterów.

Duma o *Chmielnickim i Barabaszu* opowiada dziejowy wypadek z r. 1647 zupełnie zgodnie z kronikarzami (1). Chmielnicki zaprasza do Czehryna hetmana (właściwie sotnika) Barabasza w kumy na ucztę. Podczas biesiady i częstunku namawia go do pokazania listów królewskich (2) i wedle nich „kozakam kozacki poriadki dawaty, za wiru chrystyjańśku odnostajne staty.“ Barabasz jednak odpowiada, że lepiéj „z lachamy, mostywymy panamy z upokojem chlib-sil po wik wicznyj używaty.“ Widząc, że Barabasz namówić się nie da, Chmielnicki spaja go, z prawéj ręki z małego palca zdjął szczerozłoty pierścień, wyjął z lewéj kieszeni klucze, a z pod pasa jedwabną chustkę i posłał z temi oznakami wiernego sługę do Czerkas do pani Barabaszowéj, żądając w imieniu jéj męża przysłania przywilejów królewskich. Oszukana w ten sposób żona Barabasza, wyjęła je ze szkatuły i wręczyła posłańcowi Chmielnickiego, który téjże nocy wyruszył z niemi na Zaporoże. Daléj duma opowiada, jak Chmielnicki wzywał kozaków do powstania, jak w czasie pierwszéj bitwy na Żółtych wodach (1648 r.) zginął Barabasz. Tylko w niektórych szczegółach opowiadanie odstępuje od prawdy faktycznej.

Duma o *bitwie pod Korsuniem* (25 maja 1648 r.), widocznie bardzo niepełna, poczyna się wezwaniem kozaków przez Chmielnickiego do boju z Polakami na polach między Korsuniem a Steblowem. Bitwa opisana jest w dumie, jako warzenie piwa. Dziwią się kozacy, że Lachy uciekają i nie chcą dopijać ich piwa; ujęli tedy hetmana Potockiego i związanego jak barana przed Chmielnickiego przywiedli. „Héj, panie Potocki! dla czego masz rozum babski? nie umiałeś w *Kamieńskim Podolcu* przebywać, pieczonego prosięcia i kury z pieprzem i szafranem używać; nie potrafisz ty z nami kozakami wojować i żytnią sołomachę z tuzłukiem (surowcem) zajadać; muszę więc oddać cię do rąk chana krymskiego, by cię krymskie nahaje nauczyły żuć surową koninę.“ Daléj duma mówi, że zwyciężeni Polacy poczęli narzekać na żydów, którzy swemi zdzierstwami powstanie wzbudzili, i teraz powinni zebrać nagromadzone skarby i jednać Chmielnickiego. Lecz żydzi woleli salwować się ucieczką. Ze złośliwym sarkazmem i dosadnością opisana ta ucieczka, a rzecz kończy

---

(1) Latopis Samowidca str. 6; Latopis Wieliczka I, str. 23—29; Kochowski, Annales Pol. I str. 23.

(2) Przywiléj króla Władysława IV z r. 1646 powracał kozakom dawne prawa utracone po ugodzie kurakowskiéj, i zawierał rozkaz budowania czajek kosztem króla. Akt ten był ważnym dla Chmielnickiego w początku powstania, gdyż mógł być użytym jako dowód aprobaty królewskiéj.

się obrazem niedoli lackich wdów, pozostałych na Ukrainie po téj bitwie.

Wyprawa Chmielnickiego na Wołoszczyznę 1650 r. przeciw hospodarowi Bazylemu Lupułowi, który ze względu na stosunki z Polską nie chciał wydać swéj córki Roksandy za syna hetmańskiego, posłużyła za treść bohaterskiego rapsodu na cześć Chmielnickiego. Duma nie zna pobudek wojny, zaznacza na wstępie, że tylko Bóg i Chmielnicki wiedział, co Chmielnicki przedsiębrał; nie wiedzieli o tém „ani sotnyky, ni połkownyky, ni dżury (ciury) kozaćkyji, ni muži hromadźkyji.“ Wysłał naprzód hetman 12 par armat, potém, sam wyruszył, za nim idą kozacy, huczą jak wiosenne roje, który kozak nie miał zbroi należytéj, ten kij chwytał na ramię i śpieszył za Chmielnickim w szeregach ochotników. Przeszli Dniestr na trzech przeprawach i oblegli miasto Sorokę. Hetman pisze własnoręcznie do hospodara, żądając poddania dobrowolnie połowy grodów wołoskich i zapłacenia kontrybucyi, lecz Bazyli odmawia. Wtedy Chmielnicki zdobył Sorokę, spalił pustą Siczawę, któréj mieszkańcy do Jass uciekli i szemrali na opieszałość hospodara. Hospodar umknął do Chocimia i prosił o pomoc „Iwana Potoćkoho, korola polśkoho“ w te słowa: „tyż na sławnéj Urainie pijesz i hulasz, ą nie wiesz nic o mojéj przygodzie; wasz hetman Chmielnicki całą moją ziemię wołoską zgnębił, pole kopią zorał, wszystkim Wołochom głowy zdjął i niemi wszystkie drogi i ścieżki wybrukował, a głębokie doliny wołoską krwią napełnił.“ W odmownéj swéj odpowiedzi Potocki wymawia się od walki z Chmielnickim, gdyż on zwyciężył jego rycerzy nad Zółtemi wodami, *trzech synów jego żywcem ujął* i sultanowi podarował, nakoniec jego samego „try dni na prykowi kraj puszky deržaw, ani pyt' meni, ani jisty ne daw.“ Zatém duma kończy zapewnieniem wiernéj sławy Chmielnickiemu, która nie umrze, nie polegnie. Opowiadając o téj wojnie, nie wspomina o uczęstnictwie w niéj chana krymskiego Nurredyna, o tém, że zagony Chmielnickiego spaliły nietylko Suczawę, ale nawet Jassy, a Mikołaja Potockiego nazywa Iwanem. W innych szczegółach zupełnie jest zgodna z historyą. Wiernie nawet schwyconą jest charterystyka Potockiego, który według wielu współczesnych świadectw, nie bacząc na sędziwe lata, więcéj myślał o gładkich dziewczętach, kieliszku i kubku, niż o pożytku rzeczypospolitéj.

Czwarta duma o Chmielnickim poświęcona jest *jego śmierci i obraniu na hetmana syna jego Jerzego* w 1657 r. Opowiada ona, że Chmielnicki czując się chorym, kazał pisarzowi wojskowemu Iwanowi Łuhowskiemu (Wyhowskiemu) wezwać wszystką starszyznę na radę. Na téj radzie Chmielnicki zażądał, by za życia jego obrano no-

wego hetmana, przyczém na prośbę rady wskazał im jako kandydatów Iwana Łuhowskiego, Pawła Teterenkę, Antona Wołoczaja Kijowskiego, Hryćka Kostyra Mirhorodzkiego, Filona Czyczaja Kropiwiańskiego, albo Martyna Puszkara Połtawskiego. Kozacy jednak nie zgodzili się na tych kandydatów pod rozmaitemi pozorami, tak nap. na Wyhowskiego dla tego, że „blizko z Lachami żyje i będzie kozaków za nic poczytywać.“ Obrali więc nieletniego hetmanicza Jurasia, przy którym uradzili trzymać starych ludzi jako doradców. Wkrótce po radzie zmiera stary hetman w nieobecności syna, który zawiadomiony przybywa i razem z kozakami wyprawia mu pogrzeb kozacki. Jeden z waryantów kończy się życzeniem, by pod młodym hetmanem tak żyli kozacy, jak pod starym; inny zaś waryant mówi, że Jerzego poważano, pokąd żył ojciec; ze śmiercią jego, kozacy przestali go za hetmana uznawać, uważając go za godnego tylko do zamiatania kurzeni kozackich. W dumie téj piewca widocznie splątał dwa rozmaite fakty dziejowe: przedśmiertne Chmielnickiego narady z bliskiemi osobami o zapewnieniu Jerzemu buławy, z radą kozacką odbytą 24 i 27 sierpnia po śmierci Chmielnickiego (27 lipca), na któréj wybranym został Jerzy, a do jego pełnoletności zarząd oddano Wyhowskiemu, opiekunowi młodego hetmana.

Dwie ostatnie dumy z czasów Chmielnickiego: *Żydzi arendarze i powstanie po pokoju Białocerkiewskim*, kreślą w czarnych kolorach, lecz zupełnie zgodnie z historyą, smutne położenie ludu pod względem ekonomicznym. W ziemi królewskiéj, powiada pierwsza duma, dobra nie było, gdyż żydzi arendarze wszystkie szlachy kozackie wydzierżawili, na jednéj mili po trzy karczmy stawili; wszystkie targi zaarendowali, brali „myto-promyto“ od wozowego po pół złotego od pieszego piechury po trzy grosze, od nieboraka żebraka brali kury i jaja, i jeszcze pyta: *cy ne ma kotyk sce coho?*“ Na sławnéj Ukrainie wszystkie cerkwie zaarendowali, tak iż jeśli któremu kozakowi albo chłopu dał Bóg dziecię, to nie idź do popa po błogosławieństwo, lecz pójdź wpierw do żyda arendarza i połóż szóstaka, by pozwolił cerkiew otworzyć i to dziecko ochrzcić. Żydzi zaarendowali wszystkie rzeki ukraińskie, tak że kozak musi mu „czast' oddaty, szczob pozwoływ na riczci ryby włowyty, żinku swoju z dit'my pokormyty.“ Oto jeszcze obrazek z téj dumy:

Todiż to odyn kozak mymo kabaka (karczmy) ide,
Z płeczyma muszket nese,
Chocze na riczci utia (kaczę) wbyty,
Żinku swoju z dit'my pokormyty.
To żyd-randar u kwatyrku pohladaje,
Do żinky swojeji stycha słowamy promowlaje:

„Ej, żydiwoczkoż moja Raslu!
Szczo cej kozak dumaje, szczo win u kabak ne wstupyt',
Za deneżku horiłky ne kupyt',
Mene żyda-randara ne pereprosyt',
Szczob pozwoływ jomu na riczci utia wbyty,
Żinku swoju z dit'my pokormyty."
Todi to żyd-randar stycha pidchożdaje,
Kozaka za patły chwataje.
To kozak na żyda-randara skosa, jak wedmid', pohladaje,
Iszcze żyda-randara mostywym panom uzywaje:
„Ej, żydu, każe, żydu-randare, mostywyj pane,
Pozwol meni na riczci utia wbyty,
Żinku moju z dit'my pokormyty."
Todi żyd-randar u kabak wchożdaje.
Na żydiwku swoju stycha słowamy promowlaje:
„Ej, Żydiwko moja Raslu,
But' meni teper u Biłij Cerkwi nastawnym rawom;
Nazwaw mene kozak mostywym panom."

Daléj duma opisuje, jak z powodu pierwszych wieści o powstaniu żydzi na sejm do Białéj Cerkwi zjechali i o swém położeniu radzili. Po wejściu na Ukrainę Chmielnickiego, poczynają zmykać do Połonnego, w którém się zamknęli. Chmielnicki żądał wydania żydów, lecz mu miasto odmówiło, a gdy podczas szturmu nadzieja obrony znikła, wrota od strony Polski otworzono i żydzi poczęli daléj uchodzić, zostawiwszy ogromne skarby kozakom.

Druga duma poczyna od narzekania na Chmielnickiego za pokój Białocerkiewski, po którym Polacy znowu na Ukrainę wrócili i zapanowali nad kozakami (wykreślonymi z rejestru), rozporządzając ich dobytkiem i żonami. Kozacy piszą listy do Chmielnickiego, wzywając o pomoc. Chmielnicki prośby wysłuchał i wybuchło nowe powstanie i rzeź Lachów, którzy uciekać musieli aż za rzeczkę Wisłę; lecz i tam Bóg ich skarał, bo lód się załamał i mnóstwo ich potonęło.

2. *Wiek XVIII.*—Z jawnemi wskazówkami na wiek XVIII mamy zapisany urywek z dumy o hajdamaku Witryhonie i prawie tylko obyczajową dumę o Atamanie Zaporoskim Chweśku Handży-Andyberze. Urywek pierwszy zapisany został od staréj włościanki w powiecie Wasylkowskim, i z niego można tylko domyślać się, że istniała kiedyś ta hajdamacka duma:

Pan Borowśkyj Witryhona pryprochaje,
A win ludej ne wyznawaje,
A pan joho na wolu puskaje:
„Skaży, skaży Ihnate, chto szcze buw z toboju,
To ja tebe Ihnate puszczu na wolu."
Ihnat słowom utwerżdaje,
A ludej ne wyznawaje.

O tym Witryhonie pozostało podanie, że mieszkał w Motowidłówce i zdawna należał do hajdamaków, miał swą bandę, lecz się z tém krył; odznaczał się jednak współczuciem i hojnością dla nędzy. Podczas koliszczyzny wystąpił jawnie, jako przywódca hajdamaków, został schwytany przez władzę i skazany w Białéj Cerkwi na ćwiertowanie. Wspomniany w urywku Borowski był istotnie podówczas komisarzem Motowidłowszczyzny. Brak zwrotek pieśniowych, skład wiersza i zwroty mowy każą się domyślać, że to była nie pieśń lecz duma.

Dumę o *Chweśku Handży-Andyberze* znawcy jednogłośnie odnoszą do XVIII w., chociaż ona właściwie nie ma pewnych cech dziejowych, nie może być przywiązaną do żadnego faktu dziejowego ani osobistości; za pewną wskazówkę epoki mogą służyć tylko szczegóły obyczajowe. Oto jéj treść: Z dzikich pól, z pod Kilii oberwany kozak-*netiaha* przybywa na Ukrainę ku Czerkasom i dopytuje się do stepowéj szynkarki Nasti Horowéj, u któréj zastaje trzech „*dukiw-srebriannykiw.*“ Bogacze żądają od Nasti by go wypędziła, lecz ten się oparł siłą. Jeden z bogaczy wyjął grosz i kazał szynkarce dać mu pośledniejszego piwa, lecz sługa przyniosła mu pokryjomu dzban *czoła pianego miodu*, który kozak osuszył i począł tak dzbanem stukać, że szklanki bogaczom pozlatywały i piec w szynkowni się rozpadł. Bogacze wymyślają nań i przeznaczają go na sługę, który powinien za pługiem chodzić lub w piecu u Nasti palić, a nie z panami ucztować. Wtedy netiaha-kozak spędza ich z honorowego miejsca za stołem, sam tam zasiada w łapciach, dobywa trzos i złotem cały stół okrywa. Bogacze wówczas doń się przysuwają i poczynają go częstować, lecz on otwiera okienko i ku rzekom pomocnicom Dnieprowym woła, by mu pomagać przybywały. Na to wezwanie zjawiają się strojni kozacy i przybierają go w szaty wspaniałe i zbroję kozacką. Wtedy dopiero poznali, że to nie kozak netiaha, lecz sam hetman zaporoski Chweśko Handża-Andyber. Ten drogich napojów nie pije, lecz na swe szaty wylewa, mówiąc: „pijcie wy szaty, bo to was, a nie mnie szanują.“ Potém kazał bogaczów obić rózgami, zlitował się tylko nad tym, który mu piwa kazał podać. Kozacy bijąc duków, tak przemawiają: „Ej duky, wy duky! Za wamy wsi łuhy i łuky, — nihde naszomu bratu kozaku - netiazi staty i konia popasty!“

Do powyższéj dumy treścią swą przymykają dwie inne, czysto obyczajowo kozackie, *o śmierci kozaka bandurzysty* oraz *kozak i kozaczka.*

Pierwsza z nich, pełna głębokiego liryzmu, przedstawia nam, jak „na tatarskich polach, na szlakach kozackich siedzi na mogile

stary kozak, jak gołąb siwy, na kobzie przygrywa i śpiewa.... Koń obok niego postrzelony, porąbany, kopia złamana, pochwa bez szabli, w ładownicy ani jednego naboju. Została mu tylko bandura podróżna, w głębokiéj kieszeni lulka-buruńka i tytoniu pół papuchy. Nieborak, czując śmierć bliską, wspomina towarzyszy, którzy go na pobojowisku zostawili, narzeka, że nie będzie komu go nawet pochować, zwraca się więc z takiém pożegnaniem do swojéj bandury:

Kobzoż moja, drużyno wirnaja,
Banduro moja malowanaja!
Deż meni tebe dity?
A czy u czystomu stepu spałyty,
I popiłeć po witru pustyty?
A czy na mohyli położyty?
Nechaj bujnyj witer po stepach prolitaje,
Struny twoji zaczipaje,
Smutneseńko, żałybneseńko hrajc—wyhrawaje.
To może podorożni kozaky bihtymut' błyzeńko,
Poczujut', szczo ty hrajesz żałybneńko,
Prywernut' do mohyły....

Duma o kozaku i kozaczce odsłania nam domowe życie rodziny kozackiéj, rysując z właściwym humorem, dochodzącym do sarkazmu, stosunek wzajemny małżonków, ich ekonomiczne położenie, bezrząd i niedolę, co wszystko razem gna kozaka do karczmy:

Hej korczmo, korczmo kniahynie!
Czom to w tobi kozaćkoho dobra bahato hyne?
I sama jesy neoszatno chodysz,
I nas kozakiw-netiah pid słuczaj bez swytok wodysz.

Kozacka chata we wsi tak tutaj wygląda: „Słomą nie pokryta, przyzbą nieosypana, koło dwora ani koła, na drewutni drew ani polana. Siedzi w niéj kozacka żona skostniała; o, poznasz, poznasz kozacką żonę, co przez całą zimę boso chodzi, garnkiem wodę nosi, z warząchwi dzieci napawa.“

Trzy ostatnie dumy: *Ojczym, matka i trzech synów* oraz *Brat i siostra* są tylko z formy dumami, właściwie zaś są to rapsody epiczne treści czysto moralnéj, poświęcone uczuciom i stosunkom rodzinnym. Wyrażona jest tu myśl, że człowiek nawet w dostatku tak ginie bez bliskiéj rodziny, jak ryba bez wody, a nieuszanowanie dla matki jest zawsze źródłem nieszczęść i niepowodzeń. W trzech tych utworach nie ma nic dziejowego, nawet obyczajowo historycznych wskazówek; główny ich cel — dydaktyczny, nie obcy i dumom właściwym. Ważném jest to, że treść tych dum znaną jest i w pieśni ludowéj, różniącéj się tylko formą. Trudno jednak dziś sądzić o ge-

netycznym ich związku; można tylko przypuścić, że treść tych dum jasna i zrozumiała zawsze dla ludu, mogła być przyswojoną i sparafrazowaną w zwykłą baladę gminną.

Przytoczona wyżéj w krótkości treść eposu Rusinów każe nam go postawić bodaj czy nie na najwyższym szczeblu w rzędzie tego rodzaju utworów u ludów słowiańskich. Jak wiadomo, obecnie oprócz Rusinów, tylko Wielkorosyanie, Serbowie i Bułgarowie posiadają prawdziwy epos ludowy; inne plemiona zupełnie go nie mają. Nie łatwo wytłómaczyć przyczynę, dla czego jedne ludy potrafiły stworzyć narodowy epos historyczny, inne zaś, należące do téj saméj grupy plemiennéj, posiadają zaledwo jakieś niejasne, luźne wspomnienia dziejowe w piosence lirycznéj. Wpływało tu i poetyczne usposobienie ludu i wojowniczy duch jego i zasób materyału historycznego i rola polityczna narodu. Bez tych danych nie może lud stworzyć eposu, lecz i przy nich nie każdy go stworzył, jak np. lud polski. Naród polski niezaprzeczenie posiada daleko donioślejszą przeszłość dziejową, niż Rusini; nie mniéj był walecznym, a poetycznego zapału odmówić mu chyba nie można, — prawdziwego eposu jednak, takiego, jaki napotykamy u Rusinów, nie posiada wcale. Co wpłynęło na taką różnicę, co wpłynęło na to, że Rusin i Serb do dziś opiewa swe zapasy z wrogami, sławne swoje zwycięstwa i swoich bohaterów unieśmiertelnił w pieśni historycznéj, kiedy lud polski poezyą swoję poświęcił religii, uczuciom miłośnym i wogóle stronie obyczajowéj, zapomniawszy o czasach minionych? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy poniekąd w różnicy charakteru dziejowéj roli tych ludów.

Lud polski, w gruncie rzeczy, bezpośrednio nie odegrywał prawie żadnéj roli świadoméj w historyczném i polityczném życiu, którego losy spoczywały w ręku nielicznéj warstwy rycerskiéj, a potém możnowładztwa szlacheckiego. Nigdy on nie żył politycznie i świadomie nie mógł rozstrzygać spraw narodowych, ztąd téż mało go one obchodziły, były dlań prawie obce i nie mogły przeto podnieść jego uczuć patryotycznych do tego stopnia, by aż poczuł potrzebę wylania ich w pieśni historycznéj.

Co innego zupełnie widzimy u Serbów i Rusinów. Prawdziwy epos historyczny tych ludów należy do tych epok, gdy w losach dziejowych narodu biorą udział masy ludowe, gdy uczucie patryotyczne zaczyna przenikać do najbiedniejszéj chałupy wieśniaczéj. Epos serbski nie opiewa czasów najsilniejszego rozwoju państwa potężnych Duszanów, kiedy silna władza monarchiczna decydowała o sprawach narodu, lecz rozkwita dopiero po upadku téj władzy, podczas

walki z Turkami, gdy lud począł się ruszać, gdy lud wziął na swoje barki obronę ojczyzny. Podobny objaw znajdujemy i u Rusinów. Czasy książęce Rusi i litewskie, nie zważając na świetność dziejową epoki Włodzimierza św., Jarosława, Włodzimierza Monomacha, Daniela na Haliczu, Witołda i inne nie wydały eposu ludowego, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Odbijały się tylko w pieśniach, składanych na cześć książąt po dworach książęcych, szczątki których pozostały w bylinach. Duma zaś powstaje razem z kozaczyzną i z nią téż umiera, słowém w téj epoce, gdy świadomość i poczucie narodowe sięgają głębiéj w warstwy społeczne, gdy historya powołuje na arenę walki nie wybrańców władzy lecz masy ludowe.

Uczeni rusińscy starają się znaleść nić, łączącą ukraińskie dumy ze starém pieśniarstwem ruskiem, ze Słowem o wyprawie Igora i z bylinami. P. Kulisz, wślad za Maksimowiczem, pierwszy dość kategorycznie wypowiada twierdzenie, że „Słowo o pułku Igorewie“ jest dumą, znajdując wielkie podobieństwo w zwrotach epicznych. Prof. Potebnia w monografii o tym zabytku XII w. znajduje na każdym kroku jednakie z dumami cechy, pod względem poetycznym i lingwistycznym; a p. Żytecki potrafił dostrzedz nawet formę tę samę—okresy logiczne wiązane rymem czasownikowym (1). Badania te niewątpliwie nas przekonywują, że język Słowa jest językiem ludowym staroruskim, skażonym przez ówczesny język literacki—bułgarski, że forma téj pieśni została także skażoną przez zapisywanie, że wreszcie wcale jest możliwém przypuszczenie, iż pieśń ta śpiewaną była przez pieśniarza w narzeczu ludowém, a zepsutą została podczas transkrypcyi i mogła być z *formy* bardzo podobną do późniejszéj dumy ukraińskiéj. Że epos ruski już istniał za czasów książęcéj Rusi, to kwestyi nie ulega; świadczy o tém pieśń o wyprawie Igora, dwie wzmianki kronikarskie o piewcach na dworach książęcych i wreszcie cały cykl bylin ołoneckich. Kronika kijowska pod rokiem 1137 wspomina, że do bogobojnego księcia Mścisława przybył od Greków samotrzéć skopiec *Manujło*, *piewca zdolny* (gorazdyj), a Kronika wołyńska opowiada pod rokiem już 1241, jak książe Daniel porwał gwałtem u władyki przemyskiego „*słowut'neho piewca Mitusu*“, który przedtém nie zechciał służyć u księcia. Kwestya pochodzenia bylin ołoneckich cyklu kijowskiego posiada dość obszerną literaturę, lecz dopiero w ostatnich czasach wstąpiła na pole krytyki naukowéj, w któréj uwydatniają się dwa poważne zdania naukowe pp. Stasowa i Wiesiełowskiego. P. Stasow, znawca rzeczy

(1) Patrz: *Kulisz*, Zap. o J. Rusi. I, 193—196. — *Potebnia*, Słowo o polku Igorewie (liczne uwagi pod tekstem). — *Žitecki*, Archiv f. Slav. Philol. II, 660.

wschodnich, w obszernéj monografii stara się dowieść, że byliny jak z formy tak i z treści są pochodzenia czysto mongolskiego. Szczegółowo bada przechowaną w bylinach topografią, faunę, florę, i nie znajduje w nich zupełnie Naddnieprza, lecz tylko obrazy azyatyckie. Daléj, poczynając od imion bohaterów, nazw, obyczajów i kończąc fabułą bylin — wszystko to znajduje on w eposie bohaterskim ludów środkowéj- Azyi, a nie dopatruje nic wspólnego z Rusią kijowską, oprócz kilku imion i nazw. Zdanie swoje popiera on jeszcze tém, że etnografia jakoby nie mogła znaleść u miejscowéj ludności—u Rusinów, ani jednéj pieśni o bohaterach bylin, zapisane zaś one zostały na dalekiéj północy. Przypuszcza więc, że byliny rosyjskie przyniesione zostały do Rosyi przez Tatarów, tu zostały przełożone na język rosyjski, a wreszcie splątały się ze wspomnieniami o Kijowie i w téj formie zaaklimatyzowały, nie doszedłszy nawet do Ukrainy. P. Wiesiełowski jest całkiem innego zdania; słusznie on uważa, że pochodzenie bylin o ks. Włodzimierzu na czele bajecznych bohaterów jest czysto rusińskie. Były one na Rusi pieśniami, lecz z czasem zatarły się w pamięci, pozostawiając zaledwo króciutkie niejasne podania o *Mychajłyku* (w bylinach Michajło Daniłowicz), o *Ilji Murawlenynie* (w byl. Ilja Muromiec) i t. p. Pieśni te zaniesione na północ, zostały skażone nie do poznania: „odcięte od gruntu, na którym powstały, oddzielone całemi stuleciami od warunków historycznych, których były wyrazem, z konieczności musiały uledz skażeniu, przystosowując się do nowych warunków oraz tego społecznego i miejscowego otoczenia, wśród którego wypadło im zakończać swój wielowiekowy żywot. Aklimatyzacya dokonana została niezupełnie. Obrazy przyrody małoruskiéj stały się ogólnikowemi i nieurozmaicały się nowemi barwami północy; dla przesady otwarło się pole szerokie, gdyż prześpiewywano nie własną pieśń, wziętą wprost z życia, z własnéj przeszłości, słowem z tych źródeł, skąd piewca mógłby stale czerpać poczucie miary i prawdopodobieństwa: prześpiewywano pieśń zapożyczoną, którą wypadało tłumaczyć i przerobić na nowo, inaczéj byłaby prawie niezrozumiałą“ (1). Obadwa zdania w części mają słuszność za sobą, gdyż podaniom rusińskim nie obcą jest treść wielu bylin, a z drugiéj strony, podczas peregrynacyi tych rapsodów na północy przybył im znaczny narost wpływów mongolskich.

Na zapomnienie dawnego eposu na Rusi wpłynąć musiały dwie główne przyczyny. Każdy właściwy epos jest repertoarem specyalnych piewców; lud go spamiętać nie może. O ile możemy dziś sądzić z tych danych, jakie nam przedstawia treść bylin, pieśń o wy-

---

(1) *Wiesielowskij A.* Jużnorusskija byliny. Petersb. 1881, str. 38—39.

prawie Igora i świadectwo o ustroju społecznym książęcéj Rusi, wypada przyjść do wniosku, że epos tego okresu nie był dla gminu, miał racyą bytu tylko na dworach książęcych i wśród drużyny, bo tylko te sfery obejmowała treść tych pieśni i te tylko sfery mógł on interesować. Lud prawie zawsze pozostawał obojętnym na losy ustawicznych walk pomiędzy udzielnemi książęty; może go trochę więcéj obchodziły zapasy kresowe z Połowcami i Pieczyngami, to téż o tych ostatnich zachował lud dotąd niejasne wspomnienia, które jednocześnie uwydatniły się i w bylinach. Po upadku Rusi kijowskiéj, po wielkiéj burzy tatarskiéj, dawny ustrój społeczny zmienia się rdzennie; książęta i drużyna w swéj dawnéj postaci znikają zupełnie i audytoryum dawnego piewcy biesiadnego opróżnia się. Śpiewak musiał szukać powolnego dla siebie ucha na północy, gdzie stary porządek trwał daléj, urabiając się w nowe formy stopniowo i spokojniéj. Tam go jeszcze rozumiano, więc nic dziwnego, że południowe pieśni umilkły nad brzegiem Dniepru, gdzie się zrodziły, a długo jeszcze brzmiały po teremach Moskiewskich i wreszcie ścięte zostały mrozem w téj dzikiéj i cudackiéj formie, w jakiéj je dziś etnografowie wygrzebali.

Drugą nie mniéj ważną rolę w zapomnieniu na Rusi starego eposu książęcego odegrał czas. Pomniki epicznéj twórczości ludowéj ze zmianą warunków, wśród których się zrodziły, przechowywane w pamięci tylko, w początku poczynają płowieć, tracą cechy opowiadań dziejowych; daléj nikną nawet barwy dziejowe i wreszcie przechodząc w formę prozaiczną, stają się legendami albo baśniami. Jest-to niewątpliwy los wszystkich utworów epicznych ludu, stwierdzony licznemi spostrzeżeniami. Bardzo wiele i rusińskich bajek i legend zachowało dotąd pewne cechy, z których łatwo się domyśléć, iż niegdyś były pieśniami; to samo możemy wskazać i w zajmującym nas cyklu eposu książęcego. Zapisana w kilku waryantach legenda ukraińska o 12-letnim bohaterze Mychajłyku, który zwalczył Tatarów-ułanów oblegających w Kijowie ks. Włodzimierza, w dwóch waryantach zachowała jeszcze kilka urywków wiązanéj mowy, a jeden z etnografów słyszał ją nawet śpiewaną. Ta sama legenda jest dokładną treścią jednéj z bylin o Michajle Daniłowiczu. Podobny rozkład pomników starego eposu widzimy w samych dumach. Znaczna ich ilość zaginęła już w niepamięci; te, co ocalały, mocno są uszkodzone, a za jakie lat trzydzieści etnograf ani jednéj od kobzarza nie posłyszy.

Brak starych dum ukraińskich o czasach książęcych, tak łatwo dziś zrozumiały, srodze martwił niektórych etnografów rusińskich, i czy-to lepszéj warte sprawy uczucie patryotyczne, czy chęć wsła-

wienia się ważném odkryciem natchnęła p. Szyszackiego-Illicza myślą podrobienia odpowiedniego utworu. To téż ogłosił on dumę o wyprawie morskiéj starszego kniazia poganina do ziemi chrześciańskiéj, jako zapisaną od staréj *kobiety* (1). Z początku mistyfikacya zrobiła wrażenie i oszukała nawet takich znawców, jak p. Kulisz, który w odkryciu tego pomnika widział epokę w historyi literatury ludowéj Rusi. Lecz wkrótce krytyka zdemaskowała fałsz, gdyż autor nie sprostał zadaniu i zdradził się mnóstwem błędów naukowych, które spożytkował dla swego utworu. Takich fałszerstw odkryto późniéj mnóstwo. głównie zabawiał się tém pan Srezniewski i jego sławne wydawnictwo: „Zaporożskaja Starina“ (1833 r.), okazało się w przeważnéj części fabrykatem (2). Niektóre dumy fabrykowano w kilku waryantach. Tak w 1834 r. p. Maksimowicz wydał pierwszą część swych „Narodowych Ukr. pieśni.“ Materyały on zbierał od rozmaitych osób; między innemi posiłkował się i wydawnictwem Srezniewskiego. Na str. 57 zamieścił on dumę o Paliju i Mazepie, omawiając się wszakże, że waryant jéj w zbiorze Z. Chodakowskiego, nabytym od jego wdowy, jest krótką piosnką ludową. Zamieszczając ją jako dumę pod wpływem drugiego jakiegoś waryantu, omylił się wydawca i przyjął piosnkę za dumę może z powodu braku jasnego pojęcia o ich różnicy, tymczasem, pomijając już charakter opisowy, od początku do końca ma ona zupełnie prawidłowy układ strof i wierszy pieśni ludowéj. Krótka, niejasna piosenka o schwytaniu Palija i o bitwie Połtawskiéj, podana w dobréj wierze jako duma, zaostrzyła apetyt etnografów-aferzystów; poczęto szukać waryantów pełniejszych, lecz rozumie się znaleść nie zdołano. Sfabrykowano więc całą dumę o bitwie pod Połtawą i ucieczce Mazepy aż w dwóch waryantach. Niekrytyczny Maksimowicz zamieścił jeden z nich w swym nowym zbiorze z 1849 r., a drugi ogłoszono w Połtawskich Guber. Wiadomościach z 1860 r. (N. 14, 15). Jest to licha elukubracya, w któréj dość nieumiejętnie naśladowano inne dumy, przeplatając opowiadanie całkowicie wyjętemi z pieśni ustępami, bez dostatecznéj znajomości języka, formy i ducha dum kobzarskich. Fałszerstwo nie podlega dla mnie najmniejszéj wątpliwości, chociaż u niektórych dotąd ta duma kredyt posiada.

Dumy kozackie wyrosły na gruncie czysto kozackim i w treści swéj nie noszą żadnych śladów dawnego eposu książęcego. W zna-

---

(1) *Czernihowskija Gubernskija Wiedomosti*, 1855, N. 16.

(2) Do takich sfałszowanych dum p. Srezniewskiego należą np. *O wyprawie na Polaków Samka Muszkieta, Kukuruzy i Karpa Piwtorakożucha; O darach Batorego i śmierci Bohdanka; O wyprawie Serpiahy.*

nych nam dumach co krok spotykamy ślady wpływu dum wcześniejszych na późniejsze; w jednéj dumie znajdziesz całe ustępy wzięte z innych. Gdyby dumy kozackie były bezpośrednią kontynuacyą dawnego eposu, niewątpliwie posiadałyby w swym składzie resztki pieśni książęcych, podległych rozkładowi. Widzimy jednak, że w nich wątek dawnych wspomnień jak dziejowych, tak i obyczajowych, zupełnie został zerwany i treść ich zupełnie jest samodzielną, nową.

Mamy niewątpliwe świadectwo, że dumy rusińskie znane już były w zaraniu XVI w. Sarnicki w swoich „Annales“ pod r. 1506 podaje taką wzmiankę: „Per idem tempus duo Strussii fratres, adolescentes strenui et bellicosi, a Valachis oppressi occubuerunt. De quibus etiam nunc *elegiae*, *quas dumas Russi vocant*, canuntur voce lugubri et gestu canentium se in utramque partem motantium, id, quod canitur, exprimentes; quin et tibiis inflatis rustica turba passim modulis lamentabilibus, haec eadem imitando exprimit.“ Z téj krótkiéj wzmianki widzimy, że w połowie XVI w., kiedy pisał Sarnicki, śpiewano elegie o poległych w r. 1506 braciach Strusiach, że nuta ich była smutna i poważna, że takie pienie *Rusini zwali dumami*. Pieśni takie widocznie już były dawno znane, gdy lud je z pomiędzy innych wyróżnił i nazwał osobném mianem. Jak dawno przed Sarnickim zaczęły brzmieć te rapsody, sądzić nie możemy, innych bowiem o tém danych nie ma. Jedna jeszcze okoliczność w téj wzmiance zasługuje na uwagę, a mianowicie to, że gmin wiejski (*rustica turba*) z przejęciem się słuchał téj dumy i wyrażał jawnie swe współczucie. Dumę więc o bohaterach Strusiach śpiewano już nie książętom, nie panom, nie wybrańcom społecznym, lecz wobec ludu, wiejskiego gminu. Jest-to szczegół nadzwyczaj charakterystyczny. Nowe audytoryum pieśniarza nie mogło się zadowolnić wysławianiem tylko czyjejś odwagi lub innych cnót prywatnych; wymagało ono od pieśni bliższego zajęcia się losem samego ludu. To też pieśniarze, aby zyskać posłuch téj sielskiéj gawiedzi, musieli dobierać i odpowiednich dla niéj motywów. Z konieczności więc dumy musiały stać się demokratycznemi zupełnie. W istocie, rozpatrując dumy z okresu tatarsko-tureckiego, musimy zaznaczyć w nich główną cechę — demokratyzm. Prawie wszystkie one poświęcone są ludziom z gminu, prostym biednym niewolnikom, lub zwykłym kozakom szeregowym. Matiasz, Samijło Kiszka, Fedor Bezrodny, chociaż należą do starszyzny kozaczéj, lecz o tyle są wysławiani, o ile się braci kozaczéj, towarzystwu dobrze wysłużyli. Ideałami tych dum niezmiennie zostają obok wiary chrześciańskiéj: równość braterska w społeczeństwie, swoboda osobista i uczucie rodzinne. W późniejszych dumach demokratyczne te ideały występują jeszcze jawniéj. Takie du-

my, jak o żydach arendarzach, o powstaniu po Białocerkiewskim pokoju, Handża-Andyber—całkowicie poświęcone są protestom ekonomicznym i socyalnym ludu, a cała walka z Polakami przedstawia się jako powstanie uciemiężonego ludu. Jedyna tylko duma o wyprawie na Wołoszczyznę nie nosi charakteru rapsodu o walce narodowéj, bo też ta wojna była tylko w widokach osobistych hetmana podjęta.

Nic podobnego nie znajdzie czytelnik w eposie bylin rosyjskich, ani nawet w rapsodach serbskich. Byliny są dziś cudackiemi baśniami o bohaterach siły dla siły i nic wspólnego z ideą społeczną lub dziejową nie mają. Opiewają one książęce uczty, dwór i pojedynki bajecznych bohaterów; wszystko się dzieje gwoli uciesze ks. Włodzimierza lub z osobistych pobudek. Epos serbski od początku do końca także poświęcony jest wyłącznie osobistym sprawom rozmaitych książąt i wojewodów. Nawet liczne rapsody o klęsce na Kosowém polu przedstawiają rozpaczliwą walkę całéj Serbii z Turkami jako bój i klęskę cara Łazo i jego wojewodów. Lud serbski i jego położenie nie grają w eposie żadnéj roli. Porównywając byliny i rapsody serbskie do dum rusińskich, należy dwa pierwsze eposy nazwać *bohaterskiemi*, a dumy *eposem narodowym* rusińskim, albo lepiéj *kozackim*.

Wszystkie dumy zajmowały się właściwie tylko kozactwem, pojmując je rozumie się w szerszém znaczeniu, w jakiém je mogli pojmować Rusini. Po za tém wszakże kozactwem, jak przed Chmielniczyzną, tak też i po niéj była nie mniejsza liczba osiadłego pospólstwa, które nie zawsze sprzyjało sprawom kozackim. Poezya tego gminu do czasów powstania Chmielnickiego jednomyślnie z dumą opiewa smutne dzieje zapasów z Tatarami i Turkami, lecz podczas wojen z Polską i późniejszéj „ruiny", jaką sprawiły wojny domowe dwóch dzielnic rusińskich: polskiéj i moskiewskiéj, między poezyą kozacką a gminną nastąpił jawny rozbrat. Krwawe tryumfy Chmielnickiego nie obeszły się bez klęsk narodowych; kozacy i sprzymierzeńcy ich Tatarzy, hulając po Ukrainie, mordowali wraz z żydami i Lachami także i lud osiadły, który nie przyjął udziału w walce; ustawicznie przytém zabierano lud do jasyru. Podobne wypadki znalazły w poezyi ludowéj nie-kozackiéj zupełnie odmienny odgłos, o czém świadczy następna piosnka:

Wyjdy Wasylu na mohyłu,
Pohlań Wasylu na Wkrainu,
Szczo Chmelnyćkoho wijśko j de:
Szczo wse paruboczky, ta diwoczky,
Ta mołodyji mołodyczky,

Ta bezszczasnyji udowyczky.
Parubky jdut' hukajuczy,
A diwczata rydajuczy (szłochając),
A molodyji mołodyci
Staroho Chmela prokłynajuczy:
„Bodaj tebe Chmelnyczeńku perwa kula ne mynuła,
Szczo weliw ordi braty diwky j mołodyci!
Bodaj Chmela-Chmelnyćkoho perwa kula ne mynuła,
A druhaja ustrełyła, a serdeńko ucełyła."

Podobny motyw jest zupełnie obcy dumom i pieśniom kozaczym; tylko gmin po wsiach osiadły mógł podobny protest wyśpiewać. Jest-to jedyna piosnka ludowa niekozacka o Chmielnickim, bardzo dlań niepochlebna; innéj u gminu sławy on nie zdobył. Znam jeszcze podanie gminne o Chmielnickim, jako o rozbójniku, który sprzedawał wsie i miasta Tatarom. Historya stworzyła na Rusi dwa prądy ludowe: kozacki i gminny, które w wielu razach stawały w kolizyi wzajemnéj. O ile różniły się pomiędzy sobą dwa te prądy, o tyle należy odróżniać charakter dwóch prądów literatury ludowéj Rusinów: kozaczéj i gminnéj. Dum i pieśni kozackich epicznych nie można równać z pieśnią gminną. Inne w nich ideały, odmienny ton, nawet forma różna. Poezya kozacka—dumy czy pieśni—już prawie umarła: lud już nie śpiewa patryotycznych pieśni o wodzach kozaczyzny (np. Perebijnis), które zwykle bywały bojowemi lub marszowemi, lecz natomiast balady o szczególniejszych wydarzeniach śpiewają dotąd i mężczyzni i kobiety.

Wracając do porównania dum z eposem wielkorosyjskim i serbskim, pod względem epicznym musimy je postawić na najwyższym szczeblu. Zgodnie ze zdaniem Mickiewicza, wypowiedzianém w kursach o literaturze słowiańskiéj, zwykliśmy przeceniać wartość poezyi ludowéj Serbów; dziś wobec ogromnego materyału, jaki nagromadziła w ostatnich dopiero czasach etnografia rusińska, musimy oddać pierwszeństwo dumom ukraińskim. Cały epos serbski można podzielić na trzy niewielkie cykle: kilka pieśni o sprawach domowych dworu serbskiego z czasów przedtureckich; kilkanaście pieśni o klęsce na Kosowém polu, i wreszcie kilkanaście pieśni o królewiczu Marku. Pierwszy i ostatni cykl noszą zupełnie legendowy, bajeczny charakter, zbliżają się bardzo do bylin rosyjskich i utraciły wszelkie znaczenie pomników dziejowych. Nie tylko w nich wątek prawdy dziejowéj zaginął, lecz stracone nawet poczucie miary i prawdopodobieństwa i ustąpiło miejsca fantastyczności. Znajdziemy tam i bohaterów i konie skrzydlate; bohaterów obdarzonych nadprzyrodzoną siłą, ścinających po dwadzieścia głów naraz, lub haustem wychylających ceber wina, żyjących po trzysta lat. We

my, jak o żydach arendarzach, o powstaniu po Białocerkiewskim pokoju, Handża-Andyber—całkowicie poświęcone są protestom ekonomicznym i socyalnym ludu, a cała walka z Polakami przedstawia się jako powstanie uciemiężonego ludu. Jedyna tylko duma o wyprawie na Wołoszczyznę nie nosi charakteru rapsodu o walce narodowéj, bo też ta wojna była tylko w widokach osobistych hetmana podjęta.

Nic podobnego nie znajdzie czytelnik w eposie bylin rosyjskich, ani nawet w rapsodach serbskich. Byliny są dziś cudackiemi baśniami o bohaterach siły dla siły i nic wspólnego z ideą społeczną lub dziejową nie mają. Opiewają one książęce uczty, dwór i pojedynki bajecznych bohaterów; wszystko się dzieje gwoli uciesze ks. Włodzimierza lub z osobistych pobudek. Epos serbski od początku do końca także poświęcony jest wyłącznie osobistym sprawom rozmaitych książąt i wojewodów. Nawet liczne rapsody o klęsce na Kosowém polu przedstawiają rozpaczliwą walkę całéj Serbii z Turkami jako bój i klęskę cara Łazo i jego wojewodów. Lud serbski i jego położenie nie grają w eposie żadnéj roli. Porównywając byliny i rapsody serbskie do dum rusińskich, należy dwa pierwsze eposy nazwać *bohaterskiemi*, a dumy *eposem narodowym* rusińskim, albo lepiéj *kozackim*.

Wszystkie dumy zajmowały się właściwie tylko kozactwem, pojmując je rozumie się w szerszém znaczeniu, w jakiém je mogli pojmować Rusini. Po za tém wszakże kozactwem, jak przed Chmielniczyzną, tak téż i po niéj była nie mniejsza liczba osiadłego pospólstwa, które nie zawsze sprzyjało sprawom kozackim. Poezya tego gminu do czasów powstania Chmielnickiego jednomyślnie z dumą opiewa smutne dzieje zapasów z Tatarami i Turkami, lecz podczas wojen z Polską i późniejszéj „ruiny", jaką sprawiły wojny domowe dwóch dzielnic rusińskich: polskiéj i moskiewskiéj, między poezyą kozacką a gminną nastąpił jawny rozbrat. Krwawe tryumfy Chmielnickiego nie obeszły się bez klęsk narodowych; kozacy i sprzymierzeńcy ich Tatarzy, hulając po Ukrainie, mordowali wraz z żydami i Lachami także i lud osiadły, który nie przyjął udziału w walce; ustawicznie przytém zabierano lud do jasyru. Podobne wypadki znalazły w poezyi ludowéj nie-kozackiéj zupełnie odmienny odgłos, o czém świadczy następna piosnka:

Wyjdy Wasylu na mohyłu,
Pohlań Wasylu na Wkrainu,
Szczo Chmelnyćkoho wijśko j de:
Szczo wse paruboczky, ta diwoczky,
Ta mołodyji mołodyczky,

Ta bezszczasnyji udowyczky.
Parubky jdut' hukajuczy,
A diwczata rydajuczy (szłochając),
A molodyji mołodyci
Staroho Chmela prokłynajuczy:
„Bodaj tebe Chmelnyczeńku perwa kula ne mynuła,
Szczo weliw ordi braty diwky j mołodyci!
Bodaj Chmela-Chmelnyćkoho perwa kula ne mynuła,
A druhaja ustrełyła, a serdeńko ucełyła.“

Podobny motyw jest zupełnie obcy dumom i pieśniom kozaczym; tylko gmin po wsiach osiadły mógł podobny protest wyśpiewać. Jest-to jedyna piosnka ludowa niekozacka o Chmielnickim, bardzo dlań niepochlebna; innéj u gminu sławy on nie zdobył. Znam jeszcze podanie gminne o Chmielnickim, jako o rozbójniku, który sprzedawał wsie i miasta Tatarom. Historya stworzyła na Rusi dwa prądy ludowe: kozacki i gminny, które w wielu razach stawały w kolizyi wzajemnéj. O ile różniły się pomiędzy sobą dwa te prądy, o tyle należy odróżniać charakter dwóch prądów literatury ludowéj Rusinów: kozaczéj i gminnéj. Dum i pieśni kozackich epicznych nie można równać z pieśnią gminną. Inne w nich ideały, odmienny ton, nawet forma różna. Poezya kozacka—dumy czy pieśni—już prawie umarła: lud już nie śpiewa patryotycznych pieśni o wodzach kozaczyzny (np. Perebijnis), które zwykle bywały bojowemi lub marszowemi, lecz natomiast ballady o szczególniejszych wydarzeniach śpiewają dotąd i mężczyzni i kobiety.

Wracając do porównania dum z eposem wielkorosyjskim i serbskim, pod względem epicznym musimy je postawić na najwyższym szczeblu. Zgodnie ze zdaniem Mickiewicza, wypowiedzianém w kursach o literaturze słowiańskiéj, zwykliśmy przeceniać wartość poezyi ludowéj Serbów; dziś wobec ogromnego materyału, jaki nagromadziła w ostatnich dopiero czasach etnografia rusińska, musimy oddać pierwszeństwo dumom ukraińskim. Cały epos serbski można podzielić na trzy niewielkie cykle: kilka pieśni o sprawach domowych dworu serbskiego z czasów przedtureckich; kilkanaście pieśni o klęsce na Kosowém polu, i wreszcie kilkanaście pieśni o królewiczu Marku. Pierwszy i ostatni cykl noszą zupełnie legendowy, bajeczny charakter, zbliżają się bardzo do bylin rosyjskich i utraciły wszelkie znaczenie pomników dziejowych. Nie tylko w nich wątek prawdy dziejowéj zaginął, lecz stracone nawet poczucie miary i prawdopodobieństwa i ustąpiło miejsca fantastyczności. Znajdziemy tam i bohaterów i konie skrzydlate; bohaterów obdarzonych nadprzyrodzoną siłą, ścinających po dwadzieścia głów naraz, lub haustem wychylających ceber wina, żyjących po trzysta lat. We

wszystkich tych pieśniach mytyczna wiła (nimfa górska) w losach bohaterów gra niepoślednią rolę; tam ptastwo i konie w najlepsze z ludźmi rozmawiają i t. d. Właściwie dziejowy charakter spotykamy tylko w rapsodach o królu Łazo i klęsce na Kosowém polu, opisujących rozmaite momenty z dwóch dni, fatalnych dla domu królewskiego. Lecz i w nich pierwiastek fantastyczny znalazł obszerne zastosowanie. Tak król Łazo za pośrednictwem św. Eliasza otrzymuje z Jerozolimy od N. Panny drobny list, w którym mu podano do wyboru albo carstwo ziemskie ze zwycięstwem nad Turkami, lub carstwo niebieskie i niechybną śmierć w walce. Król wybiera ostatnie i rzuca się w objęcia śmierci wraz z całém rycerstwem. Znajdziemy tam także królowę Milicę, rozmawiającą z krukami i bajeczkę o głowie króla Łazo. Odcięta od tułowia i wrzucona do studni, w ciągu 40 lat nie zgniła, a wyjęta z wody, sama się potoczyła do tułowia i zrosła się z nim na nowo. Nic podobnego czytelnik nie znajdzie w dumach, dziwnie są one realne do najdrobniejszych szczegółów. Jedyna rzecz, którą dopuszczają niektóre dumy z uszczerbkiem dla czystego realizmu, to kara boża za grzechy, a szczególniéj za nieuszanowanie rodziców (Ołeksij Popowycz, Iwaś Konowczenko). Wymiar jednak kary odbywa się w sposób zupełnie realny, bez udziału sił nadprzyrodzonych. Każdy lud, a rusiński w szczególności, jest nadzwyczaj przesądnym, wierzy w gusła, czary, przywiązuje wiele wagi do niezwykłych zjawisk przyrody, wpływających niby na losy ludzi i t. p. Literatura ludowa i dawna pisana przepełnione są temi przesądami. Kroniki ruskie, nawet już z XVII stulecia, o téj saméj Chmielniczyznie, prawie w każdym rozdziale rozprawiają na ten temat. W dumach ani śladu tego niema, tylko czysty, zdrowy realizm i prawda epiczna. Po barwy i obrazy dla swych poematów twórcy dum nie uciekali się do rozkiełznanéj fantazyi, do dzikiéj hiperboli, lub świata nadprzyrodzonego, lecz spokojnie opisywali żywych naturalnych ludzi i otaczającą rzeczywistą przyrodę, ograniczając się przytém na obrazowaniu śmiałém i żywém. Nie zmniejszyło to wszelako poetyczności eposu; owszem, dodało obrazom więcéj złudzenia, więcéj siły i życia. Bohaterskie pieśni serbskie obfitują w pyszne poetyczne ustępy, lecz żadna z nich sama z siebie nie jest całkowitym poematem; każda z nich będzie tylko ułamkiem czegoś niedokończonego, jak krótki rozdział z wielkiéj powieści, gdy tymczasem każda duma jest zawsze poematem skończonym, posiadającym szerszy daleko zakrój i treść samodzielną. Żadna z pieśni serbskich nie dorówna takim rapsodom, jak ucieczka trzech braci z Azowa, Samijło Kiszka, Konowczenko i w. in. ani pomysłem ani pełnością obrazów, ani żywością barw.

Niedorównywają też serbskie rapsody dumom i siłą uczucia. Wyrosłe z krwi i zgliszcz uporczywéj, namiętnéj walki z początku na kresach ukrainnych, a późniéj w sercu ojczyzny, dumy dotykają wypadków i przejść nadzwyczaj bolesnych dla Rusina i przeto, wobec wszystkich cech eposu: obiektywności, powagi i realizmowi, nacechowane są zawsze głębokiém i silném uczuciem. Spokojny i rzewny liryzm dum cyklu tatarsko-tureckiego, potęguje się u piewców z czasów Chmielniczyzny do dzikiéj namiętności, jaką dyszały pożary i zgliszcza siedzib ukraińskich.

Poezya ta jednak dziwnie trafnie pochwyciła główny rys swych wrogów, który może w znacznéj mierze przechylał szalę szczęścia na stronę kozaków. Mówię tu o opieszałości i niezdarności wodzów, ich pijatyce i niezaradności. Te pieśni tryumfów kozackich nie urągają Polakom; tchną więcéj politowaniem, sarkazmem i drwiną zasłużoną, niż nienawiścią. Przy całém dzikiém okrucieństwie, jakie się zwykło objawiać podczas i po zwycięstwie, kozak pozostał wiernym swemu humorowi narodowemu.

Obok właściwych cech swoich, dumy zachowały wiernie zasadniczy ton muzy rusińskiéj: rzewność i smutek głęboki. Nie dosłyszysz w nich wesołego gwaru biesiady książęcéj, dzwonienia puharów ni rycerskiéj swawoli, nie znajdziesz miłości nawet, jak w rapsodach innych ludów. Ruś na całym obszarze zorana kopytami końskiemi, zasiana kośćmi i krwią polana, wydała pieśń tylko smutku i żałoby, w któréj śród okrzyków grozy wojennéj jasno się wyróżnia jęk uciśnionego i skarga niewolnika:

Czorna zemla pod kopyty kost'mi posijana,
A krowiju poljana:
Tuhoju (żałobą) wzidosza po Ruśskoj zemli.... (*Słowo o Pul. Ig.* 51).

Cesław Neyman.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Leonard Sowiński. O zmroku. Warszawa. M. Orgelbrand. 1885, str. 157.

Po dziesięciu latach od czasu wydania zbiorowego poezyj swoich p. Sowiński przedstawia czytelnikom nową ich wiązankę. Skromną jest ona bardzo pod względem objętości i świadczy wymownie, że chwile natchnienia nawet u wysoce utalentowanych poetów bywają bardzo rzadkie. Przytém pamiętać należy o tém, że w przeciągu czasu, który upłynął od r. 1875, p. Sowiński zajęty był już-to pracami prozaicznemi, już-to podróżami, już-to utrwalaniem na papierze wspomnień swojéj młodości, tak, że na pisanie utworów poetycznych nawet wcale czasu nie było.

Nie na objętości zresztą wartość zbioru poezyi zależy. Zajrzyjmy więc do wnętrza. Mroczne ono jest wielce, jak sam tytuł ostrzega, ale bywają w niém i błyski jaskrawe. Poeta, który zawsze z wysoka patrzył na świat i jego dzieje, który prawie wyłącznie a przynajmniéj bardzo wybitnie samemi najwyższemi zagadnieniami życia społeczeństw się w poezyach swoich zajmował, jakkolwiek czuje upadek swych sił twórczych i gorzkie nad nim łzy leje, jakkolwiek błąka się po otchłani wątpliwości, posiada jeszcze jednak dosyć mocy, ażeby się nie dać pokonać zwątpieniu i rozpaczy, a nawet wynajduje w końcu ujście ku światłościom niebieskim, co mu dają ukojenie.

Z temperamentu namiętny, łatwo popada poeta w krańcowości, wśród których bawi zazwyczaj przez chwilę tylko. Rozumie i potężnie oddaje poczucie siły tytanicznéj w pokoleniu Prometeuszowém, ale równocześnie znając małość człowieka, korzy się przed Panem. Wspaniale maluje „Świat Ducha“:

Bez granic wielką jest kraina Ducha,
Promienna bóstwa blaskiem u swych szczytów,
A w dole — otchłań mroku, łkań i zgrzytów,
Skąd rozpacz i nienawiść wciąż wybucha!
Kto w głosy jéj się tajemnicze wsłucha,
Ten dozna już-to grozy już zachwytów,
Nieznanych tym, co w prochu zasklepieni,
Dla których byt—to puszcza światów głucha,
A oni sami — poczet marnych cieni.
Rojenia młodych lat, natchnienia błyski,
Ofiarność, wiara wrząca, czar miłości:
Czyż nie jest-to świat wrażeń niebios bliski,
Słoneczny, wiosną tchnący raj ludzkości?!...
Czy nad wspaniałe tęcz i gwiazd widoki,
Lub zorzy biegunowéj ogniotryski,
Nie wyższy umysł twórczy i głęboki?...
A oneż wulkaniczne serc otchłanie,
Gdzie wiecznie płonie brudnych żądz pochodnia,
Gdzie lęgnie się występek, zdrada, zbrodnia!
Czy może iść co z niemi w porównanie
W ohydzie okropności?!... krwią i łzami,
Jak lawą, broczą one ludów dzieje;
Podziemny grzmot ich postrach w ciżbach sieje;
Żałoba, rozpacz idą ich śladami,
A potém cisza spustoszenia głucha...
O straszne, straszne są przepaście Ducha!

Gdyby poeta na tym obrazie przedstawiającym dwoistość objawów ducha w ich najwybitniejszych wyrazach poprzestał, wiersz jego pełen siły słowa i trafnych porównań, zadowolniłby w zupełności zarówno estetyczne jak i logiczne poczucie. Ale p. S. lubiący antytezy, zapragnął przeciwstawić téj dziedzinie Ducha marność materyi — i zepsuł piękny utwór, gdyż przeciwstawienie to nie może znaleźć potwierdzenia rozumu. „Świat materyi bezwiednéj“ niknie i przepada w każdéj chwili, to prawda, ale w szczegółach tylko, nie w ogóle swoim—zupełnie tak samo jak i świat ducha, który bez téj materyi nie znałby ani rojenia młodych lat, ani błysków natchnienia, ani czaru miłości, ani — z drugiéj strony — owych dziejów broczonych krwią i łzami jak lawą. Poeta jako spirytualista zapomina o tym ścisłym związku, jaki łączy ducha z ciałem i wyobraża sobie idealnie, lubo w kształtach zmysłowych, bezwarunkowe panowanie ducha oddzielonego od materyi; ale czytelnik nie może popełnić takiéj abstrakcyi, nie może lekceważyć téj materyi, bez któréj duch na ziemi objawićby się nie mógł. Gdyby p. S. mówił tylko o objawach ducha po-za ziemskich, to nie zgadzając się z nim co do samego pojęcia, moglibyśmy przynajmniéj rozumiéć jego przeciwstawienie materyi duchowi; ponieważ jednak w całym wierszu czytamy

tylko o stosunkach czysto-ziemskich, musimy to przeciwstawienie uważać za brak rozmysłu w poecie rządzącym się chwilowemi wybuchami.

Równie potężnemi słowy przedstawił p. S. „Widmo Ruiny“ uosobione w trzech postaciach: nędzarza-łupiescy, bachantki oraz „miałkiéj, bezdusznéj, pozornéj“ nauki. Pomijając nietrafność zestawienia tych trzech uosobień, z których dwa pierwsze są postaciami ludzkiemi, a trzecie—abstrakcyą bez ciała, gdy analogicznie wypadało wprowadzić cynika-zarozumialca, możnaby zarzucić autorowi dziwne w poecie „celów gromadnych“ nierozumienie dróg postępu kroczącego ku udoskonaleniu bytu narodów; nie każde przecież niszczenie jest dziełem „ziejącego jadem demona,“ nie na każdéj ruinie płakać nam trzeba; są i takie, które radością napełniają serce, gdy się zło, niewola, nędza wykorzenia. Rozumie to niewątpliwie autor „Satyry,“ i dlatego znowuż musimy zrobić mu uwagę, że się zanadto daje unosić jednemu prądowi myśli, że kreacyom jego nie przewodniczy rozwaga poety, który przecież nie tylko na formę, ale i na treść utworu baczyć winien. Osiem „fragmentów satyrycznych“ uderza w jedno przeważnie zło, które tak zastanowiło umysł poety, że już na inne nie chce czy nie może zwrócić oka. Tém złem jest zmateryalizowanie świata, owa gorączka złota, owa „giełda bez Boga,“ która się już Krasińskiemu w przerażających przedstawiała kształtach. U ołtarzy poezyi siedzą tylko lutniści, ślepi, starzy; mistrze—kapłani już spoczywają „zmorzeni mogił snem głębokim,“ westalki poszły na giełdę składać ofiary Baalowi, porzuciwszy „harfiarzy nucących psalmy.“ Co więcéj nawet poeci nastrajają swe lutnie „na złota brzęk“ i czujném uchem słuchają na giełdzie „po czemu dzisiaj łza, poczemu śmiech, poczemu jęk;“ za grosz gruchają jak gołąbki, za dwa śpiewają „dziewic erotyczny wdzięk,“ za trzy wybuchają rozpaczą lub głoszą „wrzaski trąb, ryk dział i mieczów szczęk.“ Albo téż kłamią swym ideałom, gdy „pieszczotliwy gwar niewieści“ każe im być śpiewakami uczt i mirtem wieńczyć skroń, zamiast dzierżéć silnie w dłoni broń archanioła, co ją „Bóg dał u raju wrót,“ by walczyli „z szatanem wiecznéj mgły na wielkiéj ducha tamie.“ Ci, co mieli porwać lud do wielkich czynów, a w powodzi klęsk pocieszać zrozpaczone tłumy, wolą „chluby laur“ i wnoszą w świat poezyi, „cichéj przybytek zadumy“, okrzyk zgraj i żądzy samolubnéj brud. A zgraje te, jak w epoce cezarów rzymskich, wołają o jedzenie lub „ryczą wśród kamelij dżdżu i róż,“ szalone bijąc oklaski tym, „od których pierzcha dróg dziejowych anioł stróż i przedświt gasi swe złotopromienne blaski.“. Zgrajom tym rozszalałym nie przyświeca żadna gwiazda, bo nawet myśl badawcza, niegdyś roztrząsająca zwój „potęg

twórczych", dzisiaj kupczy strzępami wiedzy, otoczona rojem heter i sofistów. Tryumfy nad kamieniem, parą i żelazem podsycają tylko moc i szał materyi; kał żądz poziomych zalał świątynie serc; ateizm na zgliszczach wiar zapanował i zawładnął przekonaniami tłumów całych. Tak sobie wyobrażając i tak przedstawiając stosunki świata dzisiejszego, poeta nie ma dosyć słów najwyższego oburzenia, a w namiętném potępianiu wszystkiego, co wiek obecny wydał, traci miarę, traci świadomość swego stanowiska względem tego świata i jakby jeden mędrzec wśród powszechnego zepsucia i ciemnoty, twierdzi urągliwie, że nasz „mądry wiek" zostawi po sobie „stos węgli—martwych ksiąg—i kłamstwa nowy krój i wielki grób w ostygłém potomności łonie."

Ryczałtowe to potępienie wieku i postawienie siebie samego w roli mędrca wyrokującego o głupstwie nie jest wszelako objawem zarozumiałości poety; w innym bowiem utworze („Płacz senny") szczerze się spowiada ze słabości swych i wyznaje, że rozkładowe pierwiastki podziałały i na niego. We śnie zjawia mu się najsędziwszy z poufałych ojca jego przyjaciół, a dla niego od kolebki saméj najtkliwszy i powiada mu jedno słowo „pamiętasz?" Wtedy-to łzy, których już nie miał na opłakanie innych nieszczęść i strat, bryznęły poecie z oczu, a on odrzekł staremu przyjacielowi: „Ach! pomnę... byłem niegdyś dzieckiem wielkich nadziei—wszystkie znikły w strasznéj życia zawiei... chciano wznosić na nich gmachy ogromne—wszystkie u podwalin samych runęły." Dusza jego biedna, potraciwszy kolejno wiele pięknych, dobrych i dzielnych dzieci, „dziś po grobach błąka się bez nadziei, przeklinając życie swe nieśmiertelne." Nie miejmy za złe poecie, że żadne wspomnienie nie wycisnęło łez z jego oczu prócz wspomnienia o zmarnowanym talencie; nie miejmy mu za złe, że dla świata obecnego, dla jego nieszczęść i walk, miał tylko słowa urągania, bo nieszczęśliwi są niesprawiedliwi, bo w rozżaleniu głębokiém zawsze nam najprzód w myśli staje własna nasza osoba, bo cudze bóle i cierpienia rozumiéć możemy, a swoje czujemy. Ale też ze swéj strony, jako członkowie świata obecnego, mamy prawo wymagać pewnéj miarki wyrozumiałości, która może bardzo blizko graniczy ze sprawiedliwością; mamy prawo wymagać, ażeby poeta nie zasklepiał się w kółku własnych tylko czysto-indywidualnych poglądów przesiąkniętych uczuciami, ale starał się spojrzéć wszechstronniéj na to, co się dzieje, a wówczas możeby nie widział tylko plam czarnych, możeby biczem satyry nie smagał niewinnych razem z winnymi. Jak sam poeta doznawał nieraz goryczy zwątpienia i o mało nie chwycił za broń samobójcy, by dosięgnąć „żywota szczytu—w nicestwie;" tak téż w dziejach świata są chwile krytycz-

ne i bolesne, rodzące wiele zamętu i spustoszenia w umysłach i sercach, które trzeba zrozumiéć, zanim się je osądzi. Los poety „burz, błyskawic, celów niedościgłych, pragnień Tantala,“ który „myślą tonąc w dziejów krwawym potoku z jękiem w piersi i palącą łzą w oku, umarł zapomniany w murach szpitala“—jest niewątpliwie bolesnym i okropnym; ale zamiast wprost oskarżać oń „ciżbę,“ potrzebaby wskazać, o ile téż sam poeta zarówno zaletami jak wadami swemi był jego sprawcą.

„Z mroku do światła“ podąża p. S. na skrzydlach modlitwy. Korzenie się atoli nie jest prawdopodobnie odpowiedniém talentowi poety, gdyż wymuszona prostota, za pomocą któréj chciał oddać swój nastrój religijny, nie dopisała mu ani pod względem stylistycznym, ani pod względem rymotwórczym. Stojąc nawet na stanowisku poety, trudno doszukać się piękna w tych jednostajnych litaniach, jakiemi są przepełnione wiersze zatytułowane: „Siostra miłosierdzia,“ „Modlitwa“ i „Modlitwa pańska.“ I tam tylko widnieje talent poety, gdzie maluje płomiennemi barwami chwile pełne grozy jak np. w „Gwiazdce Betlejemskiéj.“

Takie są liryki p. Sowińskiego zawarte w najnowszym zbiorze jego poezyj. Żaden z zamieszczonych tu utworów nie może być wobec surowszego sądu poczytany za doskonały; podziwiając bowiem dosadność i barwność dykcyi, wykwintne rymowanie, a nadto piękność i trafność pojedyńczych ustępów, w żadnym nie znajdujemy takiego pomysłu, któryby, bez względu na swą nowość i oryginalność, wytrzymał próbę ścisłéj analizy. Jednostronność w poglądzie na świat, zawarunkowana romantycznym nastrojem ducha, którego p. Sowiński jest świetnym epigonem, psuje wrażenie, jakie wywołują barwne obrazy. Dodać wreszcie potrzeba, że i pod względem formalnym wiersze Sowińskiego nie zawsze zadawalniają; poeta może z umysłu zaniedbywał rytmikę bardzo często i używał niekiedy całkiem niepoprawnych wyrażeń (np. *uświęcij*).

Do liryków dołączył S. jeden utwór epicki i jeden dramatyczny. Liryk nawskroś chciał okazać, że i w innych rodzajach poetyckich potrafi dzielnie władać piórem. Nie po raz to pierwszy występuje autor z takiemi próbami; jest on autorem dwu dłuższych opowiadań wierszem, poematu dramatycznego i dramatu. Pomimo wielkich ich zalet jednak, niepodobna twierdzić, ażeby one stanowiły główny tytuł do znaczenia Sowińskiego w dziejach poezyi naszéj. Wprawdzie poemat dramatyczny „Z życia“ miał w swoim czasie rozgłos nadzwyczaj wielki i pod względem społecznym wywarł na umysły wpływ zbawienny; wprawdzie dramat „Na Ukrainie“ wiele mieścił scen prawdziwie pięknych; wprawdzie opowiadania odznaczają się

werwą niepospolitą; ale wszędzie podmiotowość liryka bierze górę nad przedmiotowością epika i dramaturga, a kompozycya całości chroma silnie.

W „Prażniku“ pragnął widocznie poeta zachować jak najzupełniejszą przedmiotowość i dlatego obrawszy temat z życia ludu wiejskiego na Podolu, przymuszał się do utrzymania prostoty wyrażeń i sytuacyj. Przymus ten znać w jego utworze, bo go widać z całego toku opowiadania oraz z tych miejsc, w których nie udało mu się powstrzymać lotu wyobraźni, np. gdy krupniczek nazywa „dziecięciem miodu i gorzałki, zrodzoném w ogniu,“ lub gdy opór dziewcząt względem napastniczych zuchów nazywa „głośnym, ale *kruchym*.“ Naśladowanie „Pana Tadeusza“ widnieje tu w wielu miejscach zarówno w charakterystyce ludzi, jak w porównaniach i przytaczaniu rozmów. Nie ma zresztą autor najmniejszéj pretensyi do tworzenia eposu; pisze tylko sielankę skromnych rozmiarów; szkoda tylko, że nie potrafił wybrać sytuacyj bardziéj interesujących, niż je znajdujemy w dwu pierwszych częściach utworu; trzecia dopiero i ostatnia (bardzo krótka, bo 5 stronic zawierająca) cokolwiek żywiéj zajmuje.

„Prolog Tragedyi“ jest, jak zapewniają znawcy stosunków na Rusi, a mianowicie Kraszewski, obrazem wiernie z rzeczywistości malowanym. Zapewnienie to chroni bezwątpienia autora od zarzutu wymyślania dowolnego scen jaskrawych, okropnych, ale nie może go zabezpieczyć od wytknięcia usterek artystycznych. Przedewszystkiém tedy Sowiński nie umie nagiąć swéj dykcyi do oddania mowy rozmaitych temperamentów i charakterów; wszystkie jego osoby przemawiają jednostajnym językiem, właściwym samemu poecie, jędrnym, barwnym, pełnym przenośni nowych i trafnych. Tak nigdy nie bywa w rzeczywistości; każdy bowiem człowiek ma swój odrębny sposób wyrażania uczuć i myśli, swój odrębny styl; powieściopisarz i dramaturg zarówno w interesie wiernego oddania rzeczywistości jak w interesie czysto artystycznym wykazania odrębności charakterów za pośrednictwem dykcyi także, muszą pilnie studyować te różnorodne style i stosować je w swych kreacyach. Powtóre posługiwanie się w dramacie potęgami natury jak grzmoty, błyskawice i pioruny wówczas właśnie się ukazujące, kiedy tego autor potrzebuje, może wprawdzie wywołać efekt... ale tylko melodramatyczny. Co do charakterów, to wszystkie prawie są gwałtowne i namiętne, a jakkolwiek są pomiędzy niemi różnice, nie rysują się one tak dobitnie, jakby tego wyrazistość dramatyczna wymagała. Hrabia August Maliński płonie żarem dla rozwódki księżnéj Róży, która jako dawna kochanka zawołanego uwodziciela Łaszcza nie ma, jakby

się zdawało, żadnego skrupułu w rozrywaniu ogniw życia rodzinnego i popycha hrabiego ku jakiemuś stanowczemu czynowi. Hrabina Malińska, zaniedbywana przez męża, żywi także w swém sercu jakieś uczucie dla innego mężczyzny, ale jako matka i kobieta religijna zezwolić na rozwód nie chce; hrabia przy uderzeniu piorunu wtrąca ją w rzekę. Myślał, że przez ten postępek stanie się swobodnym, jak tego życzyła sobie księżna; ale doznaje zawodu, bo gdy „z ubiorem i włosami w nieładzie, blady, z obłąkanym wyrazem w twarzy,“ staje w nocy „oblany strugą błyskawicy“ w mieszkaniu księżnéj, mówiąc, że jest wolny, ta zapewne nadzwyczajnością zjawienia zdenerwowana, odtrąca go od siebie ze wstrętem. Najlepszą ze wszystkich postacią jest Łaszcz, człowiek zdolny, z błyskotliwém wykształceniem, wymowny, ale zepsuty nawskróś, czyniący zadość swym zachciankom jedynie. Świątynię ducha jego—jak sam powiada—zalegają zgliszcza, lecz nie wszystkie tam bożyszcza runęły... od podwalin do samego szczytu dotychczas mocno trzyma się, jak słup z granitu królewska, niezachwiana duma, dla któréj wszystko i wszystkich poświęcić gotów. Potężna to, demoniczna niemal postać z powodu uroku, jaki rzuca zarówno na grono mężczyzn, ślepo za nim idących, jak i na kobiety, które się w nim na zabój kochają. Słowa, wypowiedziane w rozmowie z księżną, rozjaśniają nam powody wybujania chwastów na dobrym początkowo gruncie, stanowiąc zarazem charakterystykę chwili, w któréj sceny się odgrywają:

I cóż mię pchnęło w nędzy téj hulaszczéj piekło,
Z pogardą ku samemu sobie, z żądzą wściekłą
Zawrotu, zapomnienia, wśród posępnéj nocy
Nadziei mych, z uczuciem gniewu i niemocy?
To czasu wina a nie moja... Takich, jak ja, wielu
Zmarniało, trwoniąc życie pozbawione celu...
. . . . Nie taję,
Że do mnie chętniéj niż do innych młódź się garnie:
Lecz któżby ją zniewolił pracy jąć się—karnie,
Surowo, dzielnie, po rycersku?.. gdzie wodzowie?
U kogo myśl ofiarna świta dzisiaj w głowie?
Runęła wiara w przyszłość; pośród zgliszcz ogromu
Ni rozkazywać, ni ulegać niéma komu...

Takie i tym podobne myśli i obrazy, niezawsze zresztą odpowiadające charakterowi osób, w których usta są włożone, stanowią nie tylko główną ozdobę „Prologu Tragedyi,“ ale nadto nadają mu znaczenie świadectwa dziejowego o stanie umysłów i serc na Rusi w ostatnim dziesiątku pierwszéj połowy naszego stulecia.

P. Ch.

= Wydawnictwo pomników historycznych, przez krakowską Akademią umiejętności przed 13 laty podjęte, posuwa się ciągle naprzód krokiem pewnym, i naszą wiedzę przeszłości coraz bardziéj wzbogaca. Z ogłoszonych dotąd pomników znaczna część odnosi się do dziejów Małopolski, a staréj stolicy Piastów i Jagiellonów przypadł nie mały z tego udział. W r. 1878 wyszły z pod prasy staraniem drdr. Franciszka Piekosińskiego i Józefa Szujskiego „Najstarsze księgi miasta Krakowa“ od r. 1300 do 1400. Rokiem późniéj p. Piekosiński wydał pierwszą część kodeksu dyplomatycznego tegoż miasta, trzy zaś następne części ukazały się w r. 1882, zamykając tym sposobem epokę średniowieczną. która się u nas ciągnie do r. 1507. Według nakreślonego planu, przystąpiono z kolei do epoki nowożytnéj, i oto w roku bieżącym *dr. Piekosiński* obdarza nas znowu potężnym foliałem „Aktów historycznych“ pod napisem: **„Prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa“,** który lubo na tytule nazwano skromnie „zeszytem“ pierwszym tomu I-go, zawiera jednak stron XXXVII i 624 in 4-to. Księga ta, poświęcona dziejom stolicy za Zygmunta I-go, Zygmunta Augusta, Henryka i Stefana Batorego, rozpada się na dwie części: pierwsza obejmuje przywileje królewskie, wilkirze i uchwały, stanowiące normę prawną dla całego miasta, w drugiéj mieszczą się wszelkie urządzenia, dotyczące cechów. Dalsze dwie części, które w przyszłości sie ukazać mają, przedstawią nam stronę finansową gospodarstwa miejskiego. — Treść leżącéj obecnie przed nami księgi jest bogatą, rozmaitą i ciekawą nietylko dla historyka, prawnika i ekonomisty; lingwista polski i niemiecki znaleść tu również może materyał do naukowego badania, prócz aktów łacińskich bowiem, są tu dokumenta spisane po polsku i po niemiecku. Pisarz powieści historycznéj na tle dziejów XVI wieku, byle zechciał, zaczerpnie ztąd niezmierne bogactwo szczegółów z życia mieszczańskiego. Kto czytał „Żywot poczciwego człowieka“, napisany w owéj właśnie epoce przez Reja, pamięta zapewne malowniczy widok straganów na rynku krakowskim, z nieustającym gwarem i ruchem przekupniów obojga płci. Na podstawie księgi, o któréj mówimy, możnaby skreślić obraz daleko pełniejszy i nie na samym tylko rynku skupiony. Rynek zdobią rozmaite, po części i dziś stojące budowle: ratusz, z którego została tylko wieża, sukiennice, „spichlierz“, mennica, domy zwane „Jelenie“. „Barany“, „Chrystofory“, Pani Krakowskiéj, Pana Morstina, rajców miejskich i t. d. Na przestrzeni niezabudowanéj roztasował się drobny handel, pogatunkowany ściśle na najrozliczniejsze gałęzie, z których każda oddzielne ma dla siebie wskazane siedlisko. Przekupki, sprzedające „ogrodne rzeczy“ (które winny być „bez naci“), mają do tego miejsce „na

rynku, podle ryb słonych.“ „Przekupki na to obrane“, które przedają „rzeczy rozmaite,“ siedzą „jedno pod kabatem“, bo gdzieindziéj im wzbroniono. „Okienniczki“ w rynku i w ulicach mogą „na okniech“ przedawać tylko chléb, zemły (bułki), owoce, gomółki; żadnych zaś innych przedmiotów, a to „pod winą pańską.“ Wzbroniona jest sprzedaż „ogórków słonych, niedosolonych ani dokwaszonych, daleko więcéj obwarzanych.“ Kołaczy nigdzie w całém mieście sprzedawać nie wolno. Zaopatrywać się w „ryby wszelakie tak świeże jak słone i suche“ można tylko u „rybitwów na Podbrzeżu“ albo „inszych ludzi, którzy je na targ niosą albo wiozą“; wszelki zaś udział przekupni w tym handlu surowo zakazany. Wogóle zresztą „żaden przekupień ani żadna przekupka... żadnego dnia żadnych rzeczy niema kupować na przekup... póki chorągiew stać będzie na tém miejscu, na którém stać zwykła“: potém wolno „wszystkim skupować przez wszelakiego braku. A gdzieby się kto tego przestępić ważył, taki każdy srodze będzie karan tak straceniem rzeczy wszytkich, jako téż i więzieniem, to jest niewiasta koszem, mężczyzna w kunie siedzeniem, przez wszelakiego miłosierdzia.“ A nie są to próżne groźby, gdyż snuje się po rynku czterech wybranych „panów deputatów“, doglądając tego porządku i mając prawo „występne karać... przez wszelakiéj folgi“, za którą to pracę otrzymują tygodniowo „z ratusza każdą sobotę trzy złote“ wynagrodzenia, zwanego „konsolacyą.“ Ułatwia im to zadanie dobrana przez nich „straż“ w odpowiedniéj liczbie, która „szpieguje“ występnych w mieście i „przed bronami.“ — Takie życie powszednie urozmaicały od czasu do czasu zbiegowiska pospólstwa, zbrojne burdy lub doniosłe wypadki dziejowe. Oto „szkodnicy i złodzieje drewni, którzy drwa na brzegu miejszczkim do tego czasu kradali“, nie zważając na świeży wilkirz (1574 r.), upominający ich „aby się pohamowali“, „śmieli kraść jeszcze“ w nocy, a we dnie przedawać, na czém pojmani zostali. „Nie poszły im wymówki: jednego, że *dano mi*, — drugiego, *iż swoje noszę*,—trzeciego, *iżem kupił*; — tego więc, który poraz pierwszy ujęty został na kradzieży, ukarano „u prągi staniem za szyję w kunie dzień cały, a one drwa, z któremi go pojmano, zawieszono mu u szyje“; wtóry zasię, „który po takiém karaniu śmiał ważyć drugi raz, był uchlastan u prągi i z miasta precz wygnan“; ostatni wreszcie, iż „go trzeci raz dostano w takimże przestępku, został obieszon między stosy na szubienicy.“ Surowość „prawa“ nawet dla białych głów zbierających trzaski nie robiła wyjątku, a względem tego, „kogo przeświadczono, że kradzione drwa w domu chowa, albo je przedaje nakradwszy ich“, twardszą się jeszcze okazywała, takiemu bowiem już, *pro secundo*, nakazano „ucho urznąć, albo

nos pryskować dla znaku." Innym razem, czterech żaków akademickich, uzbrojonych w szable, napadło na kramy garncarskie: pobili sług miejskich i wdarli się do ratusza, gdzie pogasiwszy światła, byliby poranili czeladź, gdyby ta nie stawiła im mężnie oporu. Gwałtowników ujęto, uwięziono i stawiono przed sądem, prócz jednego, który „śmiał" dobrać się do pierwszego piętra ratusznego, a ztamtąd oknem na rynek spuściwszy się, zbiedz zdołał. W tém gorszém położeniu znaleźli się trzej pozostali; nie pomogło im wcale, że akademia broniąc swéj wyłącznéj juryzdykcyi nad studentami, żądała wydania uwięzionych; rajcy bowiem miejscy, nie wchodząc w rozbiór praw akademii, oświadczyli, że nie wiedzą kim są winowajcy, a gwałciciele spokojności publicznéj, co targnęli się na „miejsce uprzywilejowane majestatu jego królewskiéj mości, bo na ratusz krakowski", nie mogą być usunięci z pod powagi praw, najłaskawiéj miastu nadanych. Sąd przychylił się do tego widzenia rzeczy, a obwinionych uznał za godnych kary śmierci. I byliby oddali szyje pod miecz katowski „przez wszelakiego zmiłowania", gdyby prośby wyższego duchowieństwa oraz doktorów i magistrów akademii, poparte jednomyślném przyzwoleniem rajców, „zmiłowania" im nie wyjednały. Przychylił się do tego zasiadający wówczas na sądzie starosta krakowski, z tego między innemi powodu, że jemu, jako w początkach dopiero swego urzędowania będącemu, „raczéj miłosierdziem niźli surowością powodować się należy." „Darował przeto i odpuścił" winowajcom „karę główną," ale tém srożéj się zastrzegł, że na przyszłość będzie karał podobnych gwałtowników bez żadnych już względów, podług prawa. — Nie jedyne to było zajście, a krewkość ówczesnych ludzi kazała co chwila niemal obawiać się onych i zgóry im zapobiegać i środki stosowne obmyślać. Więc oto np. jegomość pan Wacław Chodorowski, burmistrz, tytułowany z rzymska prokonsulem, poważnie kroczy z ratusza wieczorem do domu swego, a niby liktorowie przy konsulu w starym Rzymie, towarzyszą mu czteréj strzelcy miejscy w jednostajną barwę odziani, dźwigając potężne miecze: dzieje się to zaś, jak nas wilkirz z roku 1528 zapewnia, „wedle starego i chwalebnego zwyczaju, ku ozdobie całego miasta a majestatowi senatu", rozumie się — miejskiego. Atoli inny wilkirz, pięciu laty późniejszy, szczerzéj i prościéj rzecz tę przedstawia, wyznając, „że senatorski majestat i urząd burmistrzowski poczęto lekceważyć, traktować bez uszanowania i to nietylko przez ludzi z pod innéj juryzdykcyi, ale także, co jest daleko gorszém, przez obywateli władzy naszéj poddanych." Pachołkowie z mieczami mieli więc złemu zaradzić, a dla większéj pewności, burmistrzowi zagrożono karą dziesięciu grzywien za każ-

dém ukazaniem się bez tego zbrojnego orszaku; gdyby zaś grzywien zapłacić nie chciał będzie złożony z urzędu i więziony w ratuszu dopóty, dopóki się nie uiści. Żeby jednak pachołkom nie uroiło się przypadkiem w głowie, iż owe miecze im samym dodają także „majestatu", ustawa zaleca, aby odprowadziwszy burmistrza wieczorem do domu, tamże miecze zostawiali. Niepewna to wszakże w pachołkach rękojmia powagi tam, gdzie senat nietylko wchodził w zatargi z gminem, ale nawet we własném łonie jedność niezawsze dochować umiał. Rajcy np. z nieznanych nam pobudek, wyrzucili ze swego grona Stanisława Strupa, pomimo iż go wojewoda w imieniu królewskiém na urzędzie osadził. Zygmunt August surowo gromi ich za to i przywołuje do porządku. — Nieprzeszkadza to wcale, żeby panowie rajcy nie mieli rozciągać swéj powagi i do kościoła. U Panny Maryi w czasie kazań słudzy kościelni. chodząc po kweście z bursami i tacami, taki sprawiają hałas, że słów kaznodziei wcale nie słychać. Wnet zapada wilkirz, który kwesty podczas kazania zakazuje. Król Henryk ma odbyć uroczysty wjazd do stolicy; więc „zacna rada Krakowska" postanawia iluminować miasto i nakazuje „srodze" by przed każdym domem zawieszona była latarnia przez trzy tygodnie, pod grozą zapłacenia kary „bez wszelakiego miłosierdzia." Ówcześni rajcy krakowscy z panem burmistrzem Erazmem Czeczotką nietylko uprzedzili tym pomysłem iluminacyjnym nasz oświecony wiek XIX, ale go prześcignęli znacznie, bo nietylko wskazali jak wysoko wisić ma „laternia", ale nadto oznaczyli za jaką cenę świécę kupić do niéj należy i o któréj godzinie ją zapalić, by świeciła póki całkiém nie zgorzeje. Byłoby to jednak z krzywdą dla prawdy, gdybyśmy nie dodali, że w tym samym roku, po ucieczce niedawno uczczonego iluminacyą króla, umiała rada miejska wydać uchwałę zapewniającą powszechne bezpieczeństwo i spokojność, uchwałę praktyczną i natchnioną nie zaściankowém wcale uczuciem. Znajdujemy w niéj między innemi ten ciekawy szczegół, że na znak trwogi dla zwołania ludu wytrębywano z wieży ratuszowéj „piosnkę staradawną zwykłą, ledwa nie każdemu w Polscze znajomą Bogą rodzice." Umiała rada miejska pilnować brukowania ulic, czyszczenia kanałów, budować wodociągi, stanowić przepisy sanitarne na czas zarazy, zaradzać pogorzelom i t. d. Gdy zasię „zacna rada" okaże się w czém niedbałą, już nie trąba ratuszowa, ale królewski głos z zamku na Wawelu przypomni jéj obowiązki, już to dla uprzątnięcia jazów z koryta Wisły, już utrzymania w stanie obronnym murów miejskich, albo nakazując aby bluźniercy Maciejowi Sulikowskiemu odjęto urząd radziecki na Kazimierzu, w któréj-to miejscowości sekciarze, jak się zdaje, obrali sobie dogodne siedlisko.—Życie w owych

wiekach ujęte było więzami różnych korporacyi, które na wewnątrz podtrzymywały ducha braterstwa i wzajemnéj pomocy, na zewnątrz zaś odgradzały się przywilejami i niesłychaną a drobiazgową wyłącznością. Szlachta radaby pozbawić mieszczan prawa uczęstnictwa w sejmach i Zygmunt I musi potwierdzać ten przywiléj rajcom swéj stolicy w latach 1518, 1521, 1537, 1538, 1539, 1544. Mieszczanie znowu nie pozwalają nabywać własności w mieście ludziom innego stanu, a majstrem może być tylko ten, kto prawo miejskie posiada. Zygmunt August przyjął niejakiego Macieja Hiszpana na rymarza stajni królewskiéj: ale czeladź miejscowa pracować u niego nie chce, ponieważ nie wiedzą i ów przybysz hiszpański nie mógł dowieść, czy jest w swéj sztuce uczony i mistrz wykwalifikowany. Król tedy piśmiennie zaświadcza, że Hiszpan (może przodek Hiszpańskich w Warszawie) zręcznie mu roboty wykonywa i ogłasza go za majstra.—Kraków miewa zatargi ze Lwowem (niby jak dzisiaj, lubo z innego powodu); Krakowianie kłócą się z siedzącemi zaraz za murem Kleparzanami, Stradomianami i Kazimierzanami, kapelusznicy Łowiccy z Krakowskiemi, patrycyusze z pospólstwem, miecznicy z nożownikami, smatruszanki z właścicielami kramów żelaznych, śledziarki środkowych kramów z kramarzami siedzącymi z brzega, majstrowie z czeladzią, niemcy z polakami, chrześcianie z żydami. Każden broni zawzięcie sfery swéj specyalności, i w coraz ciaśniejszém kółku się zasklepia. A jakież to mnóstwo, jaka rozmaitość tych kółek cechowych. Są tu złotnicy, konwisarze, kowale, ślusarze, nożownicy i miecznicy, igielnicy i gwoździarze, ostrożnicy, strzelcy, siodlarze, rymarze, szewcy, kaletnicy, paśnicy, miechownicy, garbarze, białoskórnicy i czerwonoskórnicy, kuśnierze, krawcy, tkacze, barchanicy, sukiennicy, farbiarze, czapniki, co wyrabiają „mitry“ dla głów a „pilśnianki“ na nogi; daléj powroźniki, stelmachy, kołodzieje, stolarze, bednarze i łagiewniki, piwowarzy i słodowniki, piekarze, rzeźniki, rybitwy, prasoły, zduny, murarze i malarze, kamieniarze, cieśle i budowniczowie, barwierze, łaziebnicy, mydlarze, grzebiennicy, szmukierze; rzadzéj wspominani drukarze i księgarze, introligatorowie i kartownicy, kangisery, kotlarze, lieglarze, einlegery, krupnicy, sadlnicy, śledziownicy, karczmarze i t.d. Każde zgromadzenie cechowe, każde oddzielne rzemiosło ma swoje osobne prawa i zwyczaje, swoje uprzedzenia względem dalszych, swoje zawiści i interesa w stosunku do bliższego lub pokrewnego rzemiosła. Bywa jednakże czasami, że mniéj liczne zgromadzenia rzemieślnicze wiążą się dla własnego dobra w jeden cech wspólny. Tasznicy, paśnicy i miechownicy na Kazimierzu i Stradomiu stanowili cech jeden, a do ich związku przystępują potém tamtejsi garbarze. — Nie prędko skończyć byśmy mo-

gli, gdybyśmy wspomnieć chcieli choćby tylko o wszystkich ważniejszych przedmiotach, które z tego źródła hojnie czerpać można; urywając tedy naszą notatkę, winniśmy jeszcze nadmienić, że księga, o któréj tu mowa, wydaną została z właściwą uczonemu wydawcy starannością i znajomością rzeczy. Przy pobieżném przeglądaniu dostrzegliśmy przypadkowo na str. 55, w wierszu 7 od dołu, omyłkę druku „sub prius“, zamiast *sub penis.*

— **Encyklopedya techniczna.** *Opracowana pod redakcyą D-ra Aleksandra Weinberga.* (*Warsz. Zeszyt I*). — Nowe to wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego“ powiększa bardzo nieznaczną liczbę encyklopedyi specyalnych, jakie w języku naszym posiadamy. Rozumie się zresztą, że przymiot specyalności przyznać można tylko względnie do stanu naszego piśmiennictwa naukowego, w którém medycyna jedynie zdobyła się na dzieła i pisma istotnie specyalne, gdy tymczasem w każdéj innéj gałęzi wiedzy wszystkie wydawnictwa są mniéj lub więcéj popularne, mając na uwadze zawsze szerszy ogół. Podobnież i „Encyklopedya techniczna“ zaznacza to wyraźnie w prospekcie, że nie ma zgoła na celu podawanie specyalistom wyczerpujących traktatów, ale pragnie złożyć podręcznik popularny, dla wszystkich zrozumiały. Jeżeli jednak tenże sam prospekt mówi daléj, że ma to być rzecz zrozumiała nawet dla robotnika, którąby ucząc go, dla czego tak, a nie inaczéj daną czynność wykonywać powinien, wlała ducha w jego czysto mechaniczną pracę—to należy to uważać jedynie za zwrot stylowy. Chcąc bowiem posługiwać się jakkolwiek popularnie napisaną Encyklopedyą techniczną, należy być pobieżnie przynajmniéj obeznanym ze słownictwem i formułami chemicznemi, do czego robotnikom naszym zbyt jeszcze daleko; istotnego podręcznika Encyklopedya żadna nie zastąpi. Jakkolwiek wszakże nie jest-to książka ani dla należycie wykształconego specyalisty, ani dla robotnika, może być ona bardzo jeszcze pożyteczną dla licznego zastępu czytelników, który w niéj znaleść może potrzebne informacye. Tytuł pierwszy, *Encyklopedya techniczna*, daleko jest obszerniejszy od następnego rozwinięcia: *podręcznik technologii chemicznéj*; zgodnie z tém objaśnieniem, tylko artykuły obejmujące kwestye chemiczne dostatecznie szeroko są opracowane, inne traktowane są zbyt pobieżnie, jak np. wyrazy: *achromatyczny*, *aeronautyka*, *balony*, a nawet *barometr.* Zarzut ten dotknąć zresztą może i rzeczy w ściślejszym związku z technologią chemiczną zostających, jak np. artykułu „areometr.“ Opisy przyrządów, jako objaśnienia załączonych rysunków, w wielu miejscach nie wydały się nam dosyć jasne, jak np. aspirator, automaty.—Zaletą książki jest równomierne opracowanie artykułów chemicznych; nie wiemy jednak, dla czego

w jednych miejscach reakcye chemiczne objaśnione są wzorowaniem, gdy w innych rzecz ta jest pominięta. Język w ogólności staranny, lubo napotkaliśmy niektóre wyrazy niewłaściwie użyte: bawełna należy do rodziny a nie do „rodzaju“ malwowych; aspirator rozrzedza powietrze do znacznego „napięcia“, „pewne“ objętości płynów pochłaniają stale też same objętości gazów, — wskutek użycia niewłaściwego wyrazu „pewne“ zamiast „dane“ zdanie całe jest niejasne. Przy wyrazie „algi“ opuszczono nazwę polską wodorosty, która tak jest utartą, że czytelnik raczéj wodorostów, aniżeli alg szukać w Encyklopedyi będzie. Pisownia „coralina,“ „cristalina“, zamiast koralina, krystalina, jest zapewne niewłaściwą. Co do oznaczania przez skrócenie miar i wag należałoby posługiwać się znakami obecnie powszechnie przyjmowanemi; *kg* zamiast k^0— kilogramy, *cm.* zam. cent. — centymetry; znaleźliśmy nawet rażący błąd drukarski—cent. kw. zamiast centymetry sześcienne (co oznaczyć najlepiéj *cm*^{3} lub *cm. sz.*). Są to wszystko oczywiście usterki drobne i, powtarzamy, książka wydaje się nam bardzo użyteczną, a byłaby użyteczniejszą jeszcze, gdyby przy artykułach ważniejszych podawano literaturę danego przedmiotu — dla wielu ludzi informacya taka byłaby najcenniejszą; w zeszycie pierwszym — obejmującym artykuły do wyrazu „bizmut“ — znaleźliśmy przytoczoną literaturę tylko pod wyrazem „Anilinowe barwniki.“

= **Halina** *Powieść wierszem przez Tadeusza Otawę* (*Warszawa. Paprocki*, *1885*, *str*. *70*).—Utwory poetyczne większych rozmiarów pojawiają się obecnie bardzo rzadko, a przyczyną tego nie jest bynajmniéj ani brak tematów, któreby się do poetycznego obrobienia nadawały, ani téż brak uzdolnień rymotwórczych, gdyż i w jednym i w drugim względzie można w spółczesnéj literaturze naszéj wskazać dość liczne a niepowszedniego znaczenia przykłady. Przyczyna wzmiankowanego faktu kryje się gdzieindziéj. Poeci nasi spółcześni czują dobrze, iż dawne romantyczne formy zużyły się zupełnie, nie znalazł się zaś między nimi jeszcze żaden, coby nowe ukształtował i do rozpowszechnienia podał. W liryce zmian wielkich pod względem formy dokonywać nie było potrzeba; więc też liryka zabrzmiała nanowo, wnosząc do poezyi niejednokrotnie świeże, spółczesnością przeniknięte pierwiastki; w epice przeciwnie, trudności przedstawiają się na każdym kroku i dlatego w najnowszym okresie rozwoju naszéj epoki nie posiadamy ani jednego utworu, któryby od naśladownictwa dawnych kształtów poetyckich był wolny, któryby nowe widnokręgi w zakresie formy otwierał. Wogóle są one słabe jako całość i tylko w szczegółach ten lub ów utwór nad mier-

ność się wznosi. Poeci bardziéj utalentowani unikają epiki, nie chcąc się posługiwać kształtami przebrzmiałemi i nie mając siły do stworzenia nowych. Od czasu do czasu tylko, jakby dla utrzymania ciągłości tradycyi poetyckiéj, ukaże się powieść, któréj już nawet poetyczną nie nazywają tylko wierszowaną. Do takich należy „Halina“ Tadeusza Otawy. Obrobienie tematu jest tu w duchu romantycznym: efektowne, silnie wstrząsać mające zdarzenia są przedstawione bez należytego psychicznego umotywowania, bez trzymania się wskazówek rzeczywistości. Zadzierzgnięcie węzła powieściowego jest takież samo jak w „Kirgizie“ Zielińskiego, tylko jego rozwiązanie oraz otoczenie, wśród którego rzecz cała się toczy, odmienne. Jesteśmy w Tatrach, które autor bardzo ładnym wierszem wstępnym wynosi „ponad śnieżnych Alp złotawych blask i błękitne jezior fale“; obracamy się wśród górali. Ojciec Janosza, bohatera poematu, zabity został przez górala, zowiącego się Tatarem, co się na jego dobytek połakomił. Janosz w biedzie i sieroctwie wyrósł na dzielnego młodzieńca i pokochał córkę Tatara, Halinę. Widywano się pokryjomu. Raz wyśledził ich sędziwy Tatar. Scenę ich spotkania kreśli autor z początku zgodnie z usposobieniem i charakterem osób w niéj występujących. Janosz nie wiedząc, kto zakłócił mu rozmowę swém nadejściem, czy zwierz dziki czy „duch, co wyszedł z swojéj mogiły“, przejęty trwogą „już chwyta swoję watażkę, już chce rozpłatać zuchwalca czaszkę, brwi groźnie zmarszczył, oczyma błyska, zębami zgrzyta, watażkę ściska, zda się, że w dłoni kij pogruchocze.“ Halka z krzykiem: ojciec mój! na ziemię padła, a Tatar patrzał na nich ponuro, powtarzając wyraz ojciec.

I stali w trojgu, jakby ich siła
Jakaś tajemna w miejscu uśpiła!
Wiatr tylko szumiał. Księżyc to znika,
To znów wypływa zpoza obłoku.
Słychać hukanie w borze puszczyka
I szelest liści i szum potoku.

Janosz pierwszy się ocucił z tego odrętwienia. Wziął Halkę na rękę, uklęknął przed starcem i prosił go, ażeby mógł zostać jego zięciem, dając zarazem poznać, że odmowę pomści srogo. Gdy powiedział swoje nazwisko, Tatar zadrżał „jakby go zmora dusiła; chwycił ręką za gardło, chciał coś rzec, słowo w ustach mu zmarło, wargi się trzęsły, twarz trupio zbladła, kołpak się zsunął, ręka opadła, a wiatr rozwiewał białe kędziory.“ Dotąd sytuacya oddana dobrze. Ale od téj chwili staje się nieprawdopodobną, sztucznie przez autora wykręconą, ażeby módz przeprowadzić tragiczne zakończenie. Sikora szeptem nadmienia, że córka Tatara nigdy nie będzie żoną Janosza; Halina „ani nie płacze, ani się żali, ani się skarży wiatrom, co jęczą,“

uklękła przy ojcu i przysięgę złożyła „w duszy“, że nie zobaczy nigdy Janosza, „choć może serce pęknie z rozpaczy.“ A Janosz? Janosz topi wprawdzie groźne oko w starca obliczu, ale gdy Halina niewiadomo dla czego prosi go, żeby odszedł, bo już ona jego nigdy być nie może, Janosz najspokojniéj odchodzi tak, iż gdy niebawem Tatar się opamiętał i zezwala na zamęście, już go dowołać się nie mogą.... Dalsze następstwa łatwo odgadnąć. Janosz został rozbójnikiem: „zemszczę się, zemszczę – ryknął tak wściekle, że chyba słychać go było w piekle“, napadł na chatę Tatara, chciał wziąć z sobą Halinę, która to tuli się do niego, to go odtrąca; wreszcie wraz z nim w zażegniętych płomieniach ginie. Z powodu braku prawdopodobieństwa w chwili rozstrzygającéj, z powodu słabości wykonania scen silnych, ta „powieść wierszem“ jest mdłą, nie robi wrażenia.

— **Uwagi nad Seb. Fabiana Klonowicza poematem: „Victoria deorum“** *napisał T. Garlicki.* (*Brzeżany, 1884, str. 27*). — Po Kraszewskim i Mierzyńskim trzeci z kolei pracownik zabrał się do oceny największego łacińskiego poematu Klonowicza i cząstkę swoich studyów w świat puścił. Zajmuje się tu autor trzema tylko pytaniami: co do tytułu, co do rodzaju literackiego, do jakiego zaliczyć należy poemat „Victoria deorum“ i wreszcie co do czasu jego powstania. Przez wyraz *Dei* w napisie poematu rozumie p. Garlicki dwu „przedstawicieli cnoty: to jest Jowisza zwycięzcę dawnych olbrzymów“, oraz „Boga chrześciańskiego pogromcę wszelkich błędów,“ utrzymując, że Klonowicz wziąwszy pochop z gigantomachii mitycznéj, chciał utworzyć „gigantomachią w Polsce, w któréj wojownikami byli ówcześni panowie, fałszywém rozumieniem swego szlachectwa Boga wyzywający.“ Użycie tytułu „Victoria deorum“ przypuszczalnie objaśnia p. Garlicki tém, że Klonowicz „pragnąc zwrócić uwagę na swą pracę kilkuletnią i na oryginalność zasad w niéj wypowiedzianych, dążących do reformy socyalnéj, użył takiéj niewinnéj reklamy, takiego tytułu szumnego, ostrzącego ciekawość nawet niechętnego czytelnika.“ Poemat Klonowicza określa p. Garlicki jako „epiczno-dydaktyczną satyrę,“ przyczém uwydatnia poglądy wychowawcze poety. Czas powstania „Victorii deorum“ naznacza, zgodnie mniéj więcéj z Mierzyńskim, na czas pomiędzy 1581—1595, dodając, że już r. 1587 zaczął być poemat ten drukowanym, ale późniéj poeta wycofał go, przerobił nieco, dodał pieśń końcową i ostatecznie ogłosił r. 1595. Rozprawka świadczy o oględności i ścisłości autora w rzeczach faktycznych, ale zarazem o niezbyt wielkiém wyrobieniu sądu estetycznego, o małéj wprawie pisarskiéj i o dość szczupłym widnokręgu erudycyjnym. Powtarza za Maciejowskim, że Klonowicz jest w całéj literaturze starożytnéj Polski jedynym

poetą narodowym, że w tym względzie przewyższył samego Kochanowskiego, twierdzi, że jest pierwszym romantykiem (!) polskim. Widocznie nie wie, że formy: namie*ję*tny, namie*ję*tność, dzie*cięciom* nie są poprawne: że przy słowach czynnych z przeczeniem używa się dopełniacza (a więc nie: *sposób ten* nie uważał, ale *sposobu tego* nie uważał). Zasad wychowawczych (o karmieniu dzieci przez matki i t. p.) nie potrzebował brać Klonowicz od Glicznera, jak twierdzi Garlicki, gdyż je znajdował u pisarzy klasycznych i humanistów.

= **Miron. Poezye.** (*Warsz. Paprocki, str. 160*). — Przed laty dwudziestu pseudonim Mirona obudził dość żywe zainteresowanie się w kołach inteligentnych i zdawał się rokować piękną zdolność wśród mnóstwa spółcześnie wtedy drukujących swe wiersze. Przez lat kilka nadzieje te były trzymane przez autora w stanie zawieszenia pomiędzy pewnością a zwątpieniem, ale potém talent jego widocznie słabiał, a pióro powtarzało dawniéj już kreślone uczucia i położenia. Autor nie wychodził z zaczarowanego kółka westchnień, sarkazmu i goryczy, a nie miał dość potęgi. ażeby tym uczuciom swoim dać wyraz tak imponujący, ażeby nim zawładnąć umysłami. W czasie, kiedy najwięcéj mówiono o potrzebie pracy organicznéj, o zużytkowaniu wszelkich sił celem podniesienia dobrobytu, poeta po Mussetowsku i Heinowsku wyrzekał na świat albo drwił z niego; musiał więc być zaliczonym do rzędu kwilących bezsilnie ptasząt, na które w dziale pracy społecznéj rachować niepodobna. Usposobienie swoje i nastrój określił Miron dobrze w końcowym ustępie swego „Don Juna":

Ludzka komedyo! na scenie świata
Czterdzieści wieków grana bez przerwy,
Jakżeż ty strasznie rozstrajasz nerwy
Tym, których dusza nad błoto wzlata.
Kto na cię przybył z szczęścia pragnieniem,
To ten tak idzie jak Milton ślepy
Za melancholią, w całunie z krepy
I grób swój wita z gorzkiem zwątpieniem.

Szczegóły téj komedyi w świecie współczesnym wywołują z piersi poety jęk, albo téż szyderstwo na usta. Rozporządzając dobrze wyrobioną frazeologią i wierszem, zręcznie umie on nadać pewną rozmaitość zewnętrzną utyskiwaniom swoim, tak, że pojedyńczo prawie każdy z jego liryków czyta się z niejakiém zadowoleniem estetyczném, bo chociaż umysłu zazwyczaj żadną myślą nie wzbogaca, zajmuje jako piękna forma; ale gdy utwory te znajdą się w skupieniu, niepodobna nie uczuć pewnego przy czytaniu znużenia. Ból i cierpienia znajdują tu czasami tylko takie uzewnętrznienie, że się je z pomiędzy innych poezyj wyróżnia (*Smutna Bajka*, *Fragment: Smutno mi Boże*, *Konające*).

— **Poezye Władysława Stankiewicza.** *Tom I: utwory pomniejsze, liryczne, Sonety Czarnomorskie, Tatrzańskie.* (*Warsz. str.* 254).—Jest-to nowe zupełnie nazwisko w dziedzinie naszéj literatury; jako o początkującym chciałoby się wypowiedziéć zdanie nacechowane wyrozumiałością, ale gdy się spostrzega obok wysoce wyciągniętych pretensyj, nadzwyczajną nieudolność zarówno w myśleniu jak i w wypowiadaniu myśli, odchodzi ochota do pobłażania. ażeby nie dać mimowolnéj zachęty do tworzenia temu, który jeszcze bardzo dużo przyjąć w swój umysł, bardzo dużo nauczyć się powinien. Przekonanym będąc, że jest poetą natchnionym. poetą z Bożéj łaski, p. St. poczytuje sobie za zadanie „uczyć życia sieroce plemię swojego ludu“ (str. 117). Ale ze swéj strony nadmienimy, że ażeby zadanie takie spełnić, nie dosyć jest ogonki wierszom z wielkim trudem zawiązywać, nie dosyć naśladować niezdarnie Sonety Krymskie Mickiewicza i pisać sonety Czarnomorskie i Tatrzańskie, ale także trzeba wiedziéć, czego uczyć należy swój naród, myśléć jasno, znać swój język, wyrobić sobie styl, ażeby jeżeli już nie poetycznie, to przynajmniéj poprawnie po polsku do narodu przemawiać. Kto zamiast: pieśń *jego*, mówi pieśń *go*. zamiast: podróż *krótsza*, pisze: podróż *więcéj krótka*, kto nie umie używać słów czynnych z przeczeniem, a po słowach biernych kładzie rzeczowniki żywotne w narzędniku, kto się biedzi nad wtłoczeniem w wiersz oznaczonéj liczby zgłosek z pogwałceniem gramatyki i stylu; kto pomysłów swych nie potrafi wypowiadać jasno: ten niech się sam uczy i to bardzo pilnie, zamiast rwania się do niesienia nauki sierocemu plemieniu swego narodu. Sieroce to plemię pomimo swego sieroctwa ma jeszcze w sobie zasobów umysłowych dosyć, ażeby się mogło obejść bez porady zarozumiałych nieuków. Zamiary autora zapewne są dobre, a program, który sobie kreśli, żeby ciemnotę znieść, wyrwać sztylet z bratnich rąk Kaima, łzami mąk omyć ten świat, by z ziemi był raj, a aniołem kat, ma przynajmniéj tę zaletę, że przypomina program wielkiéj poezyi romantycznéj; ale niestety, to co w ustach geniuszu i potężnego talentu ma znaczenie, powtórzone przez liliputa staje się tylko śmieszném, przypominając bajkę o wole i....

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kilka słów o chwili obecnéj.—Praca organiczna i jéj przeciwnicy.—Złe jéj zrozumienie i bezzasadność czynionych jéj zarzutów.—Dzieje Towarzystwa popierania przemysłu i handlu jako ilustracya trudności, spotykanych na drodze naszego życia społecznego.—Projekt „Banku kredytu rzeczowego.“ Projekt do prawa o rejestracyi handlowéj.—Przejawy usiłowań wyzyskania zaniedbanych gałęzi pracy.—Świeże rozporządzenia władzy szkolnéj: o języku wykładowym w szkołach gminnych żydowskich i składaniu świadectw o odbytéj spowiedzi przez nauczycieli prywatnych.

Była to groźna chwila na morzu. Rozkołysane wichrem fale miotały zaciekle okrętem bez steru. Połamane maszty, reje splątane poszarpanemi w szmaty żaglami zawalały pokład chaotycznie, utrudniały ratunek załodze głodnéj, znużonéj i długo już a daremnie dopatrującéj po całym horyzoncie, czy nie zabłyśnie gdzie światełko choćby odległéj latarni portowéj. Daremnie!

Ale żądza życia jest najwytrwalszym z instynktów. Przycichnąć może czasami, ręce opadną na dłuższą lub krótszą chwilę prostracyi, zwątpienia czy namysłu, i znowu życie cuci się do dzieła. Co robić jednak? Głosy się dzielą, sprzeczne ścierają zdania, powstaje zamieszanie i zgiełk bezładny, namiętny, wrzaskliwy, niby parodyujący odgłosy burzy a w rzeczywistości potęgujący jéj grozę. Ten przeklina chwilę, w któréj wsiadł na okręt: nie okręt to, ale wątła krypa, niedbale z lichych zbita desek, i wartoż ją ratować? Owemu coś zaświeciło w oczach: może to ognik św. Elma, może w ciemności poprostu sam uderzył głową o podstawę złamanego masztu, może błyskawica przemknęła gdzieś na dalekim krańcu horyzontu. Sam biedak nie wie, czy brać ma to za światło portowe, czy za gwiazdę polarną, ale z dziecinnym uporem radzi, by ku niéj skierować okręt... bez steru. —„Wrzucić cały ładunek statku do morza,“ woła trzeci, „a nawa wynurzy się z wody i prędzéj do jakiego brzegu przybije.“ Inny wreszcie, by część załogi przynajmniéj ocalić, namawia gorliwie, aby

zwinąć starą flagę, porzucić okręt i w szalupie szukać zbawienia; puścić ją na wolę wichru, który o ile znęcał się nad sporym statkiem, o tyle łaskawszym będzie dla szczupłéj łodzi. Uczenie tedy wykłada, że im większa jest powierzchnia poruszającego się ciała, tém większy opór napotyka nawet w spokojném powietrzu, a cóż dopiero wśród burzy. Huragan tymczasem ani myśli się uspakajać, a siejąc zniszczenie na pokładzie, praktycznie wywody mówcy obraca wniwecz, i od próby na szalupie odstręcza. Część żeglarzy lamentuje na pokładzie, nie wiedząc za którym z niezgodnych pójść głosów; inni robią, co mogą robić, zstępują do wnętrza, zatykają w ścianach szczeliny, stają do pompy, by usunąć wodę, która się gwałtownie wciska, na wyższe piętro wynoszą proch, żywność i różne zapasy, ratując od zamoczenia,—lub zbijają ster nowy, w nadziei, że ten statkiem kierować pozwoli. Czy się nadzieja ziści dziś, czy jutro? Pytanie to może im się nieraz przez myśl przesuwa, ale na gorliwość pracowników, na dokładność podjętéj przez nich roboty—wpływu szkodliwego nie wywrze nigdy. Zajętych pracą nie przerazi ani widok szczerzącego zęby rekina, ani też odwracając odeń oczy, nie dadzą się uwieść ułudnym wdziękom syreny: daremnieby pieśń sławiła rozkosze, które w tych muskularnych objęciach czekają żeglarza.

Incidit Scyllam, qui vult vitare Charybdim.

Obraz powyższy powtarzał się nieraz w przeszłości i zapewne nieraz jeszcze powtórzy. Chaos pojęć, dysharmonia głosów, zwątpienie przeplatane złudzeniami—to zwykłe produkty smutnéj chwili. Wtedy to, bardziéj niż kiedyindziéj, chłodna a wszechstronna rozwaga winna być jedynym kompasem. Nie bez słuszności powiedziano, że niema takiéj przepaści, którejby polityka zapełnić nie zdołała; ale i w przepaści dno być powinno i tego dna pogłębiać ciągle nie trzeba. Beczki Danaid napełnić przecież niepodobna.

Stara baśń głosi, że kiedy w Rzymie rozstąpiła się ziemia, tworząc otchłań niezmierną, co było wróżbą grożącego miastu nieszczęścia, znalazł się dzielny rycerz, który na łeb do niéj wskoczył, czyniąc z siebie ofiarę bogom. I nie zawiódł się, gdyż przepaść wnet nad nim się zamknęła. Dziś w takie baśnie wierzyć nam trudno, a jednak Marek Curtius znajduje jeszcze wielbicieli, którzy do naśladowania go zachęcają. Ha, trudno! i z tém się oswoić trzeba. Przepaść magnetyzuje wzrok organizmów cierpiących—*abyssus vocat*—a świeży prozelita gorliwym jest zwykle apostołem. Gani surowo wszelkie dawniejsze próby, gdyż—jak powiada—wszystkie zawiodły; jego natomiast rada jedynie jest zbawczą, bo... on tak mówi. Zapew-

ne, jeśli równoważnikiem szczęścia jest nie mieć żądz i potrzeb niezaspokojonych, to abdykacya zupełna, zrzeczenie się wszystkiego, trafną być może receptą na szczęście, tak pojmowane. Lecz czy to będzie życiem? Czy wskazywany ideał wart tego, by mu choćby najmniejszą rzeczywistość poświęcić? Czy wreszcie, kwapienie się ku niemu doprowadzi choćby do tego złudnego celu?

Jakież widoki porozumienia między językiem, który mówi wiele, zawiele nawet, skoro o swéj bezwładności zapewnia, a ręką, która zaufana w swych muskułach, uderza, ale milczy i na rezonowania języka nie zważa? Krasicki zaręcza, że „mądry przegadał, ale"... w tym razie nawet nadziei przegadania niema, bo téż pono i mądrość nie dopisała.

Pokrewieństwo rodu? Jakże to dziwnie brzmi obok lekceważenia polityki serca,—boć przecię serce jest głównym przyrządem obiegu krwi w organizmie. Lecz mniejsza o to. Pokrewieństwo rodu, zapewne, to fakt, ale na nim jednym nie wiele zbudować można: znany z Biblii układ za misę soczewicy między rodzonemi braćmi się zdarzył. Wspólność interesu? Bezwątpienia, mocniejsza to podstawa; trzebaby jednak, aby obiedwie strony jednakowo go rozumiały, a tego dzisiaj trudno dopatrzéć.

Szalonym byłby chyba wędrowiec w Saharze, gdyby chcąc ugasić pragnienie, które go w danéj trapi chwili, zbaczał z toru wskazywanego przez gwiazdy stałe, dla jakichś mglistych majaków; współczucie dla błąkającego się w manowcach nakazywałoby rzucić mu przestrogę poety:

Beduinie opętany,
Gdzie lecisz? Tam huragany!

Tyle jest słów o najnowszéj chwili.

Kto uważnie czytuje nasze pisma peryodyczne, ten nie mógł nie zauważyć, że przyjęty i uznawany do niedawna jeszcze powszechnie program „pracy organicznéj" od paru lat z wielu stron i w rozmaity sposób coraz częściéj i ostrzéj zaczyna być krytykowany. W krytykach tych jeden tylko kierunek, reprezentowany przez organ rozhukanego radykalizmu warszawskiego, ma za podstawę jakąś myśl określoną, jakkolwiek bynajmniéj nie dodatnią. Zalecana przezeń na miejsce pracy organicznéj „praca klasowa," gdyby się rzeczywiście zaszczepić na naszym gruncie dała i szerzéj rozrosła, przyniosłaby owoce bardzo opłakane. Na to zgodzi się każdy, kto tę ciemną metaforę dobrze rozumie i przez nienawiść do

„kapitalizmu“ zdrowych umysłów nie stracił. Z tego powodu „klasowych“ krytyków owych możemy pozostawić w spokoju.

Czego chcą inni przeciwnicy pracy organicznéj, trudno doprawdy odgadnąć? Jedni z nich, nie zwracając uwagi na wszelkie protesty ze strony propagatorów tego hasła, z widoczną złą wiarą utożsamiają je ciągle z nieprzebierającém w wyborze środków, dążeniem do osobistego bogacenia się, i prawią na ten temat tysiące najdziwaczniejszych niedorzeczności. Ci, naturalnie, najmniéj są szkodliwi. Inni znowu, rozumiejący przez to wyrażenie jedynie rozwój przemysłu i handlu, już w imię źle zrozumianych przez się interesów klasy rolniczéj bezwzględnie rzucają nań anatemat, już widząc, że dwie te ważne gałęzi pracy społecznéj dostają się głównie w ręce elementów napływowych, składają winę tego faktu nie na niezaradność naszą, na niewykonywanie z naszéj strony postawionego sobie programu, ale właśnie na sam program. Niekonsekwencya podobnego rozumowania jest tak widoczna, że uwydatniać jéj niepotrzeba. Rzecz naturalna, że wszystkie tego rodzaju zabawne zarzuty rozwoju przemysłu nie powstrzymają, ale smutną ich stroną jest to, że szerzą one niepotrzebnie wśród ogółu szkodliwy pesymizm, zrażający społeczeństwo do pracy przedsiębiorczéj i skłaniający je do bezradnego opuszczenia rąk i utraty zaufania we własne siły. Oto np. w jak czarnych barwach maluje stosunki ekonomiczne kraju, jeden z takich niepowołanych, a lekkomyślnych krytyków: „Rzecz dziwna! Fabryki rosną, a ogólny stan ekonomiczny kraju nie podnosi się wcale majątki ziemskie upadają, lub przechodzą w niemieckie ręce; rolnictwo nie może się wydobyć z dawnéj rutyny; rękodzieła, ściśle biorąc, upadają; klasy średniéj, mieszczaństwa nie widać, a lud jak dawniéj z dnia na dzień żyje kartoflem, wreszcie pieniądz coraz trudniejszym i droższym się staje, a lichwa szerzy się w przerażający sposób. Belgowie północy, jak się nazwaliśmy, mimo rozkwitu fabryk upadają z dniem każdym—nie jest to tajemnica dla nikogo.“ Co za korzyść, pytamy, z takiego umyślnego malowania sadzami fizyognomii kraju? Wszystkie te zarzuty stosować się mają do całego ostatniego dwudziestolecia i wszystkie składają się na karb rozwoju przemysłu pod hasłem „pracy organicznéj.“ A czyż to prawda, że w ciągu tego okresu położenie ludu wiejskiego wcale się nie polepszyło, lub że pieniądz stał się wogóle trudniejszym do nabycia i droższym? Dość sobie uprzytomnić szybki rozwój rozmaitych znanych powszechnie instytucyi kredytowych w ciągu ostatnich lat kilkunastu, oraz niezaprzeczony, a ciągły postęp parcelacyi majątków ziemskich, by stanowczo temu zaprzeczyć. Zapewne, że sprzyjające przez czas tak długi warunki ekonomiczne można było wyzyskać znacznie

lepiéj, ale nikt nie ma prawa twierdzić, że nic w tym kierunku nie zrobiono, a témbardziéj składać winy za braki na tych, co właśnie do pracy w tym względzie nawoływali. Że majątki ziemskie upadają i przechodzą w ręce Niemców, to prawda; lecz czyż temu winien rozwój przemysłu, że właściele ziemscy nie potrafili skorzystać z długotrwałéj zwyżki cen na produkty rolne i zamiast oczyścić swe hypoteki i ulepszyć gospodarkę, bardziéj się jeszcze zadlużyli życiem nad stan i zakostnieli w rutynie. Nieliczne wyjątki z tego ostatniego smutnego prawidła dowodzą, że kto szczerze się przejął zasadą pracy i oszczędności, ten mógł zrobić wiele. Kto więc nie zrobił nic, przedewszystkiém sam sobie jest winien.

Zauważmy wreszcie, że programu „pracy organicznéj“ nie wyczerpuje bynajmniéj sam rozwój przemysłu i handlu, jak to rozumieją jego przeciwnicy. Propagatorowie tego programu nigdy go do tak ciasnych ramek nie ograniczali. Postęp ekonomiczny kraju, to jedna tylko strona, lecz obejmuje on zarazem pracę nad postępem moralnym i umysłowym społeczeństwa, a więc nad postępem oświaty, dobrobytu i moralności, oraz nadewszystko—nad podniesieniem we wszystkich warstwach narodu poziomu pojęć i *uczuć społecznych*, które by nas zachowały od zagłady pod działaniem wrogich naszym interesom i dążeniom żywiołów. Prawda, że w tym kierunku zrobiliśmy bardzo mało, nic prawie; prawda, żeśmy często zapominali nawet o tém, cośmy robić zamierzali i byli powinni—a zarzut ten stosuje się przedewszystkiém do nas: dziennikarzy i literatów; prawda, żeśmy nie starali się dość usilnie o stworzenie instytucyi, potrzebnych do osiągnięcia zamierzonych przez nas celów, żeśmy istniejących nie popierali tak, jakbyśmy mogli i powinni, pozostawiając je najczęściéj na łaskę kilkunastu zamożnych jednostek, które podołać same trudnemu zadaniu nie mogą; prawda, że kierownicy ich i te szczupłe środki, jakie posiadali, wyzyskiwali często niedbale—wszystko to prawda, lecz winą tego wszystkiego nie był program, ale niewykonanie go, ale apatya i lenistwo naszéj inteligencyi, oraz słabość uczuć obywatelskich wśród naszego ogółu i niedość sumienne i gorliwe spełnianie przez redaktorów i dziennikarzy ciążących na prasie naszéj obowiązków społecznych. Nie obalać więc program potrzeba, ale go rozszerzyć i nawoływać rozumnie, wytrwale i gorąco wszystkie warstwy społeczne do spokojnéj, ale stałéj, zgodnéj, mrówczéj pracy nad przeprowadzeniem go we wszystkich kierunkach działalności, mającéj na celu wlanie soków odżywczych w arterye omdlałego pod ciężkiem brzemieniem licznych przejść, cierpień i zawodów organizmu społecznego.

Chcąc jednak być sprawiedliwymi, winniśmy jeszcze dodać, że jakkolwiek z ciężkich grzechów apatyi naszéj zupełnéj absolucyi udzielić sobie nie mamy prawa, to wszakże do pewnego stopnia przynajmniéj tłómaczą ją tysiące trudności i zawodów, jakie na bolesnéj drodze naszego życia społecznego co krok stopy nam ranią. Pomimo to wszystko przecież pamiętać należy, że w trudnéj walce o byt ten tylko utrzymać się może, kto umie mniejsze przeszkody łamać, przy nieprzełamalnych zaś przystosowywać się do okoliczności i korzystać z każdej, choćby najbardziéj stroméj i kamienistéj ścieżynki, prowadzącéj do celu. Za ilustracyą uwag powyższych mogą nam posłużyć krótkie dzieje warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu bardzo rozumnie i ze znajomością rzeczy skreślone w Nr. 40 petersburskiego „Kraju“. Pomijając na dzisiaj uwagi nad działalnością Towarzystwa i jego wewnętrzném urządzeniem, przytoczymy tutaj tylko kilka danych, dotyczących jego powstania, oraz losu uchwalonych przez nie wniosków i projektów. „Myśl zorganizowania w Warszawie — pisze wzmiankowany tygodnik — instytucyi ekonomicznéj na kraj cały, nieraz zaprzątała umysły ludzi inicyatywy, pragnących wypełnić szczerbę, powstałą w publicznéj opiece gospodarczéj kraju, po zniesieniu „Towarzystwa rolniczego.“ Ale zarówno pamięć świetnych, autonomicznych czasów tego towarzystwa była jeszcze zbyt świeżą, jak i dążności inteligencyi miejscowéj, zbyt tym wspomnieniom oddane, ażeby można było myśléć o stworzeniu, na miejsce dawnego, takiego towarzystwa, któregoby początek i koniec atrybucyi leżał gdzieindziéj, niż w Warszawie. Gdy zaś usiłowania w pożądanym kierunku, przy panującym w rządzie systemie wyrównywania odrębności administracyjnych na kresach z urządzeniami cesarstwa, nie mogły odnieść skutku, więc ostatecznie nie przedsiębrano nic, przekładając wyczekiwanie „lepszych czasów“ nad skromną wprawdzie, lecz zawsze lepszą od bezczynności, akcyą w zakresie istniejących warunków. Ta bierna powściągliwość uwydatniła się szczególnie silnie po roku 1872, gdy dwa projekty towarzystw naukowo-ekonomicznych wyłącznie na Królestwo polskie nie trafiły do przekonania władz odpowiednich w Petersburgu. Pierwszy z tych projektów z r. 1870, podpisany przez pp. Feista, Frageta, Gracyana Jegera, Aleksandra Łapińskiego, Aleksandra Makowieckiego, Antoniego Nagórnego, Rudzkiego, Spiessa, Szlenkiera, Adolfa Szolcego i Aleksandra Temlera, miał na celu utworzenie „Towarzystwa zachęty przemysłu i rzemiosł“ i obejmował między innemi muzeum przemysłowe i wystawę rękodzielniczą. Drugi z r. 1872—nosił tytuł szerszy: „Towarzystwa zachęty przemysłu, handlu i rolnictwa“ i podpisany był przez pp. Gebethnera, Łoj-

kę, Makowieckiego i Okręta. Gdy obadwa te projekty przez władzę odrzucone zostały, wśród pewnego koła przemysłowców, pragnących bądź-co-bądź wynaleść jakąś drogę działania, powstała myśl zastosowania się do okoliczności i założenia w Warszawie oddziału, istniejącego już naówczas petersburskiego „Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.“ Podanie w tym celu podpisali pp. Brun, Feist, Handtke, Hoch, Jacobi, Franciszek Łapiński, Mrozowski, Nagórny, Woroncow-Weliaminow i Zinger. Zostało ono przyjęte przychylnie i zatwierdzone d. 15 Grudnia 1872. Lecz projekt filii towarzystwa petersburskiego do tego stopnia w szerszém kole przemysłowców nie znalazł współczucia, że z powodu braku uczestników instytucya nawet zawiązana nie została. Najważniejszą z pobudek tego faktu, jakie podawali przeciwnicy filii, była obawa, „czy centralne towarzystwo petersburskie, przeznaczone do ochrony i zachęty rosyjskiego przemysłu i handlu, zechciałoby skutecznie zajmować się sprawami naszego przemysłu i handlu i czy tym sposobem nie zachodziłyby pewne kolizye interesów i przeciwieństwa, trudne do pogodzenia.“ Niewłaściwém się téż wydawało, żeby 1/3 składek od tutejszych członków szła na zasilenie kasy centralnego towarzystwa.

Po upadku powyższego projektu przeszło całe lat 11 na wyczekiwaniu zmiany nieprzychylnych okoliczności. Gdy jednakże nadzieję rychłego jéj nadejścia rzeczywistość coraz bardziéj rozpraszała, z drugiéj zaś strony potrzeba jakiejkolwiek instytucyi, któraby się zaopiekowała interesami ekonomicznemi kraju, jednoczyła rozstrzelone jego siły i nadawała im właściwy kierunek, stawała się coraz bardziéj naglącą, panująca dawniéj w umysłach alternatywa: samodzielność, lub bezczynność, poczęła ustępować miejsca w opinii ogółu praktyczniejszemu zapatrywaniu, iż należy wyzyskiwać wszelką sposobność, mogącą jakąkolwiek drogą i choćby w części przynajmniéj doprowadzić do zamierzonego celu. I oto pod wpływem takiéj zmiany poglądów, zatwierdzony powtórnie za inicyatywą i staraniem p. Wł. Kiślańskiego, projekt utworzenia w Warszawie oddziału towarzystwa petersburskiego pozyskał sobie powszechnie gorące uznanie i z początkiem roku zeszłego pod bardzo dobremi wróżbami wszedł rzeczywiście w życie. Na pierwszém zgromadzeniu d. 8 Marca r. z. znalazło się już 203 uczestników oddziału, zarówno z Warszawy, jak i z rozmaitych ognisk przemysłowych w Królestwie, a liczba ta wzrosła dziś do 400 zgórą. Z jakim zapałem zabrali się członkowie towarzystwa do pracy, i ile rozmaitych ważnych dla gospodarstwa kraju spraw podnieśli i przedyskutowali, wiedzą czytelnicy z pism codziennych. Tego jednak zapewne dokładnie nie

wiedzą, jaki los spotkał uchwalone dotąd wnioski. Otóż pewna liczba, których wprowadzenie w życie zależało od samego oddziału warszawskiego, (jak np. założenie stacyi meteorologicznych i sporządzenie kilku ankiet rozmaitych) w części, lub w zupełności urzeczywistniona już została. Wszystkie zaś te, które odesłane zostały do komitetu Towarzystwa w Petersburgu... leżą dotąd spokojnie w jego aktach. Komitet, pomimo to, że uchwały komunikowane mu były pojedynczo, na *żadną* z nich *dotąd nie odpowiedział*, *żadnéj do opinii właściwych władz nie podał*, żadnéj, począwszy od skromnego wniosku o udogodnieniu w przewozie drobiu, a skończywszy na uchwale, dotyczącéj ekonomicznych dróg żelaznych. „Jest to—dodaje *Kraj* — najprzykrzejsza strona krótkiéj historyi oddziału, która z czasem, gdy komitet w dalszym ciągu zechce w podobny sposób traktować prace największych filij swoich, może, jeżeli nie zniechęcić przemysłowców do uczestnictwa w oddziale, to z pewnością wpłynąć na zmianę kierunku całéj jego działalności.“ W tym téż duchu radzi autor towarzystwu naszemu w ostatecznych swych wnioskach zredukować interwencyą do władz rządowych za pośrednictwem komitetu petersburskiego jedynie do spraw szczególnéj wagi, na pierwszym zaś planie swego programu postawić rozbudzanie sił wytwórczych kraju za pośrednictwem szeregu instytucyj lokalnych, a przedewszystkiém skierować całe swoje siły do utworzenia biura statystyczno-informacyjnego dla potrzeb przemysłu i rolnictwa. Praktycznéj téj radzie szczerze przyklaskujemy.

O niczém u nas tyle się dziś nie pisze i nie mówi, co o potrzebie wzmożenia i rozszerzenia kredytu publicznego dla przedsiębiorstw wszelkich kategoryi. Bo rzeczywiście potrzeba ta bardzo jest wielka i nagląca! Szybki rozwój przemysłu i handlu z jednéj strony, oraz trudne obecne warunki bytu własności ziemskiéj z drugiéj—sprawiły, że istniejące instytucye kredytowe nie mogą podołać wszystkim, ciążącym na nich i rosnącym ciągle zadaniom. O ile przytém wiele bardzo dogodnych form kredytu nie zostało u nas dotąd prawie wcale wyzyskane, o tyle znowu niektóre kategorye własności, jak np. drobna własność ziemska, nie korzystają wcale, lub prawie wcale z dobrodziejstw kredytu publicznego, a zwłaszcza długoterminowego i amortyzacyjnego. Potrzebie téj mógłby w znacznym stopniu uczynić zadość projektowany w tutejszych kołach finansowych „Bank kredytu rzeczowego“, którego ustawę w ważniejszych jéj punktach przedstawiła przed kilkoma tygodniami gazeta *Wiek*. Bank ten łączyć ma w sobie kredyt hypoteczny z ruchomym, gdyż udzielać zamierza pożyczki zarazem pod zastaw majątków ziemskich, nieruchomości miejskich, zakładów przemysłowych, jako-

też papierów procentowych, płodów rolnych i rozmaitego rodzaju towarów. Kapitał zakładowy banku ma być zebrany w drodze emisyi akcyi, początkowo na sumę 3 mil. rubli. Pożyczki hypoteczne udzielać chce projektowana instytucya do wysokości: 75% wartości szacunkowéj dóbr ziemskich, 50% wartości nieruchomości miejskich i 40% wartości fabryk i innych zakładów przemysłowych, a to na pierwszy numer hypoteki, lub bezpośrednio po wierzytelnościach towarzystw kredytowych: ziemskiego i miejskiego. Normy te dosyć znacznie wyższe od przyjętych przez istniejące towarzystwa, pozwoliłyby skorzystać z nowego źródła taniego kredytu wszystkim trzem wzmiankowanym kategoryom własności nieruchoméj, a nadewszystko fabrykom, którym Tow. Kred. miejskie udziela pożyczki tylko w stosunku do wartości samych budowli. Nowy bank więc oddałby wielką usługę naszemu przemysłowi. Ponieważ przytém działalność banku rozciągać się ma na całe Królestwo i minimalna wartość majątków, mogących korzystać z pożyczek hypotecznych oznaczona została tylko na rs. 500, więc nowa instytucya wyświadczyłaby prawdziwe dobrodziejstwo zarówno drobnéj własności ziemskiéj, jak właścicielom nieruchomości miejskich w miastach prowincyonalnych, nie posiadających własnych towarzystw kredytowych, gdyż, jak wiadomo, obiedwie te kategorye majątków pozbawione są dotąd kredytu hypotecznego.

Pożyczki udzielać się mają długo i krótkoterminowe: pierwsze—na hypoteki ziemskie na 43½ lat, oraz na hypoteki miejskie i zakłady przemysłowe na 18 lat i 7 miesięcy; drugie—na hypoteki majątków nieruchomych na przeciąg czasu od 1 do 6 lat (pożyczki melioracyjne), oraz na ruchomości—do 9 miesięcy. Od pożyczek długoterminowych płacić będą dłużnicy co 6 miesięcy: 3% procentu, ³/₄% na kapitał zapasowy i wydatki administracyjne, oraz ¹/₄% na amortyzacyą długu zaciągniętego na 43½ lat, lub 1½% na umorzenie długu z terminem 18 lat 7 miesięcy. Ogółem więc *raty roczne* dłużników pierwszéj kategoryi wynosić będą 8%, drugiéj—10½%. Warunki oprocentowania pożyczek na ruchomości określane będą przez zarząd banku, stosownie do ich terminu.

Jak widzimy z powyższego przedstawienia, projektowany „Bank kredytu rzeczowego" mógłby się stać prawdziwie zbawczą instytucyą dla szerokiego koła producentów i właścicieli, upadających dziś często pod brzemieniem długów lichwiarskich. Czy jednakże uzyska on zatwierdzenie? Przewidzieć trudno! Poczekajmy więc, co nam czas na to odpowie.

Jedną z wielu przyczyn wysokiéj stopy procentowéj w kraju naszym jest między innemi niedostateczne często zabezpieczenie

praw wierzycieli. Ma to miejsce szczególnie w sferze stosunków czysto handlowych, gdzie jednakże kredyt tak ważną odgrywa rolę. Gdy np. przy obecném położeniu rzeczy handlujący sprzeda podstępnie swoję firmę bez wiedzy wierzycieli, ci ostatni w takim tylko razie mogą dochodzić swych praw na nabywcy, jeżeli potrafią sądownie dowieść, że wiedział on o długach, ciążących na firmie, co jest rzeczą nadzwyczaj trudną. Skutkiem tego sprzedaże symulacyjne trafiają się u nas bardzo często i narażają wierzycieli na wielkie straty, które, naturalnie, wpływają na podniesienie stopy procentowéj. Dla zapobieżenia tego rodzaju nadużyciom przed dwoma już blisko laty w pewném kole prawników i kupców powstała myśl postarania się o wprowadzenie do obowiązującego u nas kodeksu handlowego prawa o rejestrowaniu firm w sądzie handlowym, na wzór tego rodzaju praw, istniejących zagranicą. Prawo takie, przenosząc odpowiedzialność za długi z osoby właściciela na samę firmę i zmuszając pierwszego do ujawniania wszelkich ważniejszych faktów prawnego znaczenia, powodujących, lub mogących spowodować zmianę stosunków majątkowych firmy, zwiększyłoby znacznie bezpieczeństwo praw wierzycieli. W celu urzeczywistnienia téj myśli przy tutejszym komitecie giełdowym zawiązał się specyalny komitet, złożony w części z kupców, w części z prawników i pozostający pod kierownictwem prezesa warszawskiego sądu handlowego. Komitet ten większością głosów uchwalił, że: 1) zamierzane prawo obowiązywać ma w granicach Królestwa Polskiego; 2) za podstawę służyć mu winny normy prawa cywilnego, obowiązującego w kraju naszym; 3) rejestracyi ulegać mają wszyscy handlujący, z wyjątkiem osób, trudniących się handlem drobnym, kramarstwem i t. p.; wreszcie 4) rejestrowanie będzie obowiązkowe. Do opracowania szczegółów przyszłego prawa na tych ogólnych zasadach wybrana została komisya w osobach pp. Flamma, Mijakowskiego, Rozenbluma, Wieniawskiego i Zawadzkiego, którzy redakcyą projektu powierzyli mecenasowi Flammowi. W tych czasach właśnie p. Flamm złożył gotowy już elaborat projektu, nadawszy mu tytuł: *Prawa o rejestracyi handlowéj*, gdyż, jak to było do życzenia, oprócz firm, rozciąga on obowiązek rejestracyi do innych jeszcze kategoryj wydarzeń prawnych, mających szczególne znaczenie dla osób trzecich w świecie handlowym, a mianowicie: do zezwoleń, dawanych małoletnim na prowadzenie handlu, wyroków, uznających prawną niezdolność handlujących, intercyz, przywilejów nieletnich i osób prawnéj woli pozbawionych, oraz przywilejów mężatek. Debaty komisyi nad przedstawionym memoryałem rozpoczęły się d. 26 października. O ich rezultacie nie omieszkamy czytelników powiadomić.

Ciężkie próby, jakie przechodzi obecnie gospodarstwo rolne, prowadzone u nas dotąd rutynicznie i oparte prawie wyłącznie na produkcyi ziarna, przyniosą nam może i owoce dodatnie. Tak przynajmniéj nakazują przypuszczać dosyć liczne fakty, dowodzące, że zaczynamy się żywo krzątać około wyzyskania zaniedbanych dotąd gałęzi pracy, pozostających w związku z przemysłem rolnym. Jak wiadomo, wystawa rolniczo-przemysłowa dała początek spółce nabiałowéj; ogrodnicza—rzuciła ziarno spółki, mającéj na celu skup i sprzedaż owoców na wielką skalę. Teraz znów dowiadujemy się z „Chwili,“ iż świeżo trzéj obywatele ziemscy zawiązali spółkę handlu wołami opasowemi, do któréj pragną wciągnąć jak największą liczbę uczestników; aby tym sposobem skuteczniéj konkurować z dotychczasowymi uprawiaczami tego handlu, cieszącymi się dotąd prawdziwym monopolem. Nowa spółka ma zamiar rozsélać specyalnych ajentów po kraju, skupować wybrakowane woły robocze, oraz zakontraktować znaczną ilość bydła stepowego. Następnie zawrzeć układy z właścicielami gorzelni, w celu tuczenia chudych sztuk wywarem. W majątkach takich zbudowane zostaną odpowiednie obory dla wołów, które po wypasieniu transportowane będą na targ praski. Przedsiębiorstwo to, jeżeli dobrze zostanie pokierowane i do większych wymiarów się rozrośnie, będzie mogło wpłynąć na podniesienie hodowli bydła opasowego w kraju naszym, dotąd bardzo mało rozwiniętéj. Z tego względu życzyć mu należy jak najszerszego poparcia.

Z dziedziny szkolnictwa mamy do zanotowania dwa świeżo wydane rozporządzenia zarządu warszawskiego okręgu naukowego. Pierwsze z nich odnosi się do żydowskich szkół gminnych i stanowi, że we wszystkich takich szkołach zachowane być winny następujące prawidła:

1) Wszystkie przedmioty, z wyjątkiem biblii i religii, mają być wykładane w języku rosyjskim.

2) Na ścianie, w widocznem miejscu wywieszona być winna lista uczniów z wymienieniem imienia, nazwiska i wieku tychże, jako też miejsca zamieszkania rodziców.

3) Ławki szkolne urządzone być mają według przepisanego wzoru, znajdującego się u komisarza cyrkułu, z którym stolarz w tym względzie porozumiéć się winien.

4) Szyld, wyłącznie w języku rosyjskim, wywieszony być ma od ulicy, z wymienieniem imienia i nazwiska, utrzymującego szkołę.

5) W każdéj szkole znajdować się powinna księga wizytowa. Księgi takie tanio nabyć można w każdéj kancelaryi cyrkułowéj;

Drugie rozporządzenie opiewa, że wychowańcy uniwersytetu, pragnący udzielać lekcye na pensyach prywatnych, oprócz złożenia dowodów osobistych i dyplomu uniwersyteckiego, oraz odbycia lekcyi próbnéj, co wszystko było już wymagane dawniéj, obowiązani są nadto na przyszłość składać poświadczenia kościelne o odbytéj spowiedzi. Nowy ten przepis nie stosuje się wyjątkowo do wychowańców wydziału historyczno-filologicznego. Widocznie wyrobili sobie oni ustaloną u władzy opinię pobożnych. Tém lepiéj dla nich!

NEKROLOGIA.

† **Faustyn Świderski** zmarł w Mzurowie (pow. będzińskim) 29 września. Urodził się on 14 lutego 1821 r., kształcił się w Krakowie ożeniwszy się r. 1846, pracował wciąż jako rolnik na zagonie ojczystym, pisując jednocześnie korespondencye do różnych gazet. Jako humorysta a raczéj satyryk, wystąpił po raz pierwszy na widownią literacką w „Wolnych Żartach“ odtąd jako Bocian a późniéj ex-Bocian licznemi wierszowanemi satyrami karcił usterki i wady społeczne. Poczciwa dążność, czasami trafny koncept, wiersz prosty a zamaszysty sprawiały, że utwory jego pióra ceniono i zamieszczano już-to w pismach humorystycznych już-to nawet w codziennych politycznych. Od r. 1873 tj. od czasu założenia „Tygodnia Piotrkowskiego“ był stałym tego pisma współpracownikiem. Zbiór wierszy ego wyszedł r. 1884 w Częstochowie nakładem Fuchsa.

† **Marya Bartusówna** zmarła 2 paźdz. we Lwowie. Znana była jako poetka niemałego talentu, oraz jako nauczycielka szkół ludowych. Urodziła się 10 stycznia 1856. Ojciec jéj, ubogi malarz portrecista nie mógł jej dać wykształcenia; tak dalece że nawet na nauczycielkę ludową wykształcić się nie mogła; miała więc zamiar zostać aktorką, ale i pod tym względem siły jéj nie sprostały chęci. Dostawszy zapomogę od hr. Róży Krasińskiéj, ukończyła studya pedagogiczne w Krakowie i dostała posadę nauczycielki w Sokolnikach pod Lwowem; niebawem wszakże przeniesiona do wsi Nienadowéj, zamieszkałéj przez ubogi ciemny lud rusiński, wśród najgorszych warunków materyalnych i umysłowych przemęczyła się; a gdy dostała suchot gardlanych i piersiowych, musiała opuścić posadę i przeniosła się do Lwowa, by szukać ratunku. „Koło literackie“ lwowskie pośpieszyło z pomocą materyalną; zainteresował się nieszczęśliwym jéj losem wydział krajowy; ale było już zapóźno. Pier-

wsze swoje pieśni wyśpiewała Bartusówna w 20 roku życia. Gdy zbiorek jéj „Poezyj“ wyszedł we Lwowie 1876, znalazł w wielu sercach oddźwięk serdeczny, ale téż spotkała go złośliwa krytyka. Potém zajęta przygotowaniem się do zawodu nauczycielskiego mniéj już tworzyła. W r. 1880 wyszedł poprzedni zbiorek jéj poezyj z dodrukowanemi kilku tylko nowemi. Dopiero za pobytu w Sokolnikach napisała rzeczy większych rozmiarów, jako to: „Czarodziejska fujarka“, obraz dramatyczny „Wanda“, oraz kilka nowel prozą, jako to: „Wiązanka konwalij“, „Duch ruin“, „Po śmierci.“

† **Klemens Kantecki**, historyk-samouk, zmarł 14 października w Poznaniu. Urodzony tamże 1851 roku nieskończył nawet nauk gimnazyalnych i wszedł do zawodu księgarskiego u znanego wydawcy-księgarza, wysoce ukształconego J. K. Żupańskiego. Zamiłowawszy studya historyczne, wcześnie rozpoczął pisać najprzód artykuły w „Tygodniku Wielkopolskim“ od r. 1871, a potém w r. 1872 ogłosił już książkę całą o losach Savonaroli, która zwróciła nań uwagę wykształconego ogółu. Przeniosłszy się do Lwowa, gdzie dostał zajęcie w Zakładzie im. Ossolińskich, pracował z nadzwyczajnym zapałem i ogłaszał szereg rozpraw, pisanych żywo i zajmująco. *Ateneum* pomieściło jednę z większych prac jego „Ojciec Stanisława Augusta,“ która póżniéj znacznie pomnożona i w wielu punktach zmieniona wyszła osobno jako obszerna książka. Z innych prac jego wymieniamy: „Artur Grottger,“ (1879), „Dwaj Krzemieńczanie“ (1879), „Sumy neapolitańskie“ (1881), „Życiorys Szajnochy“ przy wydaniu warszawskiém dzieł jego. Mniejsze rozprawy, rozproszone poprzednio w różnych czasopismach, zebrane są razem w „Szkicach“ ogłoszonych r. 1884 w Poznaniu. Ostatnią jego pracę pomieściło *Ateneum*. Pisywał także sprawozdania z dzieł polskich do pism niemieckich.

Wydawca. **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Października 1885 r.

---

1. **Złota przędza poetów i prozaików polskich**. Wypisy. Tomu III zeszyt 7, (ogólnego zbioru zesz. 31) od str. 481—560 i Tomu III, zeszyt 8 (ogóln. zb. zesz. 32) od str. 561—640. Warsz. 1885 nakł. Wład. Maleszewskiego i Teod. Paprockiego i S-ki.
2. **Kuźnica Kołłątajowska**. Studyum historyczne napisał *Władysław Smoleński*. Kraków, 1885, 8-o str. 202.
3. **Ruch ludności miasta Krakowa**. Kwartał II-gi 1885 r. (wyd. przez Biuro statystyczne m. Krak.) 4 str. nlb. in 4-to.
4. **Szkice z Gruzyi** przez *Artura Leista*. Warsz. nakł. A. W. Gruszeckiego. 1886, 8-vo, str. 175.
5. *Władysław Czajewski:* **Historya literatury Czeskiej od czasów odrodzenia.** Zeszyt IV i V (dokończenie). Warsz. 1886, 8-o (od str. 205 do 358 i V).
6: **Encyklopedya techniczna**. Podręcznik praktyczny technologii chemicznej w zastosowaniu do przemysłu, rękodzieł, rzemiosł, sztuk, rolnictwa i gospodarstwa domowego, opracowana podług najnowszych źródeł pod redakcyą *d-ra Aleksandra Weinberga*. Z 200 drzeworytami w tekście i wielu tablicami obejmującemi próbki przedmiotów w naturze. Warszawa, wydanictwo Przeglądu Tygodniowego, 1886, 8-o, Zesz. I str. 80.
7. *J. I. Kraszewski.* **Wybór pism**. Oddział II. Powieści szlacheckie, poprzedzone wstępem krytycznym Piotra Chmielowskiego. (zawiera: Ostatni z Siekierzyńskich i Dwa Światy) Warsz. nakł. Lewentala, 1885, 8-o, str. XXVI+2 nlb +505.
8. Jerzy Gordon lord Byron: **Don Juan** przekł. *Edwarda Porębowicza.* Warsz. nakł. Lewentala, 1885. 8-o, str, XVIII+562+II.
9. **Von Molken**. Przez *Adolfa Dygasińskiego*. Warsz. nakł. A. W. Gruszeckiego, 1886. 8-o, str. 194.
10. **Szkoła handlowa prywatna w Warszawie** (ulica hr. Berga Nr. 6). Rok 188⁴/₅. Warszawa. 1885, 8-o. str. 32.
11. *Józefa Ungra* **Kalendarz** illustrowany na rok zwyczajny 1886, 4-o (cena kop. 50).
12. **Dziennik** na rok zwyczajny 1886 (konotatnik w oprawie). Warsz. nakł. Józefa Ungra, w 16-ce.
13. **Kalendarz** (ścienny Ungra) na rok 1886.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Октября 1885.